

WACŁAW SZYMANOWSKI

POEZYE I DRAMATA

TOM IV

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1884.




WACŁAW SZYMANOWSKI.

POEZYE I DRAMATA.

TOM IV.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1884.

Дозволено Цензурою.

Варшава 22 Ноября 1883 года.



Druk J. Bergera, Warszawa, Elektoralna Nr. 14.

P A R Y A.

TRAGEDYA WIERSZEM, W PIĘCIU AKTACH Z CHÓRAMI.

Przetworzona

z Kazimierza Delavigne'a [1]).

---

[1]) Jakkolwiek treść pozostała ta sama, tekst téj tragedyi w wielu miejscach zmieniony jest przez tłómacza, a chóry oprócz pewnych ustępów między 1-m a 2-m aktem, wszystkie oryginalne.

OSOBY.

AKEBAR arcykapłan.
IDAMOR wódz.
ZARES, ojciec Idamora.
ALWAR, Portugalczyk.
EMPSAEL, bramin.
NEALA, córka Akebara.
ZAIDA }
MIRRA } kapłanki.
Bramini.
Rycerze.
Kupcy.
Rolnicy.
Kapłanki:

Rzecz dzieje się w Indyach, na początku XVI stulecia.

A K T I.

SCENA I.

(Święty gaj w pobliżu miasta Benares. Z prawéj strony na kamiennéj podstawie posąg Brahmy. W głębi świątynia na wyniesieniu, do któréj wchodzi się po schodkach kamiennych. Noc.)

Idamor, Alwar.

Alwar.

Wszystko w ciszy spoczywa, i my tylko sami
Z Benares ukrytemi zdążamy ścieżkami.
Widzę gaj, a tu posąg boga Indostanu,
Pod nim wąż i tablica z przepisami Manu.
To gaj Brahmy, ziem pana i ojca promieni...
Dla czegoż my wchodzimy tu niepoświęceni?

Idamor.

Już wschód się jasném światłem jutrzenki kryształi,
A dotychczas tu jeszcze nie widzę Neali.

Alwar.

W jakież wyżyny twoja myśl zuchwała goni?

Neala!... Idamorze! ty śmiesz myśleć o niéj?
Co?... córka Akebara... kapłana... bramina?

Idamor.

Tak, ona, ta z krwi bogów latorośl jedyna,
Ta piękność, co pod strażą ołtarzów ukryta,
W dni tylko uroczyste lud spojrzeniem wita,
I którą ze szczególnéj bóztw naszych opieki
Świętéj oblubienicą naznaczono rzeki...
Ja ją kocham!...

Alwar.

Co słyszę!

Idamor.

I w tym gaju ze mną
Neala pragnie dzisiaj mieć schadzkę tajemną;
Ma tu zejść, nim ostatnie nieba gwiazdy zgasną
I słońce twarz swą z rzeki wychylając jasną,
Modły ludu ku niebu z ranną wzniesie rosą...
Lecz jeśli wierzyć kwiatom, co tę wieść mi niosą,
To te ich barwy, w całość ułożone przednią,
Są także dziwnych nieszczęść dla mnie przepowiednią.
Wybacz, że cię wplątawszy w losu mego drogi,
Może w krąg samowolnie pociągam złowrogi;
Lecz któż, prócz chrześcianina, tutaj się odważy
Naszéj schadzce miłosnéj stać na czujnéj straży?
Ty wyznawca Chrystusa, syn innego lądu,
Odrzucasz niewolnictwa prawa i przesądu,

Wiesz, że dziewczę nad bogów przenieść może męża,
Co za ich cześć i wiarę walczy i zwycięża.

Alwar.

Nie ufaj wieńcom chwały; uwiędłe zbyt skoro,
Przeciw gniewom kapłanów słabą są zaporą.
Niech ci przykład mój będzie przeciw złemu zbroją.
I jam walczył za wiarę i ojczyznę moją,
A zaufany w chwale i szczęściu bojowém,
Kościół jedném zuchwałém obraziłem słowem.
Rzucono na mnie klątwę... jéj wszechwładne ramię
Zatarło na mém czole Chrztu świętego znamię;
Drzwi się świątyni Pańskiéj przedemną zawarły...
Odrzucony od ludzi, dla świata umarły,
Napróżno tułacz z dala od rodzinnéj strzechy
Żebrałem kęsa chleba i słowa pociechy,
Targając siły ducha w bezwładnéj boleści...
Wówczas właśnie z za morza nadchodziły wieści
Przez majtków, których Gama odesłał z powrotem,
O kraju przepełnionym perłami i złotem.
Zbierała się wyprawa do téj cudów ziemi...
Nieznany, pośpieszyłem połączyć się z niemi;
Lecz klątwa się na mojém nie zatarła czole
I znalazłem tam więzy, gdzie niosłem niewolę.
Już pól drogiéj ojczyzny nigdy nie zobaczę...
Tyś przygarnął do siebie to życie tułacze;
Krew boju z ciała, z serca niewolnictwa rany
Zmyłeś: teraz jam twoim.

Idamor.

Dziwne losu zmiany!

Przez lądy czy przez morza, z blizka czy z daleka,
Taż sama dłoń żelazna przygniata człowieka.
Słuchaj... istnieje u nas ród bogom niemiły,
Ród obcy na tych ziemiach, co go porodziły,
Istnieniem od kolebki otoczon wyklętém,
Od kościoła pogardą, od ludności wstrętem,
Od głowy dach, z ust strawa ucieka mu licha,
Słońce go z gniewem pali, a ziemia odpycha,
I Bóg, gdy jedném słowem zaludniał przestrzenie,
Z między ludzi odtrącił go na zatracenie.
To jest Parya. Indyanin zaczerpnąć się lęka
Wody, któréj nieczysta dotknęła się ręka,
On słowem swém zaraża a oddechem plami,
Drzewo, którego dotknął, schnie mu pod palcami,
A wyklęte spojrzenie gdy zwróci na kogo,
To wody świętéj rzeki zmyć hańby nie mogą.
Odtrącać go jest chwałą, a mordować cnotą,
Jako gad, który rzeczne wyrzuciło błoto;
Próżny miłości ludzkiéj i bożéj opieki,
Upadły, odtrącony, wyklęty na wieki.
Jeśli kiedy kobieta, na zgrozę współbraci,
Miłość jego wzgardzoną wzajemnością płaci,
Sama na siebie hańby narzuca już pęta;
Umarła dla rodziny, przez ojca wyklęta,
W tych objęciach miłością skalanych wszeteczną,
Ma doczesne wygnanie i zatratę wieczną!
Drżysz i na mnie współczucia wzrok zwracasz ze smutkiem?
Ja jestem tym wyklętym, wygnańcem, wyrzutkiem,
Jam Paryą!...

Alwar.

Ty?

Idamor.

I gdyby ci bracia wyrodni
Mścili się na mym rodzie występków lub zbrodni,
Ta kara, co los zwalił na moje ramiona,
Byłaby mi znośniejsza jako zasłużona.
Nie bóztwo ja tu winię, lecz kapłanów jego,
Braminów, którzy prawa świętych Wedów strzegą,
I swéj nietykalności otoczeni zbroją,
Struchlałym niewolnikom wolę głoszą swoją,
A wsparci niedołężnych sutryów krwawym mieczem,
Władzę swą nad plemieniem rozparli człowieczém.
Mówią, żeśmy w dniu pomsty stworzeni od Bramy
I z pyłu z pod stóp jego swe istnienie mamy.
Wierzyłem w to, lecz przyszła chwila, w któréj we mnie
Krew zawrzała, rodzinnych naszych borów ciemnie
Nie starczyły mi, chciałem widzieć grody owe,
Co się ku niebu w gmachy piętrzą marmurowe,
O których mi mój ojciec opowiadał cuda;
Chciałem odwiedzić miasta Kizra i Mahmuda,
Gdzie goszczą ci śmiertelni, królowie, półbogi;
Chciałem żyć, czuć i poznać... O mój ojcze drogi!
Jakiż smutek cię musiał ogarnąć w téj dobie,
Gdy ze snu puste łoże znalazłszy przy sobie,
Próżno go z głuchym jękiem pytałeś o syna!...

Alwar.

Uciekłeś?

Idamor.

Tak, to moja zbrodnia jest jedyna.
Tak, sam, bez przewodnika puściłem się w góry;
Liść za strawę, za odzież starczyły mi skóry
Tygrysów, które moje powaliły strzały;
One mi zastąpiły strój nasz znikczemniały,
Coby pogardą ludzką i przekleństwem bogów
Odtrącił stopy moje od ich mieszkań progów.
Benares się przedemną rozświetlił tęczowo.
Usłyszałem trąb głosy i wrzawę bojową,
Echem radosném serce wtórzyło im moje;
Ujrzałem te sztandary, te wojska, te zbroje,
Co w snach moich młodzieńczych, w mém ustroniu cichém
Zapełniały samotność blaskiem i przepychem.
Lecz próżnom na ich czole szukał tego godła,
Z którego się ich bozka natura wywiodła.
Widziałem ich, struchlałych groźbą wojny srogą,
Znikczemniałych miękkością, skamieniałych trwogą,
Jak im miecze ze słabéj wypadały dłoni.
„To oni! zawołałem, o bogi! to oni!...
To ci, co narzucili władzę swą téj ziemi...
Ja przygniotę ich męztwem i owładnę niemi!"
Tak się stało, więc mężnie biegłem stawić czoła
Zastępom chrześciańskim i hordom Mongoła;
Po stu walkach ostatni dzień krwawego trudu
Ciebie jeńcem, mnie wodzem uczynił. Wśród ludu
Biegłem tu jako zbawca, witany z zapałem.
Święty gród w całéj chwale raz obejrzeć chciałem
I uciec. Ale losy inaczéj wskazały.
Te słowa, nowe dla mnie, zwycięztwa i chwały,

Ten lud ścielący kwiaty pod stopy mojemi,
Te zbytki, te przepychy staréj Indów ziemi,
Co się wonią i blaskiem wkoło tu rozprysły,
Ukołysały ducha i zmiękczyły zmysły.
A gdym ujrzał Nealę w dni bóztwa godowe,
Od promieni, co jasną olśniły jéj głowę,
Światło dni przed oczyma ścmiło się mojemi
I mimowolnie czoło schyliłem ku ziemi.

Alwar.

Tak, pamiętam tę chwilę, gdy w białéj oponie
Ona zwycięzkim laurem wieńczyła twe skronie,
Gdy przed posągiem Kryszny marmurowym stała,
Wdziękiem promieniejąca, czystością wspaniała.

Idamor.

Kochałem ją... poznałem ten świat dla mnie nowy,
Co wpółdzikiego spętał złotemi okowy;
Poznałem ile w duszy ludzkiéj się pomieści
Utajonych rozkoszy i niemych boleści.
Próżno myśl mnie dręczyła skrytym niepokojem,
Próżno wspomnienie ojca drżało w sercu mojém,
Próżno chwała wojennym wzywała zapałem:
Nie było ojca, wojny, chwały, praw... kochałem!

Alwar.

A ona?

Idamor.

Z drżącém sercem i obliczem zbladłém,
Gdy tu raz pierwszy przed nią na kolana padłem,

Blask spromienił jéj oczy, i groźbą surową
Rozwarte usta, zwarło przebaczenia słowo.
Dziwne w téj dziewie bożéj uczucie się iści,
Miłość jéj ustępuje czasem nienawiści,
Pod wpływem świętéj grozy, co ją wskroś przetwarza,
Z mych objęć trwożna u stóp upada ołtarza.
W modlitwie i pokucie zatopiona cała...
Kocha mnie jednak... kocha... lecz gdyby wiedziała...
Gdyby znana jéj była tajemnica sroga,
Co wstyd kłamstwa chce wyrzec, co znów tai trwoga,
Na to miano, co wzgardą ludzką mnie okrywa,
Z zakochanéj kapłanka zostałaby mściwa.
Taki mój los... I takie życia mego grzechy...
Potrzebuję pomocy, przyjaźni, pociechy,
A ty sam tylko... Ale słuchaj, liść szeleści
I kraj szaty z daleka spostrzegam niewieściéj;
To ona — ty nad nami czuwaj, i jeżeli
Jaki bramin się tutaj przybliżyć ośmieli,
Wskaż mu miecz—a gdyby chciał krzyczeć, to mu razem
Z głosem i życie w gardle przygwoździsz żelazem.
Teraz zostaw nas samych.

(Alwar odchodzi.)

SCENA II.

Idamor, Neala.

Neala.

To ty Idamorze?

Mów... To ty?

Idamor.

Drżysz Nealo?

Neala.

Czy słyszysz? w przestworze
Dźwięk jakiś... To głos boga zagniewany!

Idamor.

Droga!

Neala.

Lękaj się! lękaj gniewu płomiennego boga!
On grozi!... uciekajmy!... W tym gaju!... ta schadzka!...

Idamor.

Samaś ją naznaczyła.

Neala.

To myśl świętokradzka!...
Uciekajmy!... O! bogi!... Echa świętéj ziemi
Naszéj ja nie chcę kazić słowy bluźnierczemi;
Nie karzcie mnie, ukojcie gniew swój straszne cienie
Assuras... gdzież się skryjem? gdzie dla nas schronienie?

Idamor.

Pozostań tu i chmurę trwogi usuń z czoła;
Czyliż ciebie ta ręka ocalić nie zdoła?

Neala.

Święta groza w około świątyń się rozsiadła,
Przeraźliwe mnie we śnie trapiły widziadła,

Płomień ze złotych naczyń blask rzucał złowrogi,
Drżałam... I gdyby który z kapłanów... o bogi!
Gdyby ojciec mój!...

Idamor.

On śpi.

Neala.

Lecz czuwa przytomnie
Bóg, któregom dla ciebie zdradziła. On do mnie
Przemawiał w szumie wiatru, w głuchym liści szmerze,
On groził téj, co w świętéj nie dotrwała wierze,
W ciemnych gajów szeleście, w szumie wód, co biegą,
Zdało mi się, że słyszę straszne tchnienie jego.

Idamor.

A więc uciekaj do stóp ołtarza, na głazy
Padnij twarzą, by grzesznéj ślad zatarły zmazy;
Pył ziemskiego dotknięcia czyść wonią pochodni
Ofiarnéj, mnie samemu zostaw ciężar zbrodni.
Niech miłość wre i pali w głębi mego łona,
Niech cierpię, schnę i konam!... Ty bądź ocalona!
Stało się... odejdź...

Neala.

Cofnij te słowa złowieszcze!
Wierzę ci, cierpię, kocham!... czyliż niedość jeszcze?
Alem ja słaba... gdybym miała więcéj siły,
Czyżby twoje błagania i łzy mię zmiękczyły?

Czyżbyś mnie widział tutaj w świętych gajów progu
Łamiącą wiarę, którą zaprzysięgłam bogu?
Gdzież wy, jasne zachwyty w dumaniu dziewiczém,
I długie rozmyślania przed Brahmy obliczem,
I czysty spokój, który cnoty daje chwała?
Znikłyście!... bom miłości zwalczyć nie umiała...
Lecz słuchaj... raz ostatni jeszcze łamię prawa
Święte... dla szczęścia, które zatruwa obawa,
By cię widzieć... by słyszeć... czuć żar, którym pałam
W téj chwili... raz ostatni ciebie tu przyzwałam.

Idamor.

Dokończ, Nealo... powiedz... jakaż tajna siła
Chce rozwieść serca, które miłość połączyła?
Któż nam, prócz bogów, zdolny zadać te katusze?

Neala.

Ten, którego czcić, kochać i szanować muszę.
Arcykapłan, mój ojciec.

Idamor.

A więc to on!

Neala.

W chwili,
W któréj się słońce w łono świętéj rzeki chyli,
Korne ofiary bóztwu składałam; lecz usty
Mojemi, miasto modłów, dźwięk wychodził pusty,
Bo w tych kwiatach ofiarnych i w kadzideł dymie
Ognistemi głosami błyszczało twe imię,

Marzyła dusza, w pamięć słów twoich wsłuchana...
Nagle widzę przed sobą twarz arcykapłana.
Zadrżałam... bo tym wzrokiem, co krew we mnie ziębi,
Zdawało się, że sięgał aż do serca głębi.
—„Nealo, rzekł, nim słońce nowy bieg rozpocznie,
„Wiedz, że bóztwa o tobie zmieniły wyrocznie;
„Rzucisz ołtarz, którego zlecono ci straże,
„Zaślubisz śmierelnika; gdy on się ukaże,
„Porzucisz dlań bez żalu, bez łzy i westchnienia
„Ten przybytek pokoju, modłów i milczenia,
„I posłuszna, wierności złożysz mu przysięgę,
„By uczcić wolę ojca i bogów potęgę."
Zbladłam, lecz w ustach słowa zamarły...

Idamor.

Co słyszę!
Więc w obłąkaniu serca i szalonéj pysze
Złorzeczyłem, że bóztwo mnie od ciebie dzieli,
A dziś mi cię śmiertelnik wydrzeć się ośmieli.
Gdzież ów, z którym cię wyrok ten złowrogi wiąże?
Rzeknij słowo... gdzież on jest?... Wódz, bramin czy książę,
Ja odszukam krwi jego pod stalową zbroją,
I z sercem z piersi wydrę obietnicę twoją!...

Neala.

Niestety! Gdy mój ojciec do mnie zwraca mowę,
Słucham, lecz pytać nie śmiem.

Idamor.

Więc ja tajnie owe

Rozjaśnię; ja wynajdę, kędy wiedzie droga
Do tego syna niebios, do tego półboga,
Który tłumów przesądy wyzyskując stare,
Wierzy w siebie i drugim narzuca swą wiarę.
Chcę widzieć twego ojca i z nim...

Neala.

Milcz! po lesie
Może do jego uszu wiatr twe słowa niesie.

Idamor.

Tak chcę... niech on i inni bramini tu staną,
Niech próbują z mych objęć wydrzeć ukochaną
Tą siłą, która tłumy ogłusza i mami...
Twój ojciec!... Już mnie kusił groźbą i darami,
Lecz chcąc kłaść na mnie jarzmo, co inni dźwigali,
Znalazł serce niezłomne w téj piersi ze stali.

Neala.

Czemuż jawiąc przedemną tych tajemnic ciemnie,
Święte uczucia córki pragniesz ranić we mnie
I winisz prawa, które serc czystości strzegą?
Śmiałżebyś sam się oprzeć woli ojca twego,
Gdyby żył jeszcze?

Idamor.

O, tak... tak... on żyje jeszcze!...
Jakież wspomnienia w sercu zbudziłaś złowieszcze!...
Wybacz, jam cię obraził, wybacz, jam szalony!
Ja nie znam układności słów waszych złoconéj.

To jarzmo, co oświata przyniosła wam w dani,
Dla niewolników lekkie, mnie dzikiego rani.
Mnie swobodniéj z pól echem i z lasów szelestem,
Niż w pałacach... I gdybyś wiedziała, kto jestem...
Tak... szanuj wolę ojca... i niechaj bez wieści
Zginie miłość, która cię hańbi i bezcześci!...

Neala.

Kocham cię z całą wiarą i ufnością błogą,
Ktobądź jesteś.

Idamor.

Bramina córko, a wiesz kogo
Kochasz?

Neala.

Ktokolwiek jesteś, złą czy dobrą dobą,
Jabym tron opuściła dla pustyni z tobą.

Idamor.

Nealo! Jakież serce twe wyznanie czyni!
Czemuś się nie zrodziła ze mną na pustyni,
Lub czemu los przeciw mnie rozjątrzony srodze,
Postawił cię świetlaną na méj ciemnéj drodze?
Posłuchaj... już nie mogę kłamać tobie dłużéj.
Słuchaj... i tę bolesną czarę do dna zużyj,
Ja jestem...

Neala.

Jakieś kroki tu zaszeleściały,
Ktoś nadchodzi... zgubionam!... ocal mnie!

Idamor.

Zuchwały
Zginie!... To mój przyjaciel, chrześcianin...

SCENA III.

Ciż sami, Alwar.

(Rozjaśnia się powoli.)

Alwar.

Bez zwłoki
Uchodźmy ztąd, ostatnie pierzchają pomroki,
Złote promienie w przestrzeń szlą swe pierwsze gońce,
I tłum pobożnych dąży, by powitać słońce.

Idamor.

Jakto? już?

Neala.

Uchodź!

Idamor.

Czyliż zobaczym się znowu?

Neala.

Być może...

Idamor.

Rzeknij słowo, a posłuszny słowu
Oddalę się.

Neala.

Więc jutro...

Idamor.

Jutro — zanim nowa
Błyśnie zorza?

Neala.

Tak.

Idamor.

Tutaj?

Neala.

Tak—uchodź!

Idamor.

Bądź zdrowa!

(Wychodzi z Alwarem.)

SCENA IV.

(Wschód słońca.)

Neala (sama).

(Upadając na kolana:)

O ty, coś pierwsze snopem zabłysło z promieni,
Gdy Brahma blask od cienia rozdzielił w przestrzeni,
Słońce! bóztwo wszechtwórcze! Ty, którego władza
Wysusza i odżywia, niszczy i odradza...

Usłysz głos mój!... lustralnéj wody zlewam zdroje
Na sandał i na kokos, święte drzewa twoje;
Szaty me przystroiłam barwami twojemi
I trzykroć tobie czołem uderzam ku ziemi.
Usłysz głos mój!... Niech twoje promienie ustrzegą
Z tego przybytku bóztwa ucieczki winnego,
Niech tajemnica leży ukryta głęboko,
Którą tutaj dostrzegło czujne twoje oko...
Ale jeżeli blask twój zasadzkę dlań ściele,
Jeśli ma umrzeć, że mnie ukochał zbyt wiele,
To jutro, gdy znów z nocnéj rozpłoniesz pomroki,
Martwe tylko kapłanki twéj napotkasz zwłoki.

(Wychodzi.)

SCENA V.

Chór, bramini, rycerze, kupcy, rolnicy.

Bramin pierwszy.

Cień, matka grozy, trapił ród człowieczy,
Truchlało wszystko w przestrzeni,
I wstało słońce, piastunka wszech rzeczy,
W ognistym snopie z promieni,
I prawi bożéj zaufali pieczy,
A źli uciekli strwożeni.

Chór.

O gwiazdo dnia!
Życie w nas léj,
Bo ono drga

W jasności twéj!
Urodzaj szczep
Śród naszych niw,
I miłość krzep
I męztwo żyw!

Bramin drugi.

Ciebie, co Brahma wywiódł nad odmęty,
Wielbim my, jego wybrani;
Przed tobą pierzcha wszystek cień przeklęty,
Wszystko, co krwawi i rani;
I wąż Wasuki, zwinąwszy swe skręty,
Kryje się w modréj otchłani.

Chór.

W przestrzeni lat,
W chaosie dróg,
Ty wiedziesz świat,
A ciebie Bóg.

Rycerz.

O słońce! kieruj ciosów naszych siłą,
Wiedź nas w bojowe zagony;
Niech wróg, którego morze nam rzuciło,
Ku morzu pierzcha strwożony;
A kiedy mężny legnie pod mogiłą,
Zeszlij nań promień złocony.

Chór.

Szlij wrogom mord,
Żyw prawy bój;
Od dzikich hord
Lud ocal twój!

Kupiec.

Za twoją sprawą dobroczynne morze
Dalekie dary nam sieje;
Ty swą jasnością oświecasz przestworze,
Rozpraszasz dzikie zawieje;
Przez ciebie okręt śmiało fale porze,
Niosąc nam zysków nadzieje.

Chór.

Pioruny burz
Odtrącaj w dal!
Tyś królem mórz,
Tyś władcą fal!

Rolnik.

Rozległe pola w złote ścieląc kłosy,
Ty znojne nagradzasz trudy;
Ty krzepisz naszéj twardéj pracy losy
Przez życia zaspy i grudy;
W żywności szlą nam przez ciebie niebiosy
Błogosławieństwo na ludy.

Chór.

Na polu tém
Szczep światła zdrój,
I plonom ziem
Błogosław znój!

Bramin.

Niech jak ty człowiek wschodzi śród pogody!

Kupiec.

Niechaj się mnoży jak złote źdźbła piasku!

Rolnik.

Niech w znojnéj pracy wiek uświęca młody!

Rycerz.

Niech żyje w blasku i zamiera w blasku!

Młode dziewczę.

W boleści, żałobie
Chciéj pomoc nam nieść,
O słońce! ja tobie
Szlę pokłon i cześć!
Mną boleść owładła głęboka,
Bo matka ze śmiercią bój toczy,
I czarnéj już nocy pomroka
Gasnące zaległa jéj oczy.
Ze świateł twych fali
Ty promień rzuć weń,

A śmierć się oddali,
Rozpierzchnie się cień.

Bramin drugi.

Ciebie, co Brahma wywiódł nad odmęty,
Wielbim my jego wybrani;
Przed tobą pierzcha wszystek cień przeklęty,
Wszystko, co krwawi i rani;
I wąż Wasuki, zwinąwszy swe skręty,
Kryje się w modréj otchłani.

Chór.

W przestrzeni lat,
W chaosie dróg,
Ty wiedziesz świat,
A ciebie Bóg.

A K T II.

(Taż sama dekoracya.)

SCENA I.

Chór, Empsael.

Empsael.

Jasném swojém obliczem promieniąc niebiosy,
Gwiazda dnia wysłuchała waszych modłów głosy.
Patrzcie... niebo bez chmurki... bóztwa światła wola
Pogodę leje w serca, życie tchnie na pola.
Ludu! czcij bogów z czołem ku ziemi schylonėm,
Obdarzając ich stale pierwszym pól twych plonem;
Yoghowie dręczcie ciało, Bóg was opromienia,
On świadkiem bolów waszych, on leczy cierpienia,
On was uzacnia ogniem, oczyszcza żelazem,
Krew i łzy przed swym tronem uświęcając razem
I ścieląc cierniem ścieżki, co ku niemu wiodą.
Życie jest ciągłą walką, a wieczność nagrodą,
Więc cierpcie bez szemrania... Teraz na kolana!
Bo zbliża się promienna twarz arcykapłana.
Ziemskie pyły, pod jego stopami świętemi
Ukorzcie serca, czołem uderzcie do ziemi,

I dusze wasze ciszą nastrójcie grobową,
Żeby go nie obrazić spojrzeniem lub mową.
Oddalcie się!...

(Chór rozchodzi się, nakrywając głowy szalami.)

SCENA II.

Empsael, Akebar.

(Otwierają się podwoje świątyni i ukazuje się Akebar, który schodzi powoli po stopniach. Empsael upada na twarz przed nim.)

Akebar.

Wstań i mów... Dźwięki głosu mego·
Czyliż do ich skalanych uszu nie dobiegą?

Empsael.

By uczcić blaski bóztwa, co się w tobie żarzą,
Wszyscy niepoświęceni w proch upadli twarzą.
Chciałeś być sam...

Akebar.

Tak... bóztwem natchniony widomie,
Sam w radości, sam w bolu, sam w czci, sam w ogromie,
Sam wiecznie, sam, niestety!

Empsael.

Czyliż ci niemiły
Ten hołd, którym cię nieme tłumy otoczyły?
Czyż ćmi cię blask nad twojém promieniący czołem
Serc władco, królów królu?

Akebar.

Sam tego pragnąłem,
Kiedy inny piastował to berło duchowe,
A ja musiałem w prochu przed nim tarzać głowę;
Ale teraz samotny, od ludzi z daleka,
Dumny szczęściem co wiecznie przedemną ucieka,
Duszę w lód, serce w kamień, twarz w spiż zamieniwszy,
Jestem najpotężniejszy, lecz najnieszczęśliwszy!

Empsael.

Przeciw tęsknocie, która pierś udręcza twoją,
Wiedza była ci dawniéj ochroną i zbroją.

Akebar.

Tak jest... przez długie lata więdniałem i bladłem
Nad tajniami nauki, czczém mędrców widziadłem.
W dni Brahmy wiek żelazny wplatałem człowieczy,
Dumając nad mistycznym początkiem wszech rzeczy.
Roczniki góry Meru badałem wytrwale,
Co się ukryły w liczbie, sklepieniu i skale;
Więc już wykradłem promień z wszech wiedzy ogniska,
Wiem jak bóztwo przemawia i zkąd piorun tryska,
Odgadłem skryte głoski świętéj księgi Wadu,
Rozumiem gwiazd obroty i syczenie gadu,
Poczwórnych Mahajugów umiem wiązać końce
I w pyle ziemskim nowe odnajduję słońce.
Lecz ta mądrość wydarta z mglistych wieków fali,
Nie nasyciła żądzy, co mnie żre i pali.
Cały gmach wiedzy pod nią łamie się i kruszy,

Czuję pragnienie w sercu, a pustynię w duszy....
Cierpię...

Empsael.

Ty!?

Akebar.

Jakże słodko, jak musi być błogo,
W życie kwiecistą uczuć podążając drogą,
Uganiać się za widmem czczych złudzeń dalekiém,
Cierpieć ból, czuć rozkosze, kochać, być człowiekiem!..
Ale ja!...

Empsael.

Jakaż boleść twe serce przenika?

Akebar.

Szczęśliwszego od siebie mam współzawodnika:
Idamor...

Empsael.

Znów to imię!

Akebar.

Tak... ten Rahma nowy,
On jeden, co przedemną nie chciał schylić głowy;
Za trochę krwi wylanéj w ojczyzny obronie,
Lud błogim wieńcem chwały otoczył mu skronie
I w ziemię czołem przed tym półbogiem uderza....
Cóż on czynił?... co sprawił?.. Powinność żołnierza.

On nie oczyszczał ducha przez bole i chłosty,
Ciała mu nie zsuszyły całoroczne posty,
I nie dumał w pustyni nad wieków pomrokiem,
Zaskrzepły jako skała w milczeniu głębokiém,
Spowity w mchy, co na nim jak na głazie zwisły...
On ma miłość i serce, rozkosze i zmysły,
On może darów życia używać obficie,
Sycić żądze i żądze znów znaleźć w przesycie.
A ja, zwarłszy za sobą wielkości wrzeciądze,
Jestem głuchym na miłość, zmartwiałym na żądze;
Samotny i zmrożony w pustyni bez końca,
Jako głaz, w który promień nie uderza słońca;
Jeszcze spoglądać muszę z tajnym niepokojem
Na to jedyne dobro, co zostało mojém,
A które on z zawiścią wydziera mi wilczą...
Upadam... tracę władzę... a bogowie milczą!...

Empsael.

Bo gromem swego gniewu nie chcą razić oni
Tego, co ich od wrogów zasłania i broni.

Akebar (ponuro).

Tak... trzeba... więc ja przed nim mą dumę uchylę,
Czekam na niego, on tu zjawi się za chwilę;
Pragnę dzisiaj uczuciem przyciągnąć go nowém...
Niech skłoni głowę, niech mnie jedném uczci słowem,
Wybaczę mu...

Empsael.

Więc ma się ukorzyć przed tobą?

Akebar.

Nealo!... O ty moja chlubo i ozdobo!
Tyś mi szczęściem, lecz razem dręczysz mnie tajemnie,
Przez uczucie, coś wzbudzić potrafiła we mnie.
Miłość nawet dla córki jest groźnym wyrzutem,
Bo w mém sercu z słabości człowieczych wyzutém
Niewolnik władzy, która spętała mi ręce,
Nawet pieszczoty muszę odpychać dziecięce,
I kiedy widzę ojca, co córkę w ramiona
Obejmuje, a ona szczęściem spromieniona
Twarz mu tuli do piersi, — klnę wielkość mozolną
I te pieszczoty, których użyć mi niewolno...
Córko moja! jeśli cię utracę, niech za to
Skruszenie jego dumy będzie mi zapłatą;
Ona jest węzłem, który połączy nas obu
I przez nią wielkość moją poniosę do grobu...
O! ten człowiek...

Empsael.

Już idzie na twoje wezwanie
Posłuszny... ukryj wstręt swój...

Akebar.

Co mówisz kapłanie?
Spojrz na pogodę czoła, na jasność wejrzenia,
Mnie obce gniewy ludzkie i ludzkie cierpienia...
Odejdź!

(Empsael wychodzi.)

SCENA III.

Akebar, Idamor.

Idamor.

Chciałeś mnie widzieć... przed tobą tu stoję;
Braminie, czego żądasz, powiedz?

Akebar.

Słowa twoje
Mimowolnie zdradzają tę nienawiść całą,
Którą pałasz... Patrz! we mnie nic nie pozostało
Z gniewu i zemsty ludzkiéj—nic...

Idamor.

Bo dla nich tamą
Twój chłód, a u mnie serce wiecznie jest to samo,
Prawe, ale niezłomne.

Akebar.

I podszeptów słucha
Dumy, mieniąc pogardę praw wielkością ducha,
Upór męztwem, zacnością gniew, co w piersiach żarzy
I dziką siłę stawia na miejscu ołtarzy.
Niech lud bezmyślny składa nędzne hołdy swoje,
Ty, wznosząc w niebo głowę wieńczoną na boje,
Gardzisz ludźmi...

Idamor.

Zkąd zarzut ten na mnie, braminie?
Czyliżem kiedy zbrojnie naszedł twą świątynię

I nieprawych méj władzy szukając zdobyczy,
Bóztwa twego obrządek gwałcił tajemniczy?
Ty strzeż tych świętych ogniów, co w ołtarzach płoną,
A mnie zostaw czuwanie nad kraju obroną,
I nie sądź, że się zawiść w mém sercu obudzi,
Żeś ty ostatni z bogów, gdym ja pierwszy z ludzi.

Akebar.

Czemu się w ostre słowa przeciw sobie zbroim?
Czyliżem twoim wrogiem?

Idamor.

Jesteś wrogiem moim
Srogim, nieubłaganym!...

Akebar.

Lecz jawnie czy skrycie
W czémże ci zawiniłem, cożem ci wziął?

Idamor.

Życie!...
Ty mi rany zadałeś od Mongołów krwawsze
I szczęście moje całe wydarłeś na zawsze.

Akebar.

Ja, starzec ponad grobem, z starganemi siły,
Któremu skon już blizki Nieba naznaczyły;
Ja, który tylko czekam z pochyloną głową
Na wieczny odpoczynek i ciszę grobową;
Ja, którego jedyną nadzieją i chwałą
Jest córka, którą bóztwo w pieczę mi oddało,

Abym ją z śmiertelnikiem powiódł do świątyni
Tak wielkim, aby boga mógł zastąpić przy niéj?

Idamor.

Wybrałeś go?

Akebar.

Gdy kresu dni moje dobiegą,
On będzie jéj podporą.

Idamor.

Któż on?

Akebar.

Imię jego
Rozbrzmiało w całym kraju przez czyny olbrzymie,
On wielki, on potężny, on wódz.

Idamor.

Lecz to imię?...
Wymień je!

Akebar.

Zbrojny w prawych bohaterów cnoty,
Jest godzien mnie i córki.

Idamor.

Ale powiedz kto?

Akebar.

Ty!

Idamor.

Ja?

Akebar.

Czyż jeszcze imieniem nazwiesz mnie złowrogiém?

Idamor.

Ty jesteś moim ojcem!... dobroczyńcą!... bogiem!...
Ja?...

Akebar.

Tak jest, ty; i dzisiaj w najpierwszy dzień wiosny,
Kiedy bramini kwiatów czczą rozkwit radosny
I słońce najpiękniejsze szle z swoich promieni,
Chcę, byście przed ołtarzem zostali złączeni.

Idamor.

Ojcze! dziś nowe życie dla mnie się rozpocznie,
Czczę twoje dobrodziejstwa, wielbię twe wyrocznie
I krew moją poświęcić pragnę tobie całą...
Tak, dziś się przez twe usta bóztwo odezwało...
Ojcze! ja ją kochałem... O! ona mi była
Tchnieniem duszy, krwią serca... z niéj męztwo, z niéj siła,
Z niéj nadzieja, z niéj rozpacz, z niéj wszystko... Więc
[to ja
Ojcze?... O, Bóg cię natchnął!... Ty gołąbko moja
Urocza, czysta, święta!... I chcesz dzisiaj jeszcze?!...
O! przeklinam méj duszy podszepty złowieszcze,
Co mnie z tobą...

Akebar.

Zapomnij o tém zajściu całém.
Może zbyt szorstko tobie rady narzucałem,
Możem cię zraził słowem mylnie zrozumianém?

Idamor.

Bądź mym doradcą, sędzią, i władcą, i panem,
Kieruj mną... Lecz gdzież ona, ta Lakmi wcielona?
Powiedz mi, czy ją ujrzę, mój ojcze?.. gdzie ona?

Akebar.

Dla ciebie świętych naszych praw przepisy łamię;
W tych gajach, wszechtwórczemu poświęconych Brahmie,
Nealę, którą kochasz, w krótkiéj ujrzysz chwili...
Żegnam cię...

(Podaje rękę Idamorowi, który ze schyloną głową kładzie na niéj pocałunek.)

(Akebar na stronie:)

Tak chciał Brahma, dumny czoła chyli.

SCENA IV.

Idamor (sam).

Jego synem.... jéj mężem.... dom, prawa, rodzina,
Wszystko!... lecz dawniéj także słodkie miano syna
Słyszałem.... gdzież mój ojciec?.. On w téj chwili może
Tęsknotą i rozpaczą powalon na łoże,
Z wyschłych cierpieniem oczu łzę ostatnią roni...

O! oni we mnie serce wysuszyli.... oni
Taką niecność zbudzili w sumieniu zamarłém,
Że pobratany z kłamstwem, ojca się wyparłem!
Mamże więc, w te zatrute podążając ślady,
Prowadzić daléj wątek ohydy i zdrady,
I miłość wyzyskując podstępnie Neali
Kryć przed nią tajemnicę, co krew we mnie pali?
A gdy się przyznam do téj świętokradztwa zbrodni,
Od nich śmierć i przekleństwo, a pogarda od niéj!...
Co czynić? które życie... która śmierć znośniejsza...
Zbliża się... jakże piękna!... O! stokroć piękniejsza
Jeszcze... zbliża się... jakąż dzisiaj czuję trwogę!
Drżę... niestety, dziś widzę, że drżeć jeszcze mogę.

SCENA V.

Idamor, Neala.

Neala.

Czołem do ziemi! bóztwo łaskami swojemi
Nas darzy, ojciec łączy, więc czołem do ziemi!...
Uczcijmy łaskę bożą i kapłana wolę
W pokorze... Ale zkądże chmura na twém czole?

Idamor.

Nealo!

Neala.

Co?

Idamor.

Niestety!

Neala.

Czy nam bogi nowém
Nieszczęściem grożą?

Idamor.

Mamże zabić jedném słowem
Ją i siebie?... Kochasz mnie?

Neala.

Ja?

Idamor.

Miłością trwałą,
Nieskończoną, bez granic?

Neala.

Co się tobie stało?

Idamor.

Mnie kochasz, a nie wielkość, co na szczyt mnie wiodła,
Nie blask mojéj godności, nie potęgi godła,
I gdyby losy dóbr tych nadarzyły zgubę,
Czyż twa miłość tę ciężką przetrwałaby próbę?

Neala.

Ty pytasz?

Idamor.

Czyż w twém sercu nigdy się nie budzi
Litość dla tych, co wzgardą obrzuceni ludzi?..

Neala.

Któż oni?

Idamor.

W przepaść nędzy strąceni głęboką,
Hańbę, śmierć i przekleństwo po za sobą wloką.

Neala.

Nie mów o nich, bo nazwa tych wyklętych Brahmy
Zatrułaby powietrze, którém oddychamy.

Idamor.

Jeden z nich, z serca bojaźń odgoniwszy podłą,
Strząsł z ramion srogie hańby i pogardy godło,
A licznych walk i zwycięztw ubezpieczon zbroją,
Kazi święty gród bogów obecnością swoją.

Neala.

O, niechaj jak płaz podły zamiera nikczemnie!
Wszakże miecz nosisz, a więc śmierć mu!

Idamor (klękając przed nią i podając jéj miecz).

Uderz we mnie...
Ten potwór u nóg twoich.

Neala (rzuca się do posągu Brahmy i obejmuje go rękami).

Boże czterogłowy!
Ocal twoją kapłankę!... spuść grom!... niech okowy
Głazów ziemnych rozprysną, i z głębi topieli
Niech wstanie otchłań, co mnie od niego oddzieli!

Idamor (klęcząc).

Życie dla mnie ciężarem, weź, oszczędź boleści,
Przyjaźń moja uśmierca, a miłość bezcześci,
Imię trwoży...

Neala (nie spoglądając na niego).

Niech Niebo na mnie się uzbroi,
Ale jestem bezsilną, nie chcę śmierci twojéj...
Oddal się, nieszczęśliwy!...

Idamor.

I gdzie?... W jakie strony
Udam się?... odepchnięty, wyklęty, wzgardzony?
Gdy to, co było szczęściem, dziś mi boleść iści,
Z dnia zniknął blask, woń z kwiatów, a zieloność z liści.
Gdzież ukoję tę rozpacz, co wre w mojém łonie?
Gdzież się przed mą miłością, przed tobą uchronię?
Tu wszędzie pełno wspomnień, tu szczęście, tu chwała,
Tam pustynia... a jednak wszakżeś mnie kochała?

Neala.

Niestety!

Idamor.

Z uczuć, które owładły cię całą,
Czyliż już w twojém sercu nic nie pozostało?
To wyznanie, co raną pierś rozdarło srogą,
Czyż cię tylko natchnęło pogardą i trwogą?
Czyliż mi w oczach twoich ono nie nadawa
Łaski do przebaczenia, do szacunku prawa?
Słuchaj, te skarby krwawym nabyte mozołem,
Władzę, przeszłość... pod stopy ci wszystko cisnąłem,
Bo pragnąłem, nadzieję żywiąc w sercu skrycie,
Wszystko tobie zawdzięczać.. władzę.. szczęście... życie!..

Neala.

Więc chcesz, bym losy twoje podzielając twarde,
Skazała się na wieczną hańbę i pogardę?
Ale któż mnie ocalić, kto uchronić zdoła,
Kiedy mnie bóg wskrzesiciel przed siebie powoła?
Któż wtédy jego pomsty strasznéj mi oszczędzi
I co odpowiem temu zgniewanemu sędzi?
Mamże, gwałcąc mą wiarę, czystość i sumienie,
Wlec jeszcze po za grobem zhańbione istnienie,
I przykuta wraz z tobą do cierpień łańcucha,
Niszczeć w ciągłéj zatracie skażonego ducha,
Wygnana z tych przybytków szczęścia i wesela,
Co je Brahma wybrańcom w nagrodę rozdziela?

Idamor.

Lecz jakież niecne zbrodnie, jakież czarne czyny,
Od téj bożéj nas mają odtrącać dziedziny,

I gdy innym tu błoga nadzieja promieni,
Dla czegoż my jedynie z niéj wydziedziczeni?
Czyż nie Brahma nas stworzył? Czyż na naszéj twarzy
Promiennéj myśli jego iskra się nie żarzy?
Czyż ci, co nam przekleństwa narzucili znamię,
Mają oko pewniejsze lub silniejsze ramię?
Czyliż śmieléj ich głowa wpatrzona w niebiosy?
Czyliż dla nich wyłącznie słońce złoci kłosy,
A dla nas chwast dojrzewa, albo trawa licha?
Czyli chłodzący owoc na ustach nam zsycha?
Czyliż gdy znojne chcemy nasycić pragnienie,
Bieg swój od nas zwracają rzeki i strumienie?
I oni w walce z życiem wątłe tracą siły,
I na nich namiętności swe ślady wyryły,
Łzy życia i uśmiechy z jednéj wzięli dłoni
I jak my cierpią... a my... kochamy jak oni!...
O! stokroć więcéj jeszcze!... Zkąd ta kara sroga?...
Stworzenie jest miłością a nie gniewem Boga,
A człek o tém zapomniał w duszy swojéj głębi,
On niszczy, on zabija, on rani, on gnębi!
Lecz przez śmierć wszystkie cząstki w całość się ułożą
U stóp Bramy... Tam bramin ufny w łaskę bożą,
I parya, odtrącony przekleństwem zbrodniczém,
Znajdą miłość i światło przed jego obliczem.

Neala.

Milcz! szanuj klątwę bożą i w proch padnij pod nią;
Słuchać tych słów występkiem... dać im wiarę zbrodnią.
Odejdź... zostaw mnie samą....

Idamor.

Każesz, niech się stanie;
Ale nim to ostatnie przyjmiesz pożegnanie,
Spojrz na mnie...

Neala (zwracając się ku niemu).

Idamorze!

Idamor (zbliżając się ku niéj).

Wszak na mojéj twarzy
Ognistemi głoskami przekleństwo nie żarzy?
Wszakże mi czoła jeszcze krwawo nie ocienia
Przerażające grozą piętno potępienia
I oczy ogniem piekieł jeszcze nie goreją?
One tylko miłością płoną i nadzieją...
Dozwól, niechaj od ciebie blask i życie biorą...
Nie drżyj... niechaj ta ręka będzie ci podporą,
Niech w niéj dłoń czuję twoją... Czyż Brahma widomy
Pomiędzy nas wyrzucił gniewu swego gromy?
Czyż przestwór niebios groźną nocą się zaciemia
I pod naszemi stopy rozpada się ziemia?...
Nie... bóztwo zwraca ku nam twarz wypogodzoną...
Bądź jak ono miłością, i przebacz jak ono!...

Neala.

Pozostaw mnie... Nieszczęsna!... naraz ciosów tyle!...
Spłoszona myśl ucieka... pozostaw mnie chwilę...
Kapłanki tutaj przyjdą ołtarz darów ziemi
Składać Lakmi... Niech i ja pomodlę się z niemi!

Idamor.

Lecz przedtém niech twe usta w wyrok się uzbroją:
Śmierć czy życie?

Neala.

Pozostań na niedolę moją.

(Idamor wychodzi z prawéj strony, Neala z lewéj, w głębi ukazują się kapłanki.)

SCENA VI.

Chór, Kapłanki.

Chór.

Na czole kwiat, a w ręku kłos,
Pod stopą gniecie węża,
Użyznia świat perłami ros,
Miłością śmierć zwycięża;
Z niéj tryska płód, z niéj życie drga,
Z niéj wszystko tchnie w przestrzeni.
Bogini cnót! niech jasność twa
Nam życie opromieni!

Kapłanka pierwsza.

Ku tobie wołamy,
O święta!
W miłości tyś Brahmy
Poczęta.

Tyś pola zasłała
Zbóż siatką,
O Lakmi wspaniała,
O matko!

Chór.

Zejdź z górnych nieb, stań pośród nas,
Zapłodnij tchnieniem ziemię,
Miłością krzep, daj błogi wczas,
Niech wzrasta ludzkie plemię!

Kapłanka pierwsza.

O! patrzcie, tam z dala,
Z przestrzeni, z za świata
Promieni się fala
Skrzydlata!
I dźwięczy, i kwili
Rój skrzydeł motyli,
Ku ziemi się chyli
I wzlata.

Kapłanka druga.

Przeleciał przez darnie,
Na krzaku siadł róży,
Oczkami wciąż mruży
Figlarnie!
I chyli się do niéj,
I główkę wciąż kłoni,

Snop wdzięków i woni
Zagarnie!

Kapłanka trzecia.

A tam znów nad wodą,
W promiennéj przezroczy,
Geniuszè chór wiodą
Uroczy!
I coraz wspanialéj
Bujają po fali,
A rozkosz krysztali
Ich oczy!

Kapłanka czwarta.

O! dziewczę, strzeż głowy,
Strzeż serca dziewczyno,
Ku tobie w różowy
Rój płyną!
W blask myśli nastroją,
Spłomienią pierś twoją,
Rozkoszą upoją
I zginą!

Razem cztery kapłanki.

O! patrzcie, tam z dala,
Z przestrzeni, z zaświata,
Promieni się fala
Skrzydlata!

I dźwięczy, i kwili
Rój skrzydeł motyli,
Ku ziemi się chyli
I wzlata!

Chór.

Na czole kwiat, a w ręku kłos,
Pod stopą gniecie węża,
Użyznia świat perłami ros,
Miłością śmierć zwycięża;
Z niéj tryska płód, z niéj życie drga,
Z niéj wszystko tchnie w przestrzeni.
Bogini cnót! niech jasność twa
Nam życie opromieni.

A K T III.

(Taż sama dekoracya.)

SCENA I.

Neala, Zaida, Mirra, Kapłanki.

Neala.

Ty, coś dzielnego Rahmy los dzieliła srogi
I straszną próbą ognia rozbroiłaś bogi,
Shito! wspomóż mnie dzisiaj, zgaś żar, którym płonę,
Daj siły...

Mirra.

Czemu twoje czoło zachmurzone?

Zaida.

Czemu twe oczy w przestrzeń wpatrzone boleśnie?
Czyli złowieszcze mary dręczyły cię we śnie?

Neala.

Nie mary...

Mirra.

Z drżącém sercem i twarzą wybladłą
Może z drzewa, co świeżo pod toporem padło,
Słyszałaś skargę bóztwa więzionego?

Neala.

Drzewa
Milczały dla mnie.

Zaida.

Może wiatr, co rosę zwiewa
Z świętych bananów, które w gaju bogów rosną,
Jaką wróżbą twe ucho przeraził żałosną?

Mirra.

Czy niecna stopa, bogów przybytek bezcześci?

Neala (żywo).

O nie!... nie!...

Zaida.

Więc nam wyjaw źródło twéj boleści...
Może wyroczni słowem objawiona świętém,
Myśl przyszłego małżeństwa przejmuje cię wstrętem?

Neala.

Będę posłuszną bogom.

Mirra.

Tak uczyń, ich władza
Zuchwałą pychę karci, pokorę nagradza.

Zaida.

Co było nizkiém wznosi, co wyniosłém strąca.

Neala.

Święty kwiecie lotusu! różo woniejąca!
Blask wasz po raz ostatni do mnie się uśmiecha;
Głuche mi odtąd będą gaju bogów echa,
Już nie ujrzę was więcéj, podziemne sklepienia,
Gdzie sny były tak błogie, tak czyste marzenia.
Wy, coście mi w modlitwie wtórzyły dziecięcéj!...
Białe gołąbki Brahmy... nie ujrzę was więcéj!...
Zapadnijcie w przeszłości pomroce głębokiéj
Wspomnienia...

Zaida.

Jakiś obcy zwraca tutaj kroki.

Mirra.

Starzec...

Zaida.

Zgarbiony wiekiem, twarz wychudła, blada,
Siwy włos mu w niełądzie na ramiona spada,
Ubiór w łachmanach... ale patrzcie, on ku naszéj
Stronie zmierza, uchodźmy!

Neala.

Starzec ciebie straszy?
To Yoghi, co chce święte może zwiedzić miasto...
Pozostańmy i wskażmy mu drogę.

SCENA II.

Neala, Zaida, Mirra, Zares, Kapłanki.

Zares (wchodząc oparty na kiju, do Neali).

Niewiasto!
Dozwól niech tu na chwilę odpocznę strudzony.

Neala.

Zkądże przybywasz starcze?

Zares.

Z oddalonéj strony.

Neala (zbliżając się ku niemu, żeby podać mu rękę).

Zaledwie już nogami powlekasz słabemi,
Oprzyj się na mnie... Ktoś jest?

Zares.

Ja?... obcy na ziemi.

(Do kapłanek, które go otaczają:)

Pomocy żądać nie śmiem, a litości prosić
Nie chcę.

Neala.

Lecz nieszczęśliwy jesteś?

Zares.

Tak.

Neala.

To dosyć,
Byśmy ci pośpieszyły z wsparciem i posługą.
(Zares siada na ławce kamiennéj, Neala mówi daléj:)
Dla czegoż sam w tę podróż wybrałeś się długą?

Zares.

Bo nie mam przyjaciela.

Neala.

I żadnéj usłużnéj
Ręki, coby cię wsparła? Z czegoś żył?

Zares.

Z jałmużny,
Którą mi porzucano po drodze.

Neala.

Więc z blizka
Pragnąłeś pewno bogów obejrzeć siedliska
I swą głowę ich świętych stóp posypać pyłem?

Zares.

Nie.

Neala.

Czegoż szukasz?

Zares.

Dobra, które utraciłem.

Neala.

Starcze! jeżeli tylko będzie w ludzkiéj sile
Zwrócić stratę, nad którą ubolewasz tyle,
To mój ojciec, wszechwładny wśród Brahmy czcicieli...

Zares.

Masz ojca?... O, niech nigdy los cię z nim nie dzieli!

Neala.

Płaczesz starcze?

Zares.

Tak, łzy mi nie zsychają z powiek...

Neala.

Kto więc zdoła ci pomódz?

Zares.

Jeden tylko człowiek:
Wasz wódz...

Neala.

Idamor?

Zares.

Tak... on.

Neala.

Prośby twe dobiegą
Doń przezemnie.

Zares.

Któż jesteś?

Neala.

Narzeczoną jego.

Zares.

Ty?

Neala.

Tak. I dzień dzisiejszy, za bóztwa rozkazem,
Ujrzy nas przy ołtarzu połączonych razem.

Zares (ponuro).

Więc śmierć!

Neala.

Może twą boleść wyznania ukoją?

Zares.

Nie... Jemu tylko wyznam tajemnicę moją.

Neala.

Otoż i on.

Zares.

O bogi! Jakże w oczach ciemno!
Krew krzepnie, wątłe nogi chwieją się podemną!
Tak... to on...

(Upada bezsilny na ławkę kamienną.)

SCENA III.

Zares (otoczony przez kapłanki), **Neala** (na środku sceny), **Idamor i Alwar** (w głębi).

Alwar (do Idamora).

U bram miasta, schylony ku ziemi,
W łachmanach, z twarzą bladą, oczyma łzawemi,
Z jękiem błagał żołnierzy, którzy wałów strzegą
Miejskich, mówiąc: „Do wodza wiedźcie mnie waszego.”
A oni: „Ty do wodza, żebraku? i po co
Ci wódz?” Więc rozczulony tą prośbą sierocą,
Przyprowadzam cię.

Neala (zbliżając się do Idamora).

Niech w téj błogiéj dla nas chwili
Ucho twoje ku prośbom starca się przychyli.

Idamor.

Ty prosisz?... o, rozkazuj!

Neala (do kapłanek).

Podążmy kwiatami
Zdobić ołtarz.

Idamor (do Alwara).

Pozostaw nas.

SCENA IV.

Zares (siedzący), **Idamor.**

Idamor.

Jesteśmy sami,
Mów starcze, czego żądasz?

Zares.

Tak... to on... drżę cały...
Jakże dawno te dźwięki w uszach mi nie brzmiały!

Idamor.

Ten głos!... Jakże mnie dziwnym dręczy niepokojem?...
Zamierzchłe się wspomnienia budzą w sercu mojém...
Znam ten głos... Ktoś ty?

Zares.

Obcy... szukam niewdzięcznika,
Co mnie opuścił.

Idamor (rzucając się ku niemu).

Ojcze!

Zares.

Bogi! gniew mój znika!

(Porywając go w objęcia:)

Synu mój!

Idamor.

Ojcze!

Zares.

Synu! Miłość zmywa winy...
Czemużeś mnie opuścił, o ty mój jedyny?...
Tyle cierpiałem!... krwawą zadałeś mi ranę...
Ale ujrzałem ciebie... wszystko zapomniane!

Idamor.

Więc mi wybaczasz?

Zares.

Niebo znów mnie tobą darzy.
Lecz jakiż zapał w oczach i powaga w twarzy!
Dzielny mąż z ciebie... wzrosłeś w urodę i siły.

Idamor.

Lecz ciebie, ojcze, lata ku ziemi schyliły.

Zares.

Nie lata, lecz cierpienia, lecz boleść po stracie,
Opustoszałe miejsce w méj ubogiéj chacie,
Noce bez snu groźnemi straszące widziadły
I łzy co mi kamieniem na serce upadły.
O, ten dzień straszny!... zanim dobiegnął do końca,
Ilem cierpiał!... Widziałem wschód i zachód słońca,
I znowu rozpłynęło promieńmi złotemi,
Ale dla mnie już światła nie było na ziemi...

Próżno sercu zwodniczą kłamałem pociechą,
Wołałem... lasów tylko oddźwięczało echo.
Więc szedłem znów ku chacie, myśląc sobie: „Może
On już wrócił...” Spoglądam... opuszczone łoże
I, pusto... tylko węgle wpółzgasłe migocą,
I zostałem samotny z milczeniem i nocą!...
Ta noc więcéj niż długie złamała mnie lata...
Jakże mi się obszerną pusta zdała chata!...
Widziałem cię, z skrwawioną piersią, z czołem bladém
Pod szponami tygrysa albo węża jadem,
I obwiniałem w mojéj żałości dziecinnéj
Skały, co ci schronienie dać były powinny,
Drzewa, co cię ratować nie chciały w potrzebie,
Ziemię, słońce, świat cały i samego siebie...
Lecz ciebie nie winiłem, mój synu... boć przecię
Ty mi byłeś jedyną podporą na świecie,
Siłą przeciw zwątpieniu, przeciw złemu zbroją,
Miłością i marzeniem, krwią i wiarą moją!...
Tak... wszystkich oskarżałem, o mój synu drogi,
Oprócz ciebie... a ty sam przewiniłeś!

Idamor.

Bogi!

Jakżeś cierpiał!

Zares.

Lecz z jakąż boleść wzrosła siłą,
Gdy pierwsze podejrzenie w sercu się zbudziło!
Uczułem dreszcz... wzrok chmurą przysłonił się ciemną,
Zachwiałem się i prawda zabłysła przedemną.

Więc w mém życiu wyklętém i opustoszałém
Całą wiarę i miłość ja na ciebie zlałem,
By zostać sam... „O Brahmo! wołałem w rozpaczy:
Ty, coś mnie w łonie matki na żywot tułaczy
Skazał i niewinnego pokrzywdził niegodnie,
Nie wierzę w ciebie... Wierzę w niewdzięczność i zbrodnię!
I jakiż los... za uczuć najświętszych pogrzebem
Samotny, między ziemią błąkać się a niebem,
Czuć pustynię, co w sercu obolałém gości
I zaprzeczać łez ludziom... a bogom miłości!”
Przecierpiałem trzy lata... tkwiła bowiem we mnie
Wiara, że wrócisz... ale czekałem daremnie.
Więc porzuciwszy nasze lasy tajemnicze,
Szedłem pierwszy raz ludzkie oglądać oblicze,
Sam... z głową obnażoną... pośród słońca spieki,
I znalazłem cię... by cię utracić na wieki!

Idamor.

Co mówisz?

Zares.

To małżeństwo...

Idamor.

Więc ci powiedziano?

Zares.

Ono mi serce nową zakrwawiło raną.

Idamor.

Wierzaj mi ojcze...

Zares.

A więc ukój moją trwogę
I boleść, uchodź ze mną z tych miejsc.

Idamor.

Czyliż mogę?...

Zares.

Odmawiasz?

Idamor.

Po co żałość rozdrażniać wzajemną
Widokiem tych miejsc, z których szczęście znikło ze mną?
Tam echa i wspomnienia, drzewa, wody, skały
Moją winę i twoją boleśćby wznawiały.

Zares.

Miniona boleść sercu żalu nie przyczyni,
Idźmy!

Idamor.

Lecz czemuż szczęścia szukać na pustyni
I w samotność się lasów zanurzać głęboką,
Kiedy nam życia wrota otwarte szeroko
I przyszłość dni nam złoci w barwy okazałe?...
Podzielaj moje skarby, bogactwa i chwałę.

Zares.

A więc gdyś stracił pamięć, mnie ją weź... Gdy w duszy
Twojéj przeszłość żadnego dźwięku nie poruszy,
To wiedz, że ona wiecznie przed mym wzrokiem stoi,
W całym dzikim uroku samotności swojéj...
Sądzisz, że zgrzybiałego starca umysł słaby
Waszych miast marmurowych przyciągną powaby?
Że go złocony zbytek ku sobie przynęci,
Całą wyklętą przeszłość zatarłszy w pamięci?...
Ona żyje, w swą barwę obleczona ciemną;
Tak... żyje... i na wieki pozostanie ze mną.
Dla mnie swobodniéj w mojém tém ustroniu dzikiém.
Tam mi sklepieniem niebo, a gwiazdy świecznikiem,
Tam do niewinnych piętno nie przyrasta zbrodni,
Tam pierś w wielkiéj przestrzeni oddycha swobodniéj,
A dziki zwierz, co rykiem swoim echa budzi,
Mniéj straszny od tych waszych ukształconych ludzi.
Mówiłeś mi o chwale... mnie chwałą jedyną,
Że gdy promienie słońca we mgłach się rozpłyną,
Głowę na twém ramieniu ułożę stroskaną,
I znów, budząc się ze snu, zobaczę cię rano.
Chcesz, bym gwałcąc wyznanie, które zaprzysiągłem,
Życie pędził w obłudzie i udaniu ciągłém,
Kradnąc z obrzydłą fałszu zasłoną na twarzy
Chwile, któremi litość mnie twoja obdarzy?
O, nie! ty tego dla mnie nie pragniesz zakału!...
Kocham ciebie bez granic... bądź mym bez podziału,
I nie płać serca tobie oddanego szczerze
Resztą uczuć, co miłość dla siebie zabierze.
Nie chcę być cieniem twojéj téj gwiazdy przewodniéj...

Idamor.

Więc znasz ją i chcesz, żebym oddalił się od niéj?
To nad siły...

Zares.

A więc spiesz, gdzie szczęście i chwała,
Na łono téj rodziny, co ciebie przybrała;
Spiesz do niéj... ja w samotną znów podążę drogę,
Z spokojem w duszy... bo cię nienawidzieć mogę.

(Biorąc kij do ręki:)

Wierny mój towarzyszu, pójdź, podążmy razem!
Pójdź, bo u nich lód w piersiach, u nich serce głazem
I przedemną nie syn mój, ale obcy człowiek,
Co ojcu przy skonaniu nie chce zawrzeć powiek.

(Postępując z wolna ku kulisom:)

Niechaj dni mu w żałobie tak jak mnie przebiegą,
Przeklinam go!... I ty mnie opuszczasz samego,
Idamorze?

Idamor.

Wstrzymaj się!

Zares.

Ty płaczesz...

Idamor.

O! srogą
Rozdzierasz mnie boleścią!

Zares.

Więc łzy me przemogą?
Spojrz! tam przed nami szczęścia i zbawienia droga!
Oddaj mi wiarę, miłość, ród, życie i boga!
Oddaj syna!... Uchodźmy!...

Idamor.

Wielkie bogi!... Tyle
Cierpień!... Dozwól niech jeszcze ujrzę ją na chwilę,
Niech ulżę duszy srogą rozdartéj żałobą,
A potém...

Zares.

Co?

Idamor.

Przysięgam... że pójdę za tobą.

Zares.

Słuchaj... choć mnie uczucie udręcza złowieszcze,
Chcę tobie wierzyć... tak jest... wierzę tobie jeszcze;
Ale skracaj te chwile, co mnie niepokoją,
Bo wyjawię przed ludem tajemnicę moją.
Tak, powiem...

Idamor.

O, przez litość! to słowo śmierć niesie!
Ojcze mój!

Zares.

Więc na ciebie czekam w świętym lesie,
W jego gęstwiach ukryty przed okiem bramina...
Teraz nie pragnę śmierci, gdym odzyskał syna,
Bo dzisiaj serce w piersi silniéj mi zadrgało
I w obec łez twych śmiałość utraciłem całą.
Lecz śpiesz.

(Całuje go i wychodzi.)

SCENA V.

Idamor (sam, odwracając się do posągu Brahmy).

Brahmo! Jeżeli w twém kamienném łonie
Litosnego uczucia iskra jaka płonie,
Spuść na mnie jeden uśmiech promienny z przezroczy,
Bym nie padł pod tym bolem, co mi piersi tłoczy.

SCENA VI.

Idamor, Alwar.

Alwar.

Bracie... pozdrawiam ciebie na duszy wesele.
Już dymią kadzielnice, już kwiat ziemię ściele,
Święte ołtarze bóztwa laur ofiarny słoni
I ku niebu się wznosi mgła świateł i woni...
Chodź!

Idamor.

Niestety!

Alwar.

Pójdź!... ludu napływa już fala,
Oblubienica wzywa już ciebie.

Idamor.

Neala!

Alwar.

Tak... ona.

Idamor.

A więc próby nadeszła godzina...
Nealo!... O, ty moja nadziejo jedyna!
Zobaczę cię... na wyrok twój czekam ze drżeniem,
Ale miłość kobiety zwie się poświęceniem.

Alwar.

Co tobie?

Idamor.

Słuchaj... w gaju świętym, tam z daleka
Ukryty w ciemnych gęstwiach starzec na mnie czeka;
Jeśli nie przyjdę, umrze... więc spiesz... chwile biegą,
Błagaj go, niech się wstrzyma... powiedz, że syn jego...
Idź! spiesz!... niechaj do nocy tajemnicę ścisłą
Zachowa... życie moje od tego zawisło.

(Wychodzi.)

SCENA VII.

Chór, Bramini, Rycerze, Kupcy, Rolnicy, Kapłani.

Chór.

Już światłość na niebie, a wiosna na ziemi,
Otwarte świątyni podwoje;
Więc w niebo uderzmy modłami kornemi,
Niech na nas promieni łask zdroje.

Bramini.

Od bogów wybrany!

Rycerze.

Zwycięztwy wsławiony!

Kapłanki.

Wdziękami jaśniąca i cnotą!

Bramini.

Więc palmy kadzidła!

Rycerze.

Laur plećmy zielony!

Kapłanki.

Nić życia uprzędźmy im złotą!

Chór.

Już światłość na niebie, a wiosna na ziemi,
Otwarte świątyni podwoje;
Więc w niebo uderzmy modłami kornemi,
Niech na nich promieni łask zdroje.

Bramin.

Zar rozpalam z wonnych liści,
Płomień w górę wre i tryska,
Nowożeńcom niechaj iści
Święte godło ich ogniska;
Niechaj w słowie, niechaj w czynie
Korne duchy bogom kłonią,
Niech im życie spłynie wonią,
Niech im wieczność blaskiem spłynie!

Chór.

Niechaj w słowie, niechaj w czynie
Korne duchy bogom kłonią,
Niech im życie spłynie wonią,
Niech im wieczność blaskiem spłynie.

Kapłanka.

Kwiat lotusu święcim w dani,
Wzywamy was!
O promienni! o świetlani!
Zbiegnijcie wraz!
Niechaj złego moc przebrzydła
Rozpierzchnie w dym!

Niechaj wasze jasne skrzydła
Zaświecą im!

Chór.

Niechaj złego moc przebrzydła
Rozpierzchnie w dym!
Niechaj wasze jasne skrzydła
Zaświecą im!

Bramin.

O duchy ciemne,
O syny kary!
W swoje podziemne
Wróćcie pieczary.
Patrzcie, płomieni
Jasności fala;
Precz potępieni!
Przeklęci z dala!

Chór.

Patrzcie, płomieni
Jasności fala;
Precz potępieni!
Przeklęci z dala!

Bramini.

Od bogów wybrany!

Rycerze.

Zwycięztwy wsławiony!

Kapłanki.

Wdziękami jaśniąca i cnotą!

Bramin.

Więc palmy kadzidła!

Rycerze.

Laur plećmy zielony!

Kapłanki.

Nić życia uprzędźmy im złotą!

Chór.

Już światłość na niebie, a wiosna na ziemi,
Otwarte świątyni podwoje;
Więc w niebo uderzmy modłami kornemi,
Niech na nich promieni łask zdroje.

A K T IV.

(Taż sama dekoracya.)

SCENA I.

Idamor, Alwar (w głębi straż).

Idamor.

I cóż? zgodził się czekać do zachodu słońca?

Alwar.

Gaj poświęcony zbiegłem od końca do końca,
Zbadałem wszystkie krzaki, zarośla i ciemnie,
Nie ma go nigdzie...

Idamor.

Może stracił wiarę we mnie,
Lub o uroczystości zasłyszawszy blizkiéj,
Zechce pierś swą nadstawiać na tłumu pociski,
Sobie i mnie śmierć niosąc.

Alwar.

Bacz, by nie dojrzeli
Wzruszenia na twéj twarzy, oni...

Idamor.

A jeżeli
Czeka tam na mnie... biegnę...

Alwar.

Ale w którąż stronę?
Spojrz, wszystkie twoje kroki pilnie są strzeżone,
Mnogi lud już zalega okoliczne pola,
Orszak ciebie otacza...

Idamor.

Tak, wiecznie niewola,
Co się głazem kamiennym ponad głową sklepi,—
I oni to zaszczytem nazywają... ślepi!
O, jakże cierpię!

Alwar.

Klątwy znamię na mém czole
Nawet wszystko co kocham, pogrąża w niedolę!

Idamor.

Nie wiń siebie—to bogów zagniewana siła
Wyniosłą dumę moją ku ziemi schyliła.
Tak—to do mnie przyrosły ich klątwy znamiona...
Lecz ten starzec, co cierpi niewinnie... lecz ona
Cóż przewiniła w swojéj czystości gołębiéj?

SCENA II.

Idamor, Alwar, Neala (w głębi rycerze i kapłanki).

Neala.

Ty skrywasz tajemnicę w duszy twojéj głębi:
Rzuciłeś mnie przed chwilą z dziwnym niepokojem,
A i teraz łzę smutku widzę w oku twojém...
Wyjaw mi tę tajemną serca twego trwogę,
Jeśli jéj nie ukoję, podzielić ją mogę.

Idamor.

O! ty najdroższa moja kochanko i żono!
Czyliżeś w poświęceniu twojém umocnioną?
Twe serce, co mnie teraz słodkiém mianem darzy,
Czyż trwożne w obec ślubnych nie zadrży ołtarzy?
Czy pewna jesteś siebie?

Neala.

Luby, twoje słowa
Nie ukoiły grozy, co się w duszy chowa
I wszelką słabość karci straszném mianem zbrodni.
Znam świętą prawdę, czczę ją, lecz uciekam od niéj.
Ta wiara, w któréj wzrosłam, pozostanie we mnie.
Nie jestem nawrócona, lecz kocham... daremnie
Bóztwo ku mnie litośne wyciąga ramiona,
Nie mogę być szczęśliwą z tobą rozłączona.

Idamor.

Lecz jeżeli gniew bogów przekleństwem widomém

Razem ze mną wygnania grozi tobie gromem,
Jeśli wkrótce... może dziś... może za godzinę
Będziesz musiała rzucić dom, ojca, rodzinę,
Wszystko, co cię szczęśliwą, co cię dumną czyni,
I żywcem się zagrzebać ze mną na pustyni?

Neala.

Schylę głowę i pójdę.

Idamor.

Za śladami memi
Potępione istnienie wlec będziesz na ziemi.
Tyś niebieskiéj ojczyzny dla mnie się zaparła,
Stracisz ziemską... wyklęta... dla świata zamarła,
Bez dachu, bez schronienia, na puszczy, znękana,
Gdy siły cię opuszczą...

Neala.

Padnę na kolana,
By się powlec za tobą.

Idamor.

Ale wspomnij sobie,
Że to grób .. że się ze mną zakopujesz w grobie,
Że ołtarz twoich bogów będzie tobie niemy,
Ogień święty zwłok nie tknie...

Neala.

Mów, kiedy idziemy?

Idamor.

Więc przełamałaś wszystko, wstręt, zgrozę i trwogę?..
I ja twojéj ofiary odrzucić nie mogę...
To nad siły... Mój ojcze!

Neala.

A mój!?

Idamor.

Spojrz, kapłani
Zbliżają się już, w szaty świąteczne odziani,
Niosąc ofiarne ognie i bóztwa ołtarze,
Już świątyni podwoje otwarte... Alwarze!...
Nie opuszczaj mnie!

SCENA III.

Ciż sami. **Akebar** we drzwiach świątyni, bramini w pochodzie uroczystym z wolna napełniają scenę, niosąc ołtarze, ognie i kwiaty. Kilku z nich uzbrojonych toporami.

Akebar (stojąc we drzwiach świątyni).

Jeśli jaki parya podły
Tchnieniem swém się poważy kazić święte modły,
Śmierć mu!...

(Schodzi powoli ze stopni, prowadzących do świątyni.)

Ludu słoneczny! wy, których istnienia
Z głowy Brahmy wytrysły, wy, twory ramienia
Jego, wy dzieci biodra i syny niewoli,

Co pilnujecie rady, wojny, pracy, roli,
I których życia w związek połączone ścisły,
Pod poczwórną postacią z woli stwórcy trysły,
Słuchajcie! przez me usta bóg przemawia słońca!
Oto przed wami rycerz, téj ziemi obrońca,
Którego czoło Brahma w blask przystroił chwały,
Tchnął... a zastępy wrogów w proch się przed nim zwiały,
I ci, co przynosili niewolę téj ziemi,
Zasłali dziś jéj pola kośćmi zbielonemi.
Bronił ołtarzy bóztwa, a więc bóztwo chciało,
Wielką zasługę wieńczyć nagrodą wspaniałą
I najwaleczniejszego ręką córki darzy
Mojéj... lecz on przysięgnie tu u stóp ołtarzy
Posłuszeństwo méj woli... Przeciw zdradzie tamą
Przysięga przenajświętsza!

(Idamor i Neala klękają, lud pada na twarz.)

Bramini.

Od bogów wybrany!

Rycerze.

Zwycięztwy wsławiony!

Kapłanki.

Wdziękami jaśniąca i cnotą!

Bramini.

Więc palmy kadzidła!

Rycerze.

Laur plećmy zielony!

Kapłanki.

Nić życia uprzędźmy im złotą!

Chór.

Już światłość na niebie, a wiosna na ziemi,
Otwarte świątyni podwoje;
Więc w niebo uderzmy modłami kornemi,
Niech na nich promieni łask zdroje!

Akebar.

Brahmo! Brahmo! Brahmo!
Ty co żyznėm swém tchnieniem zapładniasz przepaście,
Spojrz na nas z górnych niebios!

SCENA IV.

Ciż sami, Empsael.

Empsael (wpadając strwożony).

Święte ognie gaście!

Akebar.

Co mówisz?

Empsael.

Parya wśród nas!

Akebar.

Hańba i zagłada!

Parya!

Idamor.

Ojcze mój!

Neala.

Bogi!

Lud.

O, biada nam, biada!

Akebar.

A gdzie on?

Empsael.

Bóztwu ukłon oddawszy poczwórny,
Szedłem lustralnéj wody zaczerpnąć do urny,
Gdym ujrzał starca z twarzą dziwnie zachmurzoną.
„Czyli, pyta, te ognie na ślub wodza płoną?"
„Tak" odrzekłem, a on wraz do stóp mi się kłoni,
Błagając śmierci.

Akebar.

A ty cóż?

Empsael.

Nie miałem broni,
Więc uciekłem, twarz tylko szatą przysłoniwszy...
Lecz zbliża się... tak... to on...

Idamor.

O, najnieszczęśliwszy
Dniu!

Akebar.

To ten starzec!

Neala.

Bogi!

Akebar.

Niech przystępu bronią!

Empsael.

On już tu.

SCENA V.

Ciż sami, Zares.

Zares.

Śmierci! śmierci! o błagam was o nią!
Chcę umrzeć!

Neala.

Pierś mą dziwna rozdziera obawa.

Akebar.

Jakiém czołem, nikczemny, łamiesz boże prawa
I poświęcone miejsca śmiesz nachodzić zdradnie?

Zares (pokazując na Idamora i Nealę).

Nie pytaj, bo przekleństwo na ich głowę spadnie.

Akebar.

Więc nie dość, że obrządki gwałcąc tajemnicze,
Śmiesz pokalane twoje jawić tu oblicze
I zatruwać powietrze, którém oddychamy,
Jeszcze na tych niewinnych grom przyzywasz Brahmy?
Jakiż gniew, jakaż zemsta ciebie na nich zbroi,
Że w téj zatracie pragniesz ich pociągnąć swojéj?

Zares.

Oni!... kapłanie, ty mnie pytasz o ich winę?...
Słuchaj... Ale niech żyją, niech ja raczéj zginę!..

Akebar (do kapłanów uzbrojonych toporami).

Tak, zbliżcie się, niech topór to istnienie skruszy:
Pohańbienie dla ciała, zatrata dla duszy!

Idamor (rzucając się ku niemu).

Okrutny!

Neala (powstrzymując go).

Idamorze!

Alwar.

Wstrzymaj się, kapłanie!
Miłosierdziem i łaską twoje powołanie,
Niechaj go dziś nie kazi gniew i zemsta sroga,
On jest jak ty człowiekiem!

Akebar.

On?

Alwar.

Stworzeniem Boga!
Téj świątyni krew ofiar nigdy nie broczyła.
Patrz, on słaby, złamany, w was męztwo i siła!
Ty, którego najwyższe spromieniły blaski,
Masz prawo miłosierdzia... przebacz!...

Neala (nieśmiało).

Ojcze! łaski!

Idamor.

Przebacz!

Akebar.

Wy także? O nie!... niech wyzionie ducha,
Śmierć mu! Ja tak chcę!

Idamor (rzucając się naprzód).

Biada temu, kto posłucha!

Akebar.

Jakto? śmiałbyś?... Gdy kapłan grozi i wyklina,
Ty bronisz?

Idamor.

A więc z ojcem zamordujesz syna!

Akebar.

Coś wyrzekł?

Idamor.

Krew, co wasze pragną wylać dłonie,
Płynęła w waszych świętych ołtarzy obronie,
A więc niech wyschnie w źródle... śpieszcie... czas ucieka!

Zares.

Mój synu, coś uczynił!

Neala.

Mój mężu!

Akebar (odtrącając ją).

Z daleka!

(Do kapłanek:)

Zabierzcie ją!

(Kapłanki uprowadzają Nealę.)

O hańbie jego nie wiedziała:
Jest niewinną.

(Do Idamora:)

Ale ty!... O jakaż zakała,
Na me imię!... udaniem zwiedziony zdradzieckiém,
Miałem niecnego paryę własném nazwać dzieckiem...
Nędzniku!

Idamor.

Tak jest. Paryi to męztwo i siła
Allahabad od zguby pewnéj ocaliła.

Gdy zstępując z gór kroki tu moje powiodłem,
Wasze serca strach dzierżył w swém objęciu podłém,
Wróg groził, a wy w ziemię upadliście czołem...
Ale ja między wrogiem a wami stanąłem.
Gdyby nie dłoń ta, która swém dotknięciem plami,
Wasz ołtarz byłby zgliszczem, wy niewolnikami!...
Tak, ja was osłoniłem przed bogów zatratą,
Ocaliłem was... teraz mordujcie mnie za to!

Akebar.

Tyś go słyszał, o Brahmo, i twój piorun niemy!
Ale my te bezbożne słowa ukarzemy.
Twe milczenie rozkazem... nie pragnę, rycerze,
Święcić wodza waszego méj zemście w ofierze;
Wy go sądźcie, oceńcie zasługi i zbrodnie,
I oby ten wasz wyrok mógł wypaść łagodnie!...
Lecz bądźcie sprawiedliwi... Niech uzna świat cały,
Czyli bezbożnik tarczą osłoniony chwały,
Krwawą swą władzą lud ten słoneczny ogarnie
I zdoła naszym bogom urągać bezkarnie.

Alwar (do rycerzy).

Wy, których on prowadził w wojenne zagony,
Czyliż nie powstaniecie dla jego obrony?

Zares.

Stoicie w osłupieniu wszyscy oniemiałém,
Rycerze!...

Idamor.

Ja się tego po nich spodziewałem.

Niewdzięczność to rzecz ludzka... tak... niewdzięczność
[wszędzie.
Ale kamieniem ciążyć na ich sercach będzie
Moja pamięć...

(Do Zaresa:)

Ona cię od śmierci ochroni,
Bo przed mym cieniem nawet truchleć będą oni,
I cofną się przed trupa skamieniałym wzrokiem...
Lecz miłość... ona z władzy zniknęła urokiem.
Chodźmy!...

Alwar.

Ja z tobą.

Idamor

(zdzierając zwierzchni ubior i miecz, i rzucając go pod nogi rycerzom).

Spojrzcie! wasze jak ja ważę
Zaszczyty!

(Wychodzi z Alwarem.)

SCENA VI.

Akebar, Bramini, Rycerze, Lud.

Akebar.

Czujne nad nim rozciągnijcie straże,
Niech pozostanie więźniem.

(Część braminów i rycerzy wychodzi za Idamorem.
Akebar mówi daléj:)

Lecz kiedy na strzępy
Zwłoki jego rozniosą szakale i sępy,

A niecna dusza w wieczne pójdzie potępienie:
Bramini, święte wkoło rozniećcie płomienie,
Niechaj ich żar odżywczy gaj oczyści cały,
Niech zniknie ślad, gdzie stopy bezbożne stąpały!
A jeśli który z Brahmy niegodnych czcicieli
Ulitować się nad tym nędznikiem ośmieli,
Kiedy wyrok pomiędzy nim a ludźmi stanie;
Niech wie, że go na wieczne skazuję wygnanie,
Niech wie, że go odsądzam od czci i nazwiska,
Od ofiary ołtarza, od ojców ogniska,
Niechaj jak on ucieka w oddalone strony,
Opuszczony przez bogów, od ludzi wzgardzony,
I na wieki w istnieniu wyklętém i wstrętném,
Naznaczony mściwego Shiwy krwawém piętnem.

(Wchodzi do świątyni i drzwi za nim zamykają się.)

SCENA VII.

Chór, Bramini, Rycerze, Lud.

Chór.

Trwoga
Z cieniów wychodzi blada,
Boga
Grom straszny zapowiada,
Posady świata drżą.
Ziębi
Duch jego ludzkie plemię,
Z głębi
Ognie wstrząsają ziemię,
A rzeki płyną krwią.

Bramin pierwszy.

Czułość wszelką odgoń precz,
Pod kołami ciało wlecz,
W sercu utop ostry miecz.
Tór przed tobą nowych dróg,
Słyszysz... grzmi już złoty róg,
Pięciogłowy wstaje bóg.

Bramin drugi.

Łańcuch czaszek z szyi spływa,
Kłami grozi paszcza mściwa,
Wonią zionie w dal grobową,
Błysk mu okiem, grom mu mową...
To Shiwa!

Chór.

To Shiwa!

Bramin pierwszy.

Już się zbliża przez obszary,
Czerwonawą łuną lśni;
On niszczyciel, on bóg kary,
W łzach się pławi, tonie w krwi.

Bramin drugi.

On ciosem swéj ręki
Szle skon,
Z tygrysiéj paszczęki
Ma tron.

Gdzie boleść i jęki,
Tam on.

Razem obaj.

O ludzkości nieszczęśliwa!
Promień słońca skrył się blady,
Trzeszczą ziemi wskróś posady,
Krwawy obłok z niebios spływa...
To Shiwa!

Chór.

To Shiwa!
O ludzkości nieszczęśliwa!
Padnij czołem w proch skorzoném,
Bo z piekielném jego gronem
Już go widzę, już przybywa
Bóg Shiwa!

Bramin pierwszy.

Do świętego boru dąż,
Łańcuchami dłonie wiąż,
Niech ci serce kąsa wąż;
Krwią zielony omrocz smug.
Słyszysz? grzmi już złoty róg,
Zatracenia wstaje bóg!...

Chór.

Trwoga
Z cieniów wychodzi blada,
Boga

Grom straszny zapowiada,
Posady świata drżą.
Ziębi
Duch jego ludzkie plemię,
Z głębi
Ognie wstrząsają ziemię,
A rzeki płyną krwią.

AKT V.

(Taż sama dekoracya.)

SCENA I.

Alwar (sam).

W téj chwili na sąd walny zgromadzone stany
Mogą już wydać wyrok.

(Biorąc do ręki krucyfiks zawieszony na piersiach.)

O Ukrzyżowany!
O Ty, w którym się miłość i nadzieja iści,
Zlituj się nad ofiarą ludzkiéj nienawiści
I osłoń niewinnego tarczą Swego krzyża!
On cierpiał — a cierpienie do Ciebie przybliża;
On kochał — Ty przygarniasz duszę kochającą.
Niechaj fałszu ciemności przed nim się roztrącą,
Niechaj mu prawda w sercu swym blaskiem zapała
I przez zbawienie duszy da zbawienie ciała.
Ale to on... nadchodzi... podwojone straże...
Boże! śmierć czy wygnanie!...

SCENA II.

Alwar, Idamor, Straż.

Idamor (do jednego ze straży).

Arcykapłan każe
Wypełniać wolę moją w téj ostatniéj chwili:
Więc chcę, byście mój wyrok przed ojcem taili,
Niech w rodzinne ustronia podąża swobodnie.
Idźcie...

(Kilku ze straży wychodzi.)

Alwar.

A więc wyrzekli śmierć?

Idamor.

Tak — jednozgodnie.

Alwar.

Nikczemni.

Idamor.

Gdyby z mieczem widzieli mnie w dłoni,
Może przed moim gniewem zadrżeliby oni;
Ale byłem bezbronny... Akebar...

Alwar.

O żmijo
Niewdzięczności!

Idamor

Krwi mojéj pragnęli... niech piją!

Alwar.

Lecz twój ojciec?

Idamor.

Akebar, pragnąc cios surowy
Odwrócić od swéj córki ukochanéj głowy,
Obietnicę milczenia wymógł na mnie skrycie,
I tém milczeniem ojca okupiłem życie.

Alwar.

Ale ten biedny starzec w smutku i żałobie
W kimże znajdzie pociechę, w kim podporę?

Idamor.

W tobie!
Przyjaźń twa niech pociechą dni mu resztę splata.

Alwar.

Będę mu synem, ale kto mi odda brata?

Idamor.

Idź, błagaj tego starca, niech się ztąd oddali,
Nim zwłoki moje pójdą na pastwę szakali.
Idź... dłużéj nie możecie tu zostać bezkarnie,
Bo potępienie moje was także ogarnie.
W téj chwili ogłaszają ludowi bramini
Wyrok, co pohańbionym i wyklętym czyni

Tego, któryby pragnął dłońmi bezbożnemi
Skrwawionym zwłokom moim dać przytułek w ziemi.

Alwar.

Więc mam ciebie w złowrogiéj opuszczać godzinie,
Gdy na tę ziemię zdrady krew twoja popłynie,
Gdy może myśl rozpaczna twą duszę ogarnie,
Że to srogich mąk droga na sroższe męczarnie?
O nie... niechaj me słowo, niech mój uścisk bratni
Towarzyszy ci jeszcze w téj chwili ostatniéj;
Niech ta ręka, co wolność wzięła z twojéj dłoni,
Choć garstką ziemi skrzepłe twe zwłoki przysłoni.
Tak... skoro tylko zgłuchnie gwarów dziennych echo,
Ja ujdę...

Idamor.

Czyż to krzywdą dla mnie lub pociechą,
Że zwłoki moje złożą na stos okazały,
Lub że nad niemi sępy będą się znęcały,
Gdy duch z więzów uwolnion uleci swobodniéj?....
O! niechaj raczéj zemstę śmierć moja zapłodni,
Niechaj ci, których ramię moje powstrzymało,
Wrócą na tę przesądów ziemię skamieniałą,
Niechaj zburzą ich miasta, wywrócą bożyszcza,
Zostawiając po sobie zwaliska i zgliszcza.
Widzę ich — tak... niech lud ten truchleje wyklęty,
Tak... chrześcian niezliczone płyną już okręty,
Żądza skarbów ich wiedzie do téj złotéj ziemi,
Zniszczenie i niewola dążą w ślad za niemi,

Niosą krzyż i kajdany. Niech na wieki zginie
Ród ten, niechaj się w gruzy rozpadną świątynie,
Niechaj ślad ich istnienia miecz i ogień zetrze,
Rozrzucając ich szczątki jak piasek na wietrze;
Niechaj krzyk jeden zgrozy zalega przestrzenie,
I zostanie zagłada, śmierć i zatracenie!
A wówczas duch mój w swojéj pogrzebowéj ciszy
Swobodniéj już odetchnie, gdy jęk ich usłyszy.

Alwar.

I gdzie ciebie unosi gniew i pomsta sroga?
Więc nawet w obec skonu wzywasz pomsty Boga?
Syn, co przeklina matkę w rozpaczy zdziczały,
Dowodzi, że go słusznie Nieba ukarały.
O! niech raczéj ta chwila inne myśli iści:
Zagładź w sercu ostatnie ślady nienawiści,
I gdy cielesne więzy śmierć w tobie rozkruszy,
Giń z pokorą na czole, z przebaczeniem w duszy.

Idamor.

Tak... dziwny pokój we mnie twoje słowa leją,
Tak, czuję że oddycham wiarą i nadzieją
I w téj nowéj odwadze, co mi piersi zbroi,
Jeszcze-bym walczył za tych, co chcą śmierci mojéj.
Lecz niestety! nie dla mnie ta przyszłość jaśniąca,
Nie dla mnie już chorągiew, którą wiatr roztrąca,
I odgłos trąb chrapliwy co po rosie płynie,
I niewstrzymany zapał w zwycięztwa godzinie.
Już nie wrócę w te mury w tryumfalnéj szacie
Do nóg jéj... o Alwarze! przyjacielu! bracie!

Jeżeli ją zobaczysz... tę, którą kochałem,
Bez któréj niebo będzie mi opustoszałém,
Powiedz jéj... nie... oddaj jéj ten bukiet zwiędniały,
Te kwiaty, które moją śmierć przepowiedziały,
I... Ale widzę ojca — to próba nad siły!
Odejdź, by tajemnicy twe łzy nie zdradziły.
Ja teraz nieczułości muszę pokryć głazem
Serce... odejdź... a na śmierć podążymy razem.

SCENA III.

Zares, Idamor, Straż.

Zares.

Więc nie płonną mnie widzę łudzono nadzieją:
Jeszcze mi twoje oczy pogodą jaśnieją
I uśmiecha się twoja twarz rozpromieniona;
Mogę cię tak jak dawniéj przycisnąć do łona...
Powiedz... wszak przebaczyli?... wszakże się nie mylę?

Idamor.

Muszę jeszcze przed sądem ich stanąć na chwilę.

Zares.

Ale wrócisz? nieprawdaż mój synu? dłoń w dłoni
Uciekniemy z przeklętych miejsc, tam, do ustroni,
Gdzie się wolném powietrzem pierś karmiła młoda,
Gdzie szczęście na nas czeka, pokój i swoboda.
Patrz... jam silny... krew w żyłach płynie mi goręcéj,
W sercu tchnie jakiś zapał radości dziecięcéj,

Odżyła w mojéj duszy wiara bogów święta
I minionéj boleści opadły już pęta...
Jam silny... dawny zapał i męztwo wróciły!...

Idamor.

O tak, wkrótce ci będą potrzebnemi siły.

Zares.

Nie wątp o mnie... nam szczęście otwiera ramiona,
Ku nam się zwraca słońca twarz rozpromieniona.
Będę ci przewodnikiem, synu; razem ze mną
Znów w puszczę naszych lasów zagłębisz się ciemną.
Z jakimż radosnym ujrzę te miejsca zapałem,
Gdzie ty byłeś wraz ze mną, gdzie ja sam płakałem!
Tam wszystko było pustém, tam dziś wszystko rajem!
Będziem sobie swych wspomnień udzielać nawzajem.
Zobaczysz... tak, zobaczysz naszą chatę nizką,
Gdzie stałem nachylony nad twoją kołyską,
A ty mnie zarzucałeś na szyję rączęta
I twarzyczka ci szczęściem lśniła uśmiechnięta,
Potém... gdyś pierwsze kroki już stawiał powoli...

Idamor.

Ojcze!... ojcze!... przez litość...

Zares.

O! wiem, co cię boli!
Synu... znam miłość, którą serce twoje pała...
I mnie ona jest drogą... bo ciebie kochała.

Wiem, że jéj strata srogą dręczy cię żałobą,
Będę bolał wraz z tobą i płakał wraz z tobą.

Idamor.

O boleści!

Zares.

Tak... zdobna w przymioty najrzadsze,
Piękna, cnotliwa, tak... wiem... lecz czas boleść zatrze.
I u nas... wszakże bóztwo nad nami jest wszędzie...
Znajdziesz taką, co godna twego serca będzie
I co miłością życie opromieni tobie...
Wątpisz... ale uwierzysz przy twéj matki grobie.

Idamor (klękając przed nim).

O! niechaj jéj wspomnienie goi serca ranę!
Ojcze... wszak wszystkie moje winy zapomniane?

Zares.

Tylko ty pomnisz o nich.

Idamor.

Przeszłość pogrzebana?
Dozwól, niech jeszcze twoje uścisnę kolana.

Zares (przyciskając go do piersi).

Synu!... dziś dla nas życie otwiera się nowe...

SCENA IV.

Idamor, Zares, Empsael, Straż.

Empsael (ukazując się we drzwiach świątyni).
Czas uchodzi, lud czeka i wszystko gotowe.

Zares (do Idamora).
Opuszczasz mnie?

Empsael (wskazując do góry).
Patrz, cień się już w górach wydatni.

Zares.
Lecz to po raz ostatni, mój synu?

Idamor.
Ostatni!

(Jeszcze raz rzuca się w objęcia ojca, straż go otacza i wychodzi z Empsaelem.)

SCENA V.

Zares, Akebar.

Akebar (wychodząc ze świątyni).
Wyklęty! oddal się z miejsc, których bogi strzegą.

Zares.
Dozwól, niech tu na syna zaczekam swojego.

Akebar.

Oddal się... twa obecność kazi gaj ten święty.

Zares.

Chwilę jeszcze...

Akebar.

Powtarzam... oddal się wyklęty!

Zares.

Lecz syn mój...

Akebar.

Idź!

Zares.

Kapłanie, błagam twéj opieki!

On wróci?

Akebar.

Już się z tobą pożegnał na wieki.

Zares.

On!

Akebar.

W téj chwili umiera.

Zares.

Sprawiedliwe Nieba!

Więc mi téj strasznéj chwili dożyć było trzeba!
Umiera?... tu stał przy mnie... z pogodą na twarzy!...

Akebar.

Tak Brahma karci swoich zniewagę ołtarzy.

Zares.

Umiera!... ale gdzież on?... któż te ciosy zdradne
Wymierza?... Powiedz, gdzie on?... Niechaj przy nim [padnę!...
Biegnę!... nie!... o kapłanie!... łaski!... przebaczenia!...
Przez bogów, których nie śmiem tu wzywać imienia,
Przez tę cześć świętą, co cię wśród ludu otacza,
Przez pył, w którym twarz moja tarza się żebracza,
Przez pamięć twoich przodków... przez straszną godzinę
Konania!... ocal moje to dziecko jedyne!...

Akebar.

Już za późno.

Zares.

W srogości oni skamieniali,
Ale twe słowo miękczy ich serca ze stali...
Przez twoje usta bóztwo objawia swą wolę...
Nosisz świętość na twarzy... a łaskę na czole.
Tyś jest wielkiego Brahmy na ziemi obrazem,
Ocal go... albo dozwól mi umrzeć z nim razem!...

Akebar.

Niech me serce umocni stałość grozy świętéj!...
Starcze!... oddal się... wyrok sędziów niecofnięty!...

Zares.

A więc jeśli są bogi, niechaj ten surowy
Wyrok na potępione wasze spadnie głowy!
Niech twe serce kamienne na prośby żebracze,
Po stracie twojéj córki krwawe łzy wypłacze!
Niechaj dni ci upłyną w smutku i żałobie!
Niech własna twoja wielkość będzie grobem tobie!
Niech ci nową zgryzotę każdy dzień twój budzi!
Żyj ponury śród gwaru, samotny śród ludzi,
W pogardzie u tych, co cię blaskiem otoczyli!
Konaj... i nie doczekaj się skonania chwili!...

Akebar.

Starcze, od śmierci moja broni cię przysięga,
Lecz spojrz jak kara nieba bezbożnych dosięga!...

Zares (upadając na ławkę kamienną).

Mój synu!

SCENA VI.

Zares, Akebar, Empsael.

Empsael.

Tam przez swoją lud objawia radość,
Że słusznéj pomście bogów już się stało zadość.
Zginął... a z nim chrześcianin, ten jego towarzysz!

Akebar.

Brahmo! Iluż łaskami sługę swego darzysz!

Przy mnie samym już teraz władza pozostanie,
I córkę ocaliłem od śmierci.

Empsael.

Kapłanie!
Spójrz... wzburzonego ludu napływa tu fala...
Jakaś kobieta... ubiór w nieładzie...

SCENA VII.

Ciż sami, Neala, Bramini, Rycerze, Lud.

Akebar.

Neala!

Zares (budząc się powoli z odrętwienia).

Jego córka!

Akebar.

To ona!... zapłakana... blada...
Czy na mnie już przekleństwo tego starca spada?

(Do Neali:)

Czemuś wyszła z twojego świętego ogrojca,
W szatach w nieładzie? kogo szukasz tutaj?

Neala (zbliżając się do Zaresa).

Ojca!

Akebar.

Jego?

Zares.

Co?

Neala.

Tak... on teraz mym ojcem. Od chwili,
W któréj dni mego męża bogowie zliczyli,
A tyś sam wyrok sędziom narzucił, kapłanie,
Z nim płakać i z nim cierpieć idę na wygnanie.
Niech choć jedną łzę jego ma ręka osuszy!..,
Nienawiści ni zemsty nie ma w mojéj duszy...
Myślami zatopiony w bóztw nauce jasnéj,
Nie mogłeś i nie śmiałeś córki kochać własnéj.
Tyś wielki!.. patrz.... przed tobą lud kolana zgina,
Tyś szczęśliwy bezemnie.... a on płacze syna...
Nie dla mnie święte ognie, co w ołtarzach płoną,
Niech przynajmniéj pocieszę tę duszę zranioną,
Niech mu za jego dziecko ukochane stanę,
Nim pójdziem tam, gdzie wszystko złe jest zapomniane!

Akebar.

Śmierć!... Wiesz, jaką zatratę tym strasznym wyrazem
Przyzywasz na twą głowę?.

Neala.

Tam z nim będę razem!...

(Do kapłanek:)

Żegnam was.

(Do Akebara:)

Wydaj na mnie twój wyrok, kapłanie.

Akebar (po chwili milczenia:)

A więc skazuję ciebie na wieczne wygnanie...
W hańbie i zatraceniu wiedź życie tułacze!
Precz ztąd!.. przeklinam ciebie! przeklinam...

(zakrywa twarz rękami)

i płaczę!

Chór (za sceną).

Trwoga
Z cieniów wychodzi blada,
Boga
Grom straszny zapowiada,
Posady świata drżą!
Ziębi
Duch zgrozy ludzkie plemię,
Z głębi
Ognie wstrząsają ziemię,
A rzeki płyną krwią.

Neala (do Zaresa).

Ojcze!... idźmy... patrz, z gór już zapadają cienie
W doliny, czeka na nas tam noc i milczenie,
Idźmy, bo nas świątyni odpychają progi!...

Zares.

Córko!

Neala.

Powstań mój ojcze!

Zares

(spogląda przez chwilę na Nealę pochyloną przed nim, następnie na Akebara i mówi):

Kapłanie!... są bogi!

Chór (za sceną).

O ludzkości nieszczęśliwa!
Promień słońca skrył się blady,
Trzeszczą ziemi wskroś posady,
Krwawa łuna z niebios spływa, —
To Shiwa!

(Zares oddala się z wolna, oparty na ramieniu Neali. Lud rozstępuje się przed nim, robiąc mu przejście. Akebar, z głową opartą o posąg Brahmy, pozostaje na miejscu, pogrążony w niemej boleści. W oddaleniu burza.)

FLECISTA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE WIERSZEM,

tłómaczona

z Emila Augier'a.

*

OSOBY:

ARIOBARZANES (Halcydias).
PSAUMIS.
BOMILKAR.
LAIS.
TIMAS.

Rzecz dzieje się w Koryncie.

(Starożytna, bogato przyozdobiona komnata, posadzka mozaikowa, ściany makatowe. Czary srebrne, trójnogi złocone. W głębi z prawéj strony posąg miłości, a przed nim łoże spoczynkowe. Z przodu z lewéj stół okrągły. Z téj saméj strony na pierwszym planie gabinet z portyerą zamiast drzwi; na drugim planie pokój Lais. W głębi przedpokój, po za którym widać atrium, przystrojone kwiatami.)

SCENA I.

Timas (układa na stole), **Psaumis, Bomilkar**
(wchodzą drzwiami w głębi).

Psaumis.

Proszę cię, uprzedź Lais, że tu na nią czeka
Psaumis, wraz z cudzoziemcem przybyłym z daleka.
(Timas wchodzi do pokoju Lais.)

Bomilkar.

Dziwi ją widać moja cera ogorzała,
Czyliż Kartagińczyka nigdy nie widziała?

Psaumis.

Czegożby nie widziała? spojrz tylko mój drogi
Na mozaiki, rzeźby, sprzęty i trójnogi;

Patrz, tam miłość skrzydlata z marmuru wykuta,
Istne Fidyaszowskie arcydzieło dłuta;
Jest tutaj co podziwiać i jest patrzeć na co.

Bomilkar.

Dużo tu twego?

Psaumis.

Gdzież tam! Niechaj inni płacą,
Ja nie głupim; bo dla niéj me dary miłosne
To są kwiaty z mojego ogrodu na wiosnę,
W lecie owoce, jaki zwierz z méj kniei rzadki
Pod jesień, a w zimie nic, to moje wydatki.

Bomilkar.

Czemużem ja do darów nie miał tego wstrętu!

Psaumis.

Więc ci kobiety zjadły majątek?

Bomilkar.

Do szczętu!

Psaumis.

O! Lais podobieństwa praw sobie nie rości
Do waszych kartagińskich drapieżnych piękności.

Bomilkar.

Czy dalekoś z nią zaszedł?

Psaumis.

Biorąc rzeczy ściśle
Dość jesteśmy zażyli już z sobą,— i myślę,
Że gdy ją dziś obecny gach opuścić gotów,
Może go i zastąpię bez wielkich kłopotów.

Bomilkar.

Któż on?

Psaumis.

Kto? barbarzyniec!... A przepraszam, bo to
My Grecy, zwykli zwać tak... wybacz...

Bomilkar.

Mniejsza o to.

Psaumis.

Zwie się Ariobarzanes, Pers z trefioną brodą,
I już miłostki z sobą od tygodnia wiodą.

Bomilkar.

Pers—to do porównania poprzednik jest zdradny,
Bo u Persów wartości nie ma pieniądz żadnéj.

Psaumis.

A ja właśnie na niego rachuję w tym wzśględzie,
Że przy Lais on bardzo pomocnym mi będzie,
I byle mi się tylko co myślę udało,
To kosztem tego Persa rzecz załatwię całą.

Bomilkar.

A to jakim sposobem?

Psaumis.

Rachuję na pewno,
I słuchaj... Lecz czy milczeć potrafisz?

Bomilkar.

Jak drewno.

Psaumis.

A zatém wiedz, że żona moja... lecz prawdziwie,
Wierzaj mi, że się wstydzę i sam sobie dziwię,
Bo mnożenie rodziny majątku nie krzepi,
I bez tego się obejść w stokroć było lepiéj.

Bomilkar.

Krew nie woda.

Psaumis.

Masz słuszność, zwłaszcza gdy kto młody...
Bo miała do zazdrości niejakie powody;
By jéj wybić to z głowy, był kłopot nie lada.
Dziś tysiące zachcianek znosić mi wypada,
A to prawdziwie dla mnie utrapienie czyste.
Niedawno usłyszała jakiegoś flecistę,
Więc każe mi go kupić; kupić to rzecz ślizka,
Choć pełnomocnik mego nie wydał nazwiska,
Musiał zwąchać kto jestem pewno łotr przeklęty,
I zacenił za siebie całe dwa talenty.

To drogo, lecz znasz żony z uzbrojeniem całém
Krzyków, płaczów... aż wreszcie kupić go musiałem,
I jeszcze ten warunek utrapił mnie srodze,
Że za tydzień dopiero w moje prawa wchodzę,
Chociaż na Styks poprzysiągł, że nim tydzień minie,
Żywy i zdrów mi w ręce odda się w terminie.
Uciecha mojéj żony była wielka; ale
Nazajutrz już zupełnie ostygła w zapale.
Zaprawdę, te kobiety to dziwne istoty!
Ale cożem chciał mówić?

Bomilkar.

Tak, interes złoty:
Z tych wszystkich twych omówień sens główny wynika,
Że chcesz Persowi sprzedać twego niewolnika,
Że zaś to człek jest w targu niebardzo zawzięty
Chcesz za dwa, trzy od niego wyłudzić talenty,
I tym zyskiem, o ile zmiarkować to mogę,
Do serca Lais sobie utorować drogę.

Psaumis.

Zgadłeś!

Bomilkar.

To obrót zręczny i myśl doskonała.

SCENA II.

Lais, Psaumis, Bomilkar.

Lais (wchodząc).

Przepraszam, żem na siebie trochę czekać dała.

Psaumis.

To gość mój i przyjaciel wielce dla mnie miły,
Bomilkar z Kartaginy świeżo tu przybyły,
Co u stóp twoich hołd swój złożyć się ośmiela.

Lais.

Witam cię, przyjacielu mego przyjaciela.

Bomilkar.

Psaumis już mnie uprzedził, nimeśmy przybyli,
Że będziemy przez ciebie przyjęci najmiléj;
Lecz nie zdołał opisać uroku spojrzenia,
I uśmiechu, co jasną twarz twą rozpromienia.

Lais.

Zaiste bardzo grzecznie.

Bomilkar.

Jak na barbarzyńca.

Psaumis (n. s.).

Czyżby mi chciał z przed nosa ją zdmuchnąć złoczyńca?

Lais.

Co obecnie nowego w Kartaginie?

Bomilkar,

Żniwa.

Lais.

I cóż więcéj?

Bomilkar.

Rozgłosu pewnie tam używa
Jeden z kupców, Bomilkar, co w dogodnéj porze,
By umknąć przed długami, puścił się na morze.

Lais.

Więc nie mówiłeś o tym odjeździe nikomu?

Bomilkar.

Zkądże? Musiałem z miasta uciec pokryjomu,
Bo wiedziałem, że liczę tam mnogich czcicieli,
Coby z wielkiéj miłości zasadzić mnie chcieli
Do więzienia.

Lais.

Wiem, ludzi z uśmiechniętą twarzą,
Co to niby pieniężną przysługą nas darzą,
A na pierwszego liczną podążając zgrają,
Niewdzięcznemi nas względem siebie nazywają.

Bomilkar.

Tak jest, bo z tymi ludźmi sprawa wszędzie krucha,
Tylko u nas niewdzięczność trzeciego wybucha.

Psaumis.

I wiele?

Bomilkar.

Sto talentów długu się zebrało.

Lais.

To dużo.

Psaumis.

Do płacenia, ale na dług mało.

Bomilkar.

Zawsze jednak nadzieję w sercu mojém żywię,
Że jeszcze się im wszystkim wypłacę uczciwie;
Bo ocaliłem sumkę niewielką z powodzi
I tuszę, że mi straty Fortuna nagrodzi.

Lais.

Może nasza gościnność, szczera i wesoła,
Twą tęsknotę do kraju trochę zmniejszyć zdoła.

Psaumis.

O! on na tę tęsknotę jest bardzo wytrwały.

Bomilkar.

Dziękuję.

Lais.

Tutaj u mnie Korynt bywa cały,
Wszystko i wszyscy, strona i dobra i licha,
Tu się tańczy i śpiewa, gra, rozmawia...

Psaumis (czule).

Wzdycha.

Lais.

Czasem ziewa.

Psaumis.

Tak, ziewać zwykle wszyscy radzi,
Gdy się perski satrapa na dowcipy sadzi.

Lais.

Co? mój Pers? Tak, wyznaję, ma on dziwny sposób
Lekceważenia sobie i rzeczy i osób,
I chociaż do pierwszeństwa rości sobie prawo,
Zdaje się walczyć między dumą i obawą.
Prawdziwy w nim się nieraz barbarzyniec iści;
Jemu wykwintność nasza jest celem zawiści,
A chciałby ją we wszystkiém naśladować zgoła
Jak pijany, co prosto chce iść a nie zdoła.

Psaumis.

Więc dla czegożeś sobie wybrała to zwierzę?

Bomilkar.

Dla złotéj sierści.

Lais.

Wiemyż zkąd katar się bierze?

Psaumis.

Lecz zawsze to choroba, od któréj się chronim.

Lais.

Dzisiaj już mnie opuszcza, nie mówmy źle o nim.

Bomilkar.

Bo najgorsze minęło.

Psaumis.

Mogęż mieć nadzieję,
Że i dla mnie szczęśliwa chwila zajaśnieje,
Nim nowi zalotnicy serce twe oblegą?

Lais.

Jeden został.

Psaumis.

Któż taki?

Lais.

Żądza nieznanego.

SCENA III.

Bomilkar, Psaumis, Ariobarzanes, Lais.

Ariobarzanes.

Witam was!

Lais.

Ariobarzan!

Ariobarzanes.

Tak, lecz zdaje mi się
Mówiliście...

Lais.

Mówimy właśnie o Psaumisie.

Ariobarzanes.

Wybornie! na Wulkana to przedmiot bogaty!

Psaumis.

Dla czego na Wulkana?

Ariobarzanes.

Bo Wulkan żonaty.

Psaumis.

Głupiec!

Ariobarzanes.

Choryś na nerwy? Trochę cierpliwości;
Raz ostatni już dzisiaj przychodzę tu w gości.

Bomilkar (po cichu do Psaumisa).

I zapłaci?

Psaumis.

Tak.

Lais.

Jedziesz?

Ariobarzanes.

Niestety! Przychodzę
Pożegnać cię. Zostańcie. Choć boleję srodze,
Niewielka przy rozstaniu tém będzie żałoba.

Lais (n. s.).

Jakże mi się ta drwiąca mowa nie podoba!

Ariobarzanes (zdejmując naszyjniki i bransoletki).

Na pamiątkę przelotnéj szczęścia mego mary,
Zechciéj przyjąć odemnie te ostatnie dary,
I przebacz jeśli możesz tydzień nudów cały,
Co twe źle ukrywane ziewania zdradzały.

Lais.

Przebaczam ci najchętniéj, i pragnę wzajemnie,
Żebyś te sploty włosów chciał przyjąć odemnie.

Ariobarzanes.

Widzicie, że to w krótkiéj odbyło się chwili,
I żeśmy wam rozpaczy i łez oszczędzili.

Lais (n. s.).

To zanadto już pychy.

Ariobarzanes.

Psaumisie! podobno
Chciałeś mieć ze mną jakąś rozmowę osobną,
Służę ci.

Psaumis.

Jakto? tutaj? nie w porę zaiste.

Ariobarzanes.

Dla czegożby nie?

Lais.

O cóż idzie?

Ariobarzanes.

O flecistę,—
Niewolnika, którego mi chce dla osłody
Nudów sprzedać.

Lais.

Tak?

Ariobarzanes.

Łatwo przyjdziemy do zgody!
Ile żądasz?

Psaumis.

Lecz przy niéj targ?

Ariobarzanes.

Czemuż? czy kogo
Targ hańbi? Cóż?

Psaumis.

Talentów trzy.

Ariobarzanes.

Trochę za drogo.

Psaumis.

Tylem dał.

Ariobarzanes.

Fałsz!

Psaumis.

Na bogi klnę się nieśmiertelne,
Że prawda!

Ariobarzanes.

A ja twierdzę, że kłamstwo bezczelne,
I w obec niéj dla tego mówić z tobą chciałem,
By się o twém oszustwie dowiedziała całém.

Psaumis.

Kto jak ja znany, tego potwarz nie dotyka.

Ariobarzanes.

Dwa talenty za tego dałeś niewolnika.

Psaumis.

Zkądże wiesz?

Ariobarzanes.

Muszę wiedzieć na pewno jak sądzę,
Bo do mojéj kieszeni przeszły te pieniądze;
Jam jest tym niewolnikiem!

Psaumis.

Ty?

Ariobarzanes.

Ja.

Bomilkar.

Co on plecie!

Lais (do Psaumisa).

Gdyby to była prawda, poznałbyś go przecię?

Psaumis.

Kupił go mój intendent, ten przeklęty Scyta.
Nie znam go.

Ariobarzanes.

Napatrzże mi się teraz do syta.

(Chwila milczenia. Lais i Bomilkar wybuchają śmiechem.)

Psaumis.

Złapałem się!

Bomilkar.

Snadź dobre trafiło na lepsze.

Lais (do Ariobarzana).

On myślał, że się twoją sprzedażą podeprze.

Psaumis.

Tak, śmiéj się, a tyś gorzéj odemnie złapana.

Lais.

Prawda!

(Do Ariobarzana:)

Czém byłeś, nim się przedzierzgnąłeś w pana?

Ariobarzanes.

Wszystko przeszło, więc na co ci moje nazwisko?

Lais.

Chcę się dowiedzieć, czylim bardzo spadła nizko.

Ariobarzanes.

Zwę się Halcydias, byłem w Tessalii pasterzem.

Lais.

No, pasterz jeszcze ujdzie, gdy na oślep bierzem.

Psaumis (do Halcydiasa).

Jakto? Śmiesz w obec pana siadać niewolniku?
Wstawaj!

Bomilkar.

Zabawne rzeczy.

Halcydias.

Po co tyle krzyku?
Jeszcze wieczór nie nadszedł.

Bomilkar.

To łotr wygadany!

Halcydias (niedbale).

Miarkuj się w słowach człeku o twarzy miedzianéj,
I pomnij, że cokolwiekbądź mówię lub robię,
Aż dotychczas zupełnie jestem równy tobie.

Lais (zbliżając się do Halcydiasa).

Gdyś tak dumny, młodzieńcze, jakież cię powody
Skłoniły się zaprzedać?

Halcydias.

Tyś piękna—jam młody!

Lais.

Jakże on odpowiada zręcznie i przytomnie!

Psaumis (do Lais).

Jakto? ty z nim rozmawiasz?

Lais.

A tobie co do mnie?

Bomilkar (n. s.).

No, no!

Lais (do Halcydiasa).

Więc rzeczywiście wdziękom moim gwoli,
Tyś się tak nierozważnie oddał do niewoli?

Halcydias.

Tak jest! tyś zawróciła mi głowę. Myślałem...
Patrz jak to młode serce jest zapamiętałém...
Że tydzień twéj miłości jest dolą bogatą,
Któréj nie żal opłacić życia nawet stratą.

Lais.

Gdybym była odgadła te szalone żądze. .

Halcydias.

Tobyś mnie odtrąciła od siebie, i sądzę,
Zebyś dobrze zrobiła.

Psaumis.

Jakoś rogi chowa.

Halcydias.

Psaumisie, umiéj milczeć, nie do ciebie mowa.

Lais (do Halcydiasa).

Jednak?...

Halcydias.

Teraz już trudno, dokonane dzieło.
I nie żal mi niczego, gdy wszystko minęło,
Bo już zadowoliłem przez ten tydzień cały
Rojenia o nieznaném, co w sercu mém wrzały,
Bom poznał te rozkosze, co złudami swemi
Najpożądańszém szczęściem lśniły mi na ziemi.

Widziałem zbytek, pychę z nadętém obliczem
I wypoczynek ciała w myśleniu o niczém,
Ucztowałem przy stołach o zastawie złotéj,
Spałem na wschodnich łożach wytwornéj roboty,
I wychwytałem miłość szczerą czy zdradziecką
Téj, która zwarła w sobie całą piękność grecką.
Przytém, każdy ma swoje fantazye, cóż chcecie?
Miałem trzech niewolników, grających na flecie,
Grali wprawdzie fałszywie, zwykle jako słudzy,
Ale słodko jest słuchać kiedy grają drudzy.
Więc już do dna tych uciech wypróżniłem czaszę,
Wszak to wasze zabawy i zajęcia wasze.
Lecz wierzcie, na Jowisza, mało z nich pożytku.
Nie zazdroszczę wam szczęścia, bogactwa ni zbytku,
Bo ubogi czy bogacz, bo młody czy stary
Człowiek, zawsze ma serce jednakowéj miary.
Gdziebądź będziemy czerpać w zdroju czy w kałuży,
Czara więcéj nie zmieści i nie wstrzyma dłużéj,
A nierówność, co rani tak ubogich zgraje,
Jest nie w tém, co się czerpie, lecz w tém, co zostaje.
No cóż? Czyli te prawdy złudnemi być mogą,
I czylim je wolnością opłacił zbyt drogo?

Psaumis.

Kiedy masz tę różnicę w takiéj małéj cenie,
Każę ci o połowę zmniejszyć pożywienie.

Bomilkar (do Psaumisa).

Tak, dobrze, mścij się nad nim.

Lais (do Psaumisa).

To zbyt ostre słowa.

Halcydias (do Lais).

On za straty urazę w sercu do mnie chowa;
Ale ja mu gotuję niespodzianek zasób,
Co tę jego urazę pomnożą w dwójnasób.

Psaumis.

Tylko się nie spodziewaj pomocy niczyjéj.

Lais (do Halcydiasa).

Nie draźń kata, gdy stryczek masz około szyi.

Halcydias.

Ba! ten stryczek się zerwie.

Psaumis.

Niech tymczasem bryka,
Zobaczymy.

Lais.

Sprzedaj mi tego niewolnika.

Bomilkar (n. s.).

Już się łapie.

Psaumis (wahając się).

Co?

Bomilkar.

Psaumis zapłaty nie bierze,
On ci go daje.

Psaumis.

Co? ja? (N. s.) A to głupie zwierzę!
(Głośno:)
Nigdybym ci napróżno o nic nie dał prosić,
Lecz chcę nad nim méj zemście uczynić zadosyć,
Pójdzie na stryczek.

Lais.

Jakto?

Halcydias.

On nie tak zawzięty,
Boby ze mną na stryczku stracił dwa talenty.
Ale gorzéj mnie martwi, wyznaję to szczerze,
Że mnie Lais wyłącznie jako towar bierze;
Bo dla niéj, wybacz, jeśli to wspomnę nawiasem,
Jestem Ariobarzanem, a nie Halcydiasem.

Lais.

Pragnęłam ci usłużyć.

Halcydias.

Serce me nie rości
Prawa do takich usług i takiéj litości.

Lais.

Źle czynisz, że odrzucasz chęć pomocy szczerą.

(Lais wychodzi.)

SCENA IV.

Psaumis, Halcydias, Bomilkar.

Psaumis.

Teraz się rozmówimy.

Halcydias.

Rozmówmy się sknero.

Psaumis.

Za te wszystkie zuchwalstwa skóra twa odpowie...
A, łotrze! A więc sobie ułożyłeś w głowie,
Że zapłacę za ciebie i jeszcze tym zyskiem
Pod fałszywém mi Lais zdmuchnąłeś nazwiskiem!...
Czekaj, termin wieczorną nadchodzi już dobą,
A wówczas się uczciwie porachujem z sobą.

Halcydias.

Zgoda, i ja ci nawet radzę mimochodem,
Żebyś do porachunku zamorzył mnie głodem,
Bo to koszt jest niemały żywić darmozjada,
I zamorzyć go głodem najtaniéj wypada.

Psaumis.

Śmiéj się, lecz wkrótce przyjdzie koléj i płakania.

Bomilkar.

Wiesz co, że chyba bielmo oczy ci zasłania.

Psaumis.

W czém?

Bomilkar.

W tém, że kiedy sobie drwi z taką ochotą,
Musi być pewien siebie, założę się o to.

Psaumis.

Jak?

Bomilkar.

Bo sobie śmierć zada.

Psaumis.

Ależ?

Bomilkar.

Ręczysz, że nie?

Psaumis.

On?

Halcydias.

Ja?

Bomilkar.

Tak — on — ty!

Psaumis (niespokojny).

Zkądże znów to przypuszczenie?

Halcydias.

Ja mam sobie śmierć zadać?... Chyba masz gorączkę!

Bomilkar.

Kiedy tak, pokaż-że mi, proszę, tę obrączkę.

Halcydias.

Najchętniéj.

(Podaje Bomilkarowi obrączkę, który ją rozdwaja i zbliża do ust.)

Stój!

Bomilkar.

Dla czego?

Halcydias.

Bo tam jest trucizna.

Bomilkar (do Psaumisa).

A co? Czy nie mówiłem, że w końcu się przyzna?

Halcydias.

Oddaj mi tę obrączkę.

Psaumis (porywa obrączkę).

O nie, za nic w świecie!

Halcydias.

Znajdzie się dla mnie jeszcze inny sposób przecię.

Psaumis.

Zmiłuj się Halcydiasie, nie czyń tego kroku,
Będę cię żywił, chronił, jak źrenicę w oku;
Zresztą może się znajdzie inny jaki kupiec,
Co cię oceni tyle ileś jest wart.

Halcydias.

Głupiec!

Psaumis.

Wierzaj mi, żartowałem, widzisz, żart się nagnie
Do wszystkiego; ja jestem łagodny jak jagnię,
Nie krzyczę, ani biję, żywię wyśmienicie,
A niewolników moich miłuję nad życie.

Halcydias.

Znaj, że serce żywione na swobodzie długo,
Niewolniczą się zająć nie zdoła usługą,
I kiedym dla kaprysu kupczył życiem całém,
Już pewnym będąc śmierci, na nią rachowałem.

Psaumis.

Więc ci już żadna prośba do serca nie dotrze?

Halcydias.

Nie!

Psaumis.

Lecz ty nie masz prawa zabijać się, łotrze!
Przysiągłeś!

Halcydias.

I przysięgę moją skutkiem święcę:
Patrzaj, oto ci żywy oddaję się w ręce.

Psaumis.

Jakto? Więc chcesz?... Złodzieju!... Nieszczęsna godzina!
A jeszcze żona wkrótce powije mi syna,
To dopiero zalazłem w tarapaty głupie...
Pozwól niech choć poszukam kupca...

Bomilkar.

Ja go kupię.

Psaumis.

Ty?... W tém jest coś dziwnego! co ty?... frant nielada,
Może ten łotr skarb jaki ukryty posiada?
(Do Halcydiasa:)
Co?... powiedz?... nie masz skarbu?...

Halcydias.

Po co ten słów nawał?
Gdybym ja skarb posiadał, czyżbym się sprzedawał?

Psaumis.

Prawda.
(Do Bomilkara:)
Więc na cóż liczysz?

Bomilkar.

Co cię to obchodzi?
Kto się pyta czy kupiec złodziéj czy dobrodziéj?
Chcę kupić, czy chcesz sprzedać?

Psaumis (n. s.).

Czy nie podrwię głową?
(Do Halcydiasa:)
Ale ty się zabijesz, dajesz na to słowo?

Halcydias.

Sam zobaczysz.

Bomilkar.

No, mówże już, bo czasu szkoda.

Psaumis.

Ale...

Bomilkar.

Dam jeden talent, no, czy zgoda?

Psaumis (po chwili wahania).

Zgoda.

Bomilkar.

Oszust ten, co umowę tę zerwać się waży.
Pójdźmy teraz akt spisać kupna i sprzedaży.

Psaumis (n. s.).

Głupi człowiek!

Bomilkar (widząc Lais wchodzącą).

Nadejdę zaraz, idź tymczasem.

(Psaumis idzie w głąb.)

SCENA V.

Halcydias (siedzi), **Lais. Bomilkar, Psaumis** (w atrium).

Lais.

No, czy już nie przeszkadzam?

Bomilkar (bierze ją na stronę).

Pomów z Halcydiasem;
On się chce zabić!

Lais.

Jakto? On... zabić?

Bomilkar.

Milczenie!
Jest to człowiek szlachetny, lecz dumny szalenie,
Pragnie się otruć.

Lais.

Biedny!

(Bomilkar wychodzi z Psaumisem.)

SCENA VI.

Halcydias, Lais.

Lais (po chwili).

Więc żądasz opieki
Śmierci?

Halcydias.

Tak... jestem chory, a to pewne leki.
(Biorąc ją za rękę, spogląda na pierścień, który ma na palcu:)
Pyszny beryl!

Lais.

Tak... lecz ty?

Halcydias.

Cudny! Czyjaż kiesa
Starczyła na tak drogi skarb?

Lais.

Alcybiadesa.

Halcydias.

Piękny młodzieniec!

Lais.

Tak jest. Ależ, Halcydiasie,
Czy trwasz w swoim zamiarze?

Halcydias.

Jużby po niewczasie
Było się cofać; zresztą co to szkodzi komu,
Że umiera niewolnik, lękając się sromu?
Już czarę wszystkich uciech wyczerpałem do dna,
Więc w téj chwili śmierć dla mnie jest bardzo dogodna.

Lais.

Żart jest zawsze niewczesny, gdy o śmierci mowa.

Halcydias.

Jaka śliczna kamea! to Junony głowa!
Czy od Alcybiadesa także?

Lais.

Nie.

Halcydias.

Od kogo?

Lais.

Od Megaklesa. Lecz cóż obchodzić cię mogą
Te rzeczy?

Halcydias.

O czém mówić?

Lais.

Pomówmy o tobie.

Halcydias.

Tak... chciałbym, by na moim wypisano grobie...

Lais.

Zmiłuj się!

Halcydias.

Więc ta spinka lepiéj nam się nada
Do rozmowy wesołéj: to jakaś Najada,
Gustowna, nawet w swoim rodzaju jedyna,
Tylko szkoda, że gors twój zbyt wysoko spina,
I przez nią myśl za wzrokiem dąży nadaremnie.

Lais.

A więc ty przyjaciela nie chcesz widzieć we mnie?

Halcydias.

Zgoda na przyjaźń, lecz rad nie chcę.

Lais.

Od kobiety...
Przypuść na chwilę, żem jest mężczyzną.

Halcydias.

Niestety!
Jak wierzyć w to?

Lais (spuszczając oczy).

Zapomnij!

Halcydias.

Nie dość na to chęci,
Czyż sądzisz, że tak mało u mnie jest pamięci?

Lais.

A więc przez to wspomnienie, przy którém twarz nasza
Zawsze się żywszym wstydu rumieńcem okrasza,
Jeżeli mnie kochałeś, jeżelim ci miła...

Halcydias.

Nie pytaj, byś się potém na mnie nie żaliła.

Lais.

Cóżbyś mógł mi powiedzieć? A więc mów, gotowa
Jestem słuchać.

Halcydias.

Nie pytaj, to bolesne słowa.

Lais.

Więc mów.

Halcydias.

O! nie rozjątrzaj téj rany daremnie.

Lais.

Mów!

Halcydias.

Więc słuchaj! Wstręt budzisz i nienawiść we mnie.

Lais.

Ja? Z jakiejże przyczyny?

Halcydias.

Ty! Tak, już się stało!
Chcę, muszę tobie prawdę wypowiedzieć całą,
Bo żółć wezbrała we mnie, jak gdy podczas burzy
Niebo się przed piorunem obłokami chmurzy.
Ja kraj mój opuściłem, zapaleniec młody,
Bo tam brakło mi jeszcze nieba i swobody.
Nie chciałem jak słonecznik przykuty do ziemi
Zwracać głowy za słońca promieńmi złotemi.
Nie wiedząc dokąd idę, poniosłem swe kroki
W świat, którego nie znałem jeszcze, w świat szeroki,
Nie dbając czy się łatwa dla mnie droga utrze,
Bez żalu o przeszłości, bez troski o jutrze;
Aż raz przyszedł dzień straszny, w którym cię ujrzały
Me oczy, w całym blasku piękności wspaniałéj,
I gdy wszyscy przed tobą uchylali głowę,
Dla mnie nieznane szczęście zabłysło i nowe
Życie złudzeń, rozkoszy, i światła, i woni,
Co się rozpromieniało w około twéj skroni,
Ku któremu duch z piersi szybkim rwał się gońcem...
Życie miłości! a tyś była jego słońcem!
Miłość się zwarła we mnie w całéj dzikiéj sile!...
„O! posiąść tę kobietę jedną tylko chwilę,"
Mówiłem — „potém umrzeć nasycony wiosną,
„I opłacić wiecznością tę chwilę radosną!"

Nadszedł Scyta, i sam się sprzedałem nikczemnie...
Teraz wiesz czém wzbudziłaś tę nienawiść we mnie.

Lais.

Wszak mi mówiłeś, że już nie tęsknisz po niczém?

Halcydias.

To pycha swém fałszywém kłamała obliczem!
Tak jest, nie miałbym żalu w téj śmierci godzinie,
Gdybym znał ciebie, a nie twój posąg jedynie;
Lecz szczęścia tego życiem kupionego całém,
Ani kropli przy tobie nie zakosztowałem,
I kiedym tobie duszą się całą oddawał,
Miast serca lśniący lodu napotkałem kawał.
Tak wędrowiec, tessalskie gdy zwiedza urwiska,
Widząc jak na tych stromych szczytach śnieg połyska,
Ugania się za widmem, co dotknięte znika...
I ty jesteś złudzeniem tylko wędrownika,
Bo za dotknięciem znikasz lodowa i blada,
A on z przekleństwem w ustach w przepaść się zapada.

Lais.

Pojmuję jaką boleść sprawiają te rany,
Ale kto z nas oszukał, a kto oszukany?
Czemużeś przyszedł do mnie pod maską kłamliwą
Tych, co widząc w nas tylko uciech swoich żniwo,
Pragną, by im kobieta oddała się rada,
Nie pytając, czy serce ten posąg posiada?
Wśród tych ludzi kobieta, któréj wstyd nie broni,
Staje się lekkomyślną i zimną jak oni,

Biorąc kochanków tak, jak oni z nią czynili,
Z nudy, z dumy, z kaprysu, dla zabicia chwili;
A gdy miłosne ziarna czasem w sercu wskrzesną,
Odtrąca je od siebie, jak słabość bolesną.
Lecz gdybyś przyszedł do mnie i rzekł mi: „Hetero!
„Ofiaruję ci miłość gorącą i szczerą;
„Życie me zaprzedałem, by w tobie skonało...
„Lecz gdym się cały oddał, chcę ciebie mieć całą...”

Halcydias (wzruszony).

Już przeszło!

Lais.

Niech ci na to twe serce odpowie;
Więc i ty wspólne szczęście zatraciłeś... Kto wie
Ilebyś sił wlał we mnie tém serdeczném słowem,
Jabym przez ciebie życiem zmartwychwstała nowém.

Halcydias (z goryczą).

Tak jest, zawiodłem twoją ciekawość, lecz dzieło
Skończone już. Cóż czynić!

Lais.

Więc wszystko minęło?
Źródło wyschło... nieprawdaż?... wśród tego odmętu
Namiętności złudzenia już znikły?...

Halcydias.

Do szczętu.

Lais (po chwili).

Lecz byłam twoją... a więc nie pozwolę na to,
Żebyś tę chwilę życia okupił zapłatą,
I jeśli...

Halcydias.

Nie chcę żadnéj od ciebie jałmużny.

Lais.

Uspokój się, bo w niczém nie będziesz mi dłużny.
Psaumis ci chętnie uścisk wyzwolenia poda.

Halcydias.

Już mnie Bomilkarowi ustąpił.

Lais.

To zgoda
Tém łatwiejsza; jak tylko zjawią się z powrotem,
Odkupię cię.

Halcydias.

Co?... mnie?... ty?...

Lais.

Własném twojém złotem.

Halcydias.

Nie chciéj się dla mnie sercem poświęcać wspaniałém,
Ja nie odbieram nigdy tego, co raz dałem,

I nie tak znów mnie rozpacz do ziemi przybija,
Żeby nademną litość znęcała się czyja.

Lais.

Będę posłuszną.

Halcydias.

Wybacz szorstkości méj mowy;
Nie umiem się wyrażać gładzonemi słowy,
Ani żalu w sukienkę przystrajać jedwabną...
Przytém wiesz, że przed śmiercią nerwy zwykle słabną...
Czy wybaczysz mi szorstkość słów moich?

Lais.

Tak!

Halcydias.

Dzięki!
A teraz chciéj mi jeszcze nie odmówić ręki...
Jaka zimna!...

Lais (n. s.).

Zimniejszy pocałunek jego!

Halcydias.

Cudnie na niéj te żyłki niebieskawe biegą...
Lecz dla czegoż ten pierścień tak kazi jéj białość?

Lais.

Nie wiem.

Halcydias.

A... już zgaduję... chwalebna to stałość,
Co tak wiernie zdobytych serc, chowa haracze!
Któż ci dał ten pierścień?

Lais (zdzierając pierścień z palca i rzucając go na ziemię).

Nikt.

Halcydias.

Płaczesz?... Ona płacze!

SCENA VII.

Bomilkar (wchodząc po cichu, do Lais).

No i cóż?

Lais.

Nienawidzi mnie!

Bomilkar (po cichu).

To być nie może,
Chybaby musiał całkiem oślepnąć nieboże.

Lais (po cichu).

Pragnę pomówić z tobą samym.

Bomilkar.

Halcydiasie!
Przejdź tam, chcemy być sami.

Halcydias.

Rozkaz nie na czasie,
Jeszcze nie nadszedł wieczór i termin umowy.

Bomilkar.

To wulkan zawsze lawą wybuchnąć gotowy,
Co najdrobniejsze słówko z urazą podejmie.
Ja ci nie rozkazuję, lecz proszę uprzejmie,
Żebyś przeszedł do tamtéj komnaty, jeżeli
Nie chcesz, byśmy to sami uczynić musieli.

Halcydias.

Zgoda. (N. s.:) Co on chce od niéj, słuchajmy.

(Wchodzi za portierę.)

SCENA VIII.

Halcydias (ukryty), **Lais, Bomilkar.**

Bomilkar.

To pycha!

Lais.

Tak, lecz prawdziwie męzka.

Bomilkar.

A więc mówmy z cicha,
Czego żądasz?

Lais.

Wolności jego; lecz niestety,
On mówi, że nic nie chce przyjąć od kobiety...
Także więc spadłam nizko, sprawiedliwe Nieba,
Że mi już z dobrodziejstwem ukrywać się trzeba,
A czystość tak odemnie już odbiegła z dala,
Że dotknięcie méj ręki nawet wolność kala!

Bomilkar.

To góral na wpół dziki, lecz szlachetnéj duszy,
Co się spiżową dumą niby cnotą puszy.

Lais.

A więc zadość mu czyniąc, chcę działać tajemnie;
Niechaj nie wie, że wolność otrzymał odemnie,
Niechaj wdzięczność dla innych w sercu swojém chowa...
Ale wybacz, że trudno w ład mi ująć słowa.

Bomilkar.

Lecz znaczenie ich łatwo mój umysł przenika:
Chcesz wykupić odemnie tego niewolnika,
Tak, by myślał, że sercem wiedziony wspaniałém,
Własnowolnie wolnością go udarowałem.

Lais.

On, byle nie odemnie, przyjmie.

Halcydias (za zasłoną).

Biedna ona!

Bomilkar (n. s. spoglądając na Lais).

Co za cudownie piękne kształty! Na Ammona!
Umrę chyba na słomie.

Lais.

I cóż?

Bomilkar (n. s.).

Skonam z głodu.
To ramię.

(Do Lais:)

Siądźmy lepiéj. Więc tak bez powodu
Ten dzik wszedł ci do serca.

Lais.

Tak, przynajmniéj dosyć,
Bym mu pragnęła wolność u ciebie wyprosić.

Bomilkar.

A więc bierz go, jest twoim.

Lais.

Ileżem ci dłużna?

Bomilkar.

Czy sądzisz, że płeć nasza tak mało usłużna?
Zapłaty nie chcę.

Lais.

Ale...

Bomilkar.

Możesz go wziąć sobie,
I pozwól, niech ci z niego podarunek zrobię;
A jeżeli chcesz mi być wdzięczną, to wiedz o tém,
Że spłaciłbym twój uśmiech całém świata złotem.

Lais (powstając).

Mógłbyś się jaśniejszemi tłómaczyć wyrazy,
Bo wiesz dobrze, że nie mam prawa do obrazy,
I zaśmiałbyś się, gdybym, z cnoty robiąc zbroję,
Z oburzeniem przyjęła te ofiary twoje...
A więc ci wręcz odmawiam bez gniewów i żali.

Bomilkar (po chwili wahania się, powstając).

Jeśli mnie to nie cieszy, niech mnie piorun spali!
Drżę na myśl samą, ileby mnie kosztowała
Bez twéj odmowy moja usługa wspaniała.
Czy wiesz, że ten, którego z takim nierozsądkiem
Chciałem ci dać, jest moim jedynym majątkiem,
Ostateczną już resztą fortuny bogatéj,
Stawką, co mi ma wszystkie wynagrodzić straty,
Losem, co mi w Koryncie bytność upamiętni.

Lais.

Więc nie chcesz mi go sprzedać?

Bomilkar.

Ależ jak najchętniéj,
I nawet ci się przyznam, bez omówień wielu,
Że go jedynie tylko kupiłem w tym celu.

Lais.

Trzy talenty?

Bomilkar.

Nie.

Lais.

Cztery?

Bomilkar.

Nie bądźże tak skora:
Nie nadeszła stosowna targu jeszcze pora.

Lais.

Dla czego?

Bomilkar.

Bo nim cena oznaczy się stała,
Trzeba, ażebyś całą wartość jego znała.

Lais.

Jakiż jest twój plan?

Bomilkar.

Chcesz mnie wybadać, Najado?
Zgoda — nie działam nigdy podstępem ni zdradą;
Zresztą tak w powodzeniu jestem zaufany,
Że odkryję przed tobą wszystkie moje plany.
Więc widzę, żeś w miłosnym ugrzęzła zapale.

Lais.

Tak, prawda, ja go kocham.

Bomilkar.

Nic dziwię się wcale,
To natura wpółdzika, ale nieskalana...
Zaiste warto kochać takiego młodziana.

Lais.

A z jaką męzką siłą, z pogodą na czole
Mówił do mnie, iż śmierć chce przenieść nad niewolę.

Bomilkar.

I powiedzieć, że jutro z własnéj zginie dłoni!

Lais.

Przed srogą koniecznością głowy on nie skłoni,
Ale mu dziwny zapał oko rozpromienia,
Gdy swoją wolę kładzie w szalę przeznaczenia.
Tak on mi się wydawał w uniesieniu dzikiém,
Wśród rozbudzonéj tłuszczy królem niewolnikiem.

Bomilkar.

Tak? dogadza mi bardzo to twoje złudzenie:
Król-niewolnik... Możemy pomówić o cenie.

Lais.

Jakież twoje żądanie?

Bomilkar.

Więc najprzód ci powiem,
Że mi na sercu ciąży prawdziwie ołowiem
I trapi mnie, iż jestem w konieczněj potrzebie
W tym małym interesie trochę zedrzeć z ciebie.
Nigdy chciwość nie była wadą twego sługi,
A dowodem są tego liczne moje długi,
Które też tłómaczeniem posłużyć mi mogą,
Jeżeli go dziś tobie zacenię zbyt drogo.

Halcydias (z po za zasłony).

A, łotr!

Lais.

Po co słów tyle? Pomówmy wprost o tém.

Bomilkar.

Jeden twój uśmiech Grecya cała spłaci złotem,
Podczas gdy postać moja, jak wiesz, ladajaka,
I nikt nie dałby za mnie marnego miedziaka;
Więc z summy, co chcę naszą oznaczyć umową,
Nie mogę nic odstąpić... daję na to słowo.

Lais.

Lecz raz przecię chciéj przerwać słów daremnych wątek.
Ile?

Bomilkar.

Ach! sto talentów!

Lais.

Cały mój majątek!

Bomilkar.

Jak raz tyle winienem.

Halcydias.

Szalbierz bez sumienia!

Lais.

I gdyby choć mnie kochał!

Bomilkar.

Lecz nie ma wątpienia,
Że cię kocha, uwielbia, bez granic, bez miary;
Dowodem duma, z jaką przyjął twe ofiary.

Lais.

Tak sądzisz? Pewny jesteś?

Bomilkar.

Najpewniejszy w świecie.
Niech tylko przyjdzie, zaraz się porozumiecie,
Zobaczysz! Halcydiasie! To młodzian z zapałem.
Halcydiasie!

SCENA IX.

Bomilkar, Lais, Halcydias.

Halcydias (uchylając zasłony).

Mnie wołasz?

Bomilkar.

Tak!

Halcydias.

Nie dosłyszałem.

Bomilkar.

Wiedz, że się postać rzeczy całkowicie zmienia.

Halcydias.

Niewolnikowi twemu masz co do zlecenia?

Bomilkar.

Co to znaczy?

Halcydias.

Że wszystko rozważywszy ściśle,
Wolę żyć i z mym losem pogodzić się myślę.

Bomilkar (n. s.).

Czy oszalał? (Głośno:) Żartujesz!

Halcydias.

Nie żartuję wcale.
Widzę, że się sam w pierwszym zwodziłem zapale,
I prawdę powiedziawszy... ja się śmierci boję.

Lais (n. s.).

Co on mówi?

Halcydias.

Śmiesznemi były groźby moje.
Ale już tych wybryków junakowskich dosyć,
I przychodzę sam ciebie pokornie przeprosić.

Bomilkar.

Gdy kto tak obdarzony sercem tchórzowatém,
Ten niech dba, żeby inni nie tracili na tém.

Halcydias.

Lecz ja nie przysporzyłem żadnéj straty tobie,
Bo przez to masz mnie taniéj.

Bomilkar.

I co z tobą zrobię?

Halcydias.

Jakto? zdolnego we mnie posiadłeś flecistę.

Bomilkar.

Piękny nabytek!

Halcydias.

Dziwny człek z ciebie zaiste!
Choćby ci było widzieć mnie trupem przyjemnie,
Trudno, byś téj ofiary chciał żądać odemnie.

Bomilkar (n. s.).

A bogdaj cię cyklopi żywcem zadławili!

Lais (do Halcydiasa).

Czy to ty Halcydiasie! Czy mnie wzrok mój myli?
Gdzież to się podział dawny twój zapał i siła?

Halcydias.

Chciałbym, byś choć na chwilę na mém miejscu była.

Lais.

Ja! O, nigdybym trwogą nie zadrżała podłą,
By strząsnąć niewolnictwa nikczemnego godło.
I jak ten, który na śmierć przez miasto wiedziony,
Szuka w świątyni bogów dla siebie ochrony;
Tak i ja przed przyszłością hańby i spodlenia
Biegłabym skon powitać, jak ołtarz zbawienia.

Halcydias.

Dumnie przemawiasz.

Lais.

Tyś był dumniejszym odemnie!
Ale nie, ty nie mogłeś upaść tak nikczemnie:

Jakieś bóztwo piekielne wzrok ci zaciemniło!
Obudź się Halcydiasie, powstań z nową siłą,
Niech głos kobiety męztwo w twém sercu wywoła,
Powstań i to sromotne godło otrzéj z czoła,
Bo stokroć śmierć znośniejsza od jadu lub miecza,
Niżeli zatracona twa godność człowiecza.
Umrzéj! Niechaj rozdarta pierś szlachetną raną
Odda piekielnym bogom duszę nieskalaną,
Umrzéj i niechaj zacna skonu twego chwała
Rozbudzi czci wspomnienie w téj, co cię kochała.

Bomilkar (do Lais).

Patrz, jak mu oko błyszczy, zapał pierś wypręża!

Lais.

A... wiedziałam, że w tobie bije serce męża!

Bomilkar (zacierając ręce).

To uczciwości chłopak, zabije się, ręczę.

Halcydias.

Mylisz się: czuję w sobie dziś serce zajęcze.

Bomilkar.

Wstydź się być tak do swojéj przywiązanym skóry!

Lais.

Tegoż cię nauczyły twe ojczyste góry?
Ty, coś nie miał ni miejsca, ni przestrzeni dosyć,
Chcesz teraz podłe jarzmo służebnictwa nosić?

Halcydias.

O błoga samotności na stromym gór szczycie!
O gwiazdy jaśniejące pogodnie w błękicie!
O powietrze gór wonią przesiąknięte zdrową!
O kozy moje!

Bomilkar (do Lais).

Widzisz — płacze — daję słowo,
Tak, płacze.

Lais.

Halcydiasie, obudźże się przecie.

Halcydias.

O kozy moje! dla was grywałem na flecie...
Będę teraz dla niego grywał za zapłatą,
Bo on na równi z wami zasługuje na to.

Lais.

O! co za podłość!

Halcydias (n. s.).

Raczéj mów: co za odwaga!
(Głośno:)
Niewolnictwo wysileń żadnych nie wymaga,
A ja się przyznam tutaj bez obrazy cześci
Waszéj, lubię pić dobrze i jeść co się zmieści.
Co mi tam praca, głupią kupiona swobodą!
Wolę na cudzym koszcie żyć sobie z wygodą.

Lais.

Czy podobna!

Halcydias.

To może się wam wyda dzikiém,
Lecz nie mam nic wspólnego z królem-niewolnikiem,
I pragnąłbym...

Lais (żywo).

Ty rzekłeś...

Bomilkar.

A co! sam się złapał.
Król-niewolnik!

Halcydias.

Niezręczny!

Bomilkar.

Ten tchórzowstwa zapał
To udanie.

Lais.

Tyś naszéj podsłuchał rozmowy!

Bomilkar.

A mnie nawet ten podstęp nie przyszedł do głowy.
Wierz mi, młodzieńcze! pięknie, pięknie z twojéj strony,
Żeby się tak poświęcać dla cudzéj ochrony.

Lais.

Co za szlachetność!

Bomilkar (n. s.).

Teraz zysk już mnie nie minie.

Lais.

No, powiedz, w jakim ciebie mam spłacić terminie?
Dyktuj!

(Siada przy stole. Bomilkar staje z drugiéj strony stołu.)

Halcydias.

Nie waż się tego czynić, na Junonę!
Lais, błagam cię, porzuć te myśli szalone!
Chwilę jedną! Zaklinam cię na ojców cienie!
Ty myślisz, że mnie kochasz... to proste złudzenie!
Jednostajnością życia twojego znudzona,
Masz podziw dla człowieka, co z odwagą kona;
Bo żaden inny przymiot serca ni rozumu
Nie wyróżnia mnie od twych wielbicieli tłumu.
Lecz, wierzaj mi, nie wytrwasz w zaślepieniu takiém...
Weź śmierć, a pozostanę czém jestem... prostakiem.
Więc na co ci się przyda ofiara bezwiedna,
Gdy me życie śmierć tylko uszlachetni jedna?

Lais (do Bomilkara).

Dyktuj, jestem gotowa.

Bomilkar (dyktując).

„Mocą téj umowy,

„Któréj akt potwierdzamy na drodze sądowéj,
„A teraz spisujemy jasno i przytomnie...”

Halcydias.

Jakto? Bezemnie chcecie stanowić tu o mnie?
Ja téj ofiary nie chcę przyjąć!... to jałmużna!
Nie chcę!... mówię, że nie chcę!

Bomilkar (dyktując).

„Oświadczam, żem dłużna.”

Halcydias.

A więc chcesz wszystko z mojéj utracić przyczyny?

Lais (do Bomilkara).

Dyktuj!

Bomilkar.

„Bomilkarowi, rodem z Kartaginy...”

Halcydias.

Ach! wstrzymaj się przez litość!

Bomilkar.

„Sto talentów złota.”

Halcydias.

Słuchaj, ty bladéj nędzy chcesz otworzyć wrota!
Ciebie miłość rozkoszy otaczała kołem,
Ty nie znasz téj poczwary z pokalaném czołem,

A to głód, to pragnienie, to życie sieroce,
To ciężka praca we dnie, to bezsenne noce;
To jest dola, do któréj tak się ciernie plotą,
Że kiedyś może ludzie uczynią ją cnotą!

Lais.

Dyktuj daléj.

Bomilkar.

„Za które jemu przez niniejsze
„Ustępuję...”

Halcydias.

Nie słuchasz mnie.

Bomilkar.

„Całe dzisiejsze
„Moje mienie, klejnoty, pieniądze i sprzęty...”

Halcydias.

Jakaż twoja nadzieja? Jam człowiek przeklęty,
Ja nie mogę cię kochać, choćbym chciał!... Nie mogę!
Skazałbym się na wieczną niepewność i trwogę!
Wszystko, co tu posiadasz, co ten dom twój mieści,
To jest licha zapłata zyskana z bezcześci.
(Lais zdejmuje naramiennik.)
Czyj to dar? mów! rycerza? archonta? kapłana?
Tu zewsząd twoja przeszłość przemawia skalana!
Jakąż straszną ten wykup miałby dla mnie postać?

Nienawistnym twym gachom dłużnym nie chcę zostać!
O! stokroć lepiéj umrzeć!

Lais.

Podpisy i data.

Bomilkar.

Dobrze, tutaj na dole.

Lais.

I zaraz wypłata.

Halcydias.

Nie! dłużéj już znieść tego nie mogę! i raczéj,
Choćbym miał serce twoje pogrążyć w rozpaczy,
Powiem ci, kocham inną.

Lais.

O bogi!

Bomilkar.

To znowu
Kłamstwo wspaniałomyślne, wierzaj memu słowu!

Halcydias.

Zwie się Timandra, dziewczę skromne i stateczne,
Od dawna już nas łączą stosunki serdeczne,
I przysięga małżeństwa wiąże uroczysta...
Ona, skromna jak Ceres, jak Dyanna czysta,

Włos się w koło jéj głowy w tysiące pierścieni
Plącze złotych, a z oczu niewinność promieni.

Lais.

Dosyć!

Halcydias.

Gdym ją opuszczał, rzekła: „Halcydiasie,
Pomnij, że ciebie kocham; a więc w każdym czasie
I w każdém miejcu dla mnie pozostań bez zmiany,
I zachowaj mój obraz w duszy nieskalany.
Nie zazdrosnam o żądze, co w krwi twojéj płoną,
Sercem zawsze powrócisz do mnie... jestem żoną!"

(Lais pada zemdlona.)

Lais! O nieba!

Bomilkar.

Lais!

Lais (przychodząc do przytomności).

Czemuż w srogiéj męce
Nie skonałam!

(Do Halcydiasa:)

Więc ślubnym złączcie wasze ręce
Węzłem.

Halcydias.

Jakto?

Lais.

Myślałeś, że w zazdrości szale

Chęć ocalenia ciebie od serca oddalę;
Nie — choćbym miała wieczną okryć się żałobą,
Stało się, połącz się z nią przed ołtarzem.

Halcydias (padając jéj do kolan).

Z tobą!
Kłamałem, ciebie kocham całą duszy siłą.
Nie wdzięk twój, ale serce twoje zwyciężyło.
Widzę cię znów niewinną, czystą, nieskażoną,
Jesteś mi krwią i sercem, kochanką i żoną.
Tyś moja!

Lais.

Więc mnie kochasz?!

Halcydias.

Ja? Niebem się świadczę!
O! wybacz te obelgi moje świętokradcze,
Zrzuciłaś z siebie wszystko, co kazi i plami!
Przeszłość twoja zmazana, a przyszłość przed nami!

Lais (rzucając się mu na szyję).

Jakżem szczęśliwa! bogi! Myśli mi się mącą...
Rzućmy dom ten, co przeszłość zwarł w sobie hańbiącą.
Lecz nie tak.

(Do niewolnicy:)

Daj mi płaszcz twój.

Bomilkar.

Co tak śpiesznie? Przecię
Chwil kilka jeszcze ze mną zabawić możecie.

Lais.

O nie! nie! Dziś się dla mnie nowe życie budzi.

Bomilkar.

Więc żegnam!

(Lais wychodzi z Halcydiasem.)

Bomilkar (sam).

Jak to słodko uszczęśliwiać ludzi!

—⁓⁓⁓—

HONOR I PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez

Fr. Ponsard'a.

OSOBY.

Pan MERCIER.

LAURA / ŁUCYA — jego córki.

JERZY.

RUDOLF, jego przyjaciel.

Notaryusz.

Kapitalista.

Statysta.

Stara panna.

Stary jegomość.

Pierwszy / Drugi / Trzeci — przyjaciele Jerzego.

Pierwszy / Drugi / Trzeci / Czwarty — wierzyciele Jerzego.

Dependent Notaryusza.

Służący.

Rzecz dzieje się w Paryżu.

AKT I.

(Scena wystawia bogaty salon w mieszkaniu Jerzego.)

SCENA I.

Jerzy, przyjaciele i goście Jerzego.

(Wszyscy wychodzą z pokoju jadalnego i wchodzą do salonu; na środku salonu stół, a na nim kawa i likiery.)

I-szy przyjaciel do Jerzego.

Wyborny obiad dałeś.

Jerzy.

W saméj rzeczy?...

I-szy przyjaciel.

Że umiesz przyjąć nikt ci nie zaprzeczy.

Jerzy.

To kucharzowi ta chwała należy.

I-szy przyjaciel.

Dobry generał dobrych ma żołnierzy,

Bo o zdolnego niełatwo kucharza,
U ludzi z gustem tylko się to zdarza.

2-gi przyjaciel (przypatrując się akwarellom).

Tak... tak... czyje to są te akwarelki?

Jerzy.

Moje.

2-gi przyjaciel.

A! brawo, pan masz talent wielki,
Dużo lekkości, wyborna metoda,
Co za przepyszne niebo! jaka woda!

1-szy przyjaciel.

Śmiały rysunek.

3-ci przyjaciel.

Jaka pewność wszędzie!

2-gi przyjaciel.

Czy na wystawie ten obraz nie będzie?

Jerzy.

Zbytek dobroci.

2-gi przyjaciel.

Nie... bo wcale ładny.

Jerzy.

Nie mam pretensyi do artyzmu żadnéj;
Jako amator... ot tak... bazgrzę sobie
I żadnéj z tego zasługi nie robię.

I-szy przyjaciel.

A znam malarzy jednak, co w potrzebie
Mogliby jeszcze uczyć się od ciebie.

3-ci przyjaciel.

Jaka to szkoda, że z natchnieniem takiém
Tyś bogatego ojca jedynakiem!

Jerzy.

Czyliż w istocie, bez żartu sądzicie,
Żebym mógł pendzlem zarabiać na życie?

2-gi przyjaciel.

Mógłbyś mieć na rok dwadzieścia tysięcy
Franków...

Jerzy.

E znowu?...

I-szy przyjaciel.

Tak... może i więcéj.

Statysta.

Bardzo to pięknie, masz talent nielada,
Lecz to biedakom zostawić wypada.

Niech ten, co w pracy życie trawi smutnie,
Szuka zarobku w bazgraniu na płótnie;
Mniejsza z tém jeszcze, chociaż i to zbytek,
Bo z płótna lepszy mieć można użytek.
Lecz człowiek jak ty poszukiwan w świecie,
Inny cel w życiu mieć powinien przecię.
Dziś była o tém u ministra mowa:
„Gdzie to, mówiono, ten Jerzy się chowa?
„Tak możnych ludzi trzeba mieć na względzie,
„Żeby karyery szukali w urzędzie.
„Niech pan go od nas w téj mierze wybada,
„A odpowiednia znajdzie się posada.”
Podprefektura?...

Jerzy.

O, dziękuję panu.

Statysta.

To dyplomacya?... albo rada stanu?...

Jerzy.

Dziękuję... mało mam zdolności na to,
Żeby być radcą albo dyplomatą...

Kapitalista.

Chcesz, by cię w świecie dobrze uważano?...
Ożeń się, panie, i weź dobre wiano.

Jerzy.

Owszęm, w tém tylko trudność leży cała,
Że chcę, by mi się żona podobała.

Kapitalista.

No, możesz poledz w tém na mojém słowie;
Mam ja dla ciebie żonkę co się zowie,
Zobaczysz jak ci sprawę popchnę gracko,
Córka bankiera, powiadam ci... cacko...

Jerzy.

Ma lat?...

Kapitalista.

Milionik... czystéj schedy swojéj...

Jerzy.

Ależ...

Kapitalista.

Po stryju jeszcze się okroi,
A oprócz tego...
(Mówi mu do ucha:)
Jest i córka para,
Lecz posag mały i trochę za stara;
Tamtą wybierzesz, jeśliś dobry znawca.
Daléj...

Jerzy.

Dosyć już.

Kapitalista.

Daléj córka krawca.

Jerzy.

Ależ ja żadnéj nie znam!

Kapitalista.

Co to szkodzi.
Byleś znał posag, o resztę nie chodzi?

Jerzy.

Ależ...

Kapitalista.

Po ślubie poznać się możecie.
Wszak teraz wszędzie tak się dzieje przecię.

Jerzy.

Być może, panie, lecz ja wyznam szczerze,
Że wcale inne mam zdanie w téj mierze.
To jest zacnego ujma stanowiska,
Gdy do małżeństwa rachuba się wciska;
Kto zaufany w tak szlachetném dziele,
Pewno się wyśpi jak sobie pościele.
Nie zawsze zgoda trwa w małżeństwach święta,
Lecz dawna miłość zawsze się pamięta,
I świecąc wspomnień pozłocistą tęczą
Serca swą wiarą odżywia młodzieńczą.
Ale się związać nierozdzielną siłą
Z osobą obcą sobie i niemiłą,
Ale nazywać mianem żony świętém
Tę, któréj imię wymawiamy z wstrętem,

Która swą skazą życie nasze plami,
Któréj przymioty nawet są wadami
Dla nas, chociażby w najświetniejszym bycie
W pałacu takie przyszło pędzić życie,
Ja wolę stokroć ubogie poddasze,
Byle w niém serca zgodziły się nasze.

Kapitalista.

Zwykłe to, panie, młodości złudzenie.

Jerzy.

Może też z wiekiem przekonanie zmienię,
Lecz pókim młody, to w wyborze żony
Będę miłości szukał nie mamony,
Bo w piersiach moich serce a nie drewno,
A dla miliona nie sprzedam się pewno.

SCENA II.

Ciż sami, Rudolf.

Rudolf (który wszedł podczas ostatnich słów Jerzego).

Brawo... masz słuszność, takie zdanie chwalę.

Jerzy (witając się z nim).

A... już myślałem, że nie przyjdziesz wcale...

Rudolf.

Przecięż przysłałem dać znać jeszcze rano,
Żeby z obiadem na mnie nie czekano.

Jerzy.

Wiem... wiem...
(Przedstawia Rudolfa tym, co są w salonie.)
Prawdziwy filozof panowie,
Co zawsze zgodny i w czynie i w mowie;
Nigdy mu dobrych nie zabraknie chęci...
(Ściskając go za rękę:)
A dla przyjaźni cały się poświęci;
Choć twierdząc, że to próżna czasu strata,
Nie chce się nagiąć do wymagań świata.

Rudolf.

Chcę niezależnym być, wyznaję szczerze;
Kto nic nie daje, nic w zamian nie bierze.
(Statysta i Kapitalista wychodzą.)

I-szy przyjaciel.

Bardzo to pięknie, ale w pewnym względzie
Nie zawsze dobrą ta zasada będzie.
Gdyś pan naprzykład proszony do kogo,
A nie przychodzisz, obrazić się mogą.

Rudolf.

Pozwalam, niech się urażą i kwita...

2-gi przyjaciel.

Toż się przynajmniéj należy wizyta?

Rudolf.

Nie sądzę.

2-gi przyjaciel.

A gdy pan odbierzesz listy?

Rudolf.

Nie odpisuję i interes czysty.

I-szy przyjaciel.

Żarty.

Rudolf.

Wcale nie. Zkądże mus, mój panie,
Żebym koniecznie odpowiadał na nie?
Że tam ktoś papier zaczerni daremnie,
Już ma mieć prawo żądania odemnie
Tego samego? Chwile moje liczę
I marnotrawić ich darmo nie życzę.
Życie poświęcam pracy i nauce.
Co Bóg w naturze, a duch ludzki w sztuce
Rozlał, czcić umiem i szanować święcie.
Dla mnie czytanie najmilsze zajęcie,
Lub kiedy serce zażąda ochłody,
Odświeżam ducha w pięknościach przyrody.
Ale bez celu odwiedzać salony,
By tam pleść jakieś od rzeczy androny,
Pilnować godzin i o schadzki prosić,
Kraść czas, którego nigdy nie ma dosyć,
Opuszczać ciepłe miejsce przy kominie
I fotel, w którym duch w marzeniach ginie,
Poświęcać chwile nadaremnéj męce,
By rękawiczki ciasne kłaść na ręce,

Bo mnie wybrana zaprosiła kasta
Do dwóch salonów na dwóch końcach miasta,
Liczyć wizyty albo imieniny,
Rozrachowane mieć wszystkie godziny,
Poczciwéj myśli marnotrawić ziarno
Na tę próżniaczkę trudzącą a marną,
Co pustki nieci i w sercu i w głowie,—
Czyliż to życiem jest moi panowie?
Co do mnie, zwę to czasu tylko stratą.
Powtóre, dochód mam za szczupły na to,
Brak mi powozów i bezczynnéj zgrai
Waszych kucharzów, szwajcarów, lokai;
Nawet w przypadku musiałbym, niestety!
Sam wizytowe roznosić bilety.
Gdybym do siebie ład wprowadził taki,
To rękawiczki, krawaty i fraki
W rok o bankructwo przyprawić mnie mogą.
A gdzie tu korzyść proszę i dla kogo?

Jerzy.

Wybacz, mój drogi Rudolfie, lecz myślę,
Że trochę nadto rzeczy bierzesz ściśle.
Dom na tę stopę raz tylko zaprowadź...

Rudolf.

Widzisz, mój drogi, nie zwykłeś rachować;
Lecz ci, co mają dochodzik zbyt szczupły,
Winni zaciskać od woreczka supły.
Jestem ubogi, a więc pieniądz cenię
I żyćbym nie chciał nad stan mój i mienie.

Najsroższa nędza według mego zdania
Jest ta, co modnym frakiem się zasłania.

Jerzy.

Byleś się na świat za bardzo nie zaciął
I nie chciał stronić od dobrych przyjaciół.

I-szy przyjaciel (ściskając za rękę Jerzego).

Więc do widzenia.

(Inni kłaniają się i wychodzą.)

Jerzy.

Żegnam was.

2-gi przyjaciel (odwracając się przy drzwiach).

W niedzielę.

SCENA III.

Jerzy, Rudolf.

(Wchodzi służący, przynosząc ogromną ilość listów, albumów i biletów wizytowych, kładzie je na stół z prawéj strony sceny; część ich upada na ziemię.)

Służący.

Listy do pana.

(Wychodzi.)

Rudolf.

Dyable ich jest wiele.

(Jerzy siada i czyta listy:)

„Szanowny panie! Przypominając panu łaskawą jego obietnicę, posyłam mu album, w którém znajdziesz pan rysunki Decamps'a, Delacroix i Meissonier'a. Jak pan widzisz, towarzystwo wcale nieźle dobrane, brak mi tylko było pańskiego nazwiska..."

Rudolf.

Śmieje się z ciebie.

(Jerzy patrzy się na niego z podziwieniem.)

Rudolf.

Tak, mówię ci szczerze:
Wszakże znasz bajkę o kruku i serze?
Malujesz jako tako; ależ przecię
W nazbyt wysokim stawił cię komplecie.
List ten nikomu sławy nie przysporzy,
Im nie pochlebia, tobie... jeszcze gorzéj.

Jerzy.

Ty nie pochlebisz już pewnie nikomu.

(Czyta daléj:)

„Szanowny panie! Bawimy obecnie na wsi; byłoby nam nader przyjemnie, gdybyś pan parę dni zechciał nam poświęcić..."

„Pan i pani — upraszają pana Jerzego o zrobienie im zaszczytu i przybycie do nich w piątek wieczorem..."

„Pan i pani — proszą pana Jerzego o zaszczycenie swoją obecnością małego familijnego obiadku..."

„Pan i pani — upraszają pana Jerzego..."

Rudolf.

Chcą stropić zięcia!.. widno panny w domu.

Jerzy.

Wcale mi jeszcze nie pilno w téj mierze.

Rudolf.

Kto może wybrać, niech dobrze wybierze...
Do któréjkolwiek serce ci zatętni,
Każda za ciebie pójdzie jak najchętniéj.
Oj wy bogacze szczęśliwi jesteście!
Możesz żyć wszędzie, czy na wsi, czy w mieście,
A gdy ambicya w górę pchać cię będzie,
Otwarta tobie karyera w urzędzie.
Lecz choć to rzadko zdarza się na świecie,
Los choć tym razem dobrze trafił przecię.

Jerzy.

Mój Boże! z tego nie szukam zasługi,
Bo takich jak ja szereg bardzo długi:
Poszukaj tylko, a znajdziesz ich tłumem!
Poczciwych, dobrych, z sercem i rozumem,
Każdy z nich pełen i cnót i przymiotów,
Dla przyjaciela poświęcić się gotów...

Rudolf.

Ho, ho!

Jerzy.

Niech sobie zawiść co chce mówi,
Nie tak znów źli są ci ludzie światowi.
Tylko w romansach stawiać jest wygodnie
Cnotę ubogą i bogatą zbrodnię.

(Podnosi się z krzesła i idzie do Rudolfa)

Powodem nędzy, na którą wyrzeka,
Najczęściéj własna jest wina człowieka.
Tylko chcieć w ducha zrachować pokorze...

(Wchodzi służący.)

Cóż to?

Służący (oddając bilet wizytowy).

Ten pan się pyta, czy wejść może?

Jerzy (przeczytawszy bilet).

Rajmund.

(Do służącego:)

Nie ma mnie.

Rudolf.

No, no, w łasce twojéj
Nie bardzo dobrze widać Rajmund stoi.

Jerzy.

Nędznik... niby to w praw obronie stawa,
A w pismach swoich wymyśla na prawa.

Rudolf.

Czy tak? nieborak jakże upadł nizko!

Jerzy.

Co? nie potępiasz tego?

Rudolf.

Biedaczysko
Ma żonę, dzieci, nie można go winić.

Jerzy.

On go żałuje!

Rudolf.

No i cóż miał czynić?
Gdzie to potrzeba człowieka zawiedzie?
A zdolny. Musiał w wielkiéj być już biedzie.

Jerzy.

Rajmund tém bardziéj zbłądził, im zdolniejszy;
A winy jego potrzeba nie zmniejszy.

Rudolf.

Bratku, wielkiego trzeba hartu duszy,
By wytrwać kiedy głód wnętrzności suszy.
Kiedy pokusa puka w serce zdradnie,
Silny się chwieje, a słaby upadnie.

Jerzy.

Jak to, tłómaczysz czyn takiéj osnowy?
Ty tak w prawidłach honoru surowy,

Ty, coś żyjącym wzorem stanąć gotów,
Że człowiek z sercem drwi z Fortuny grotów.

Rudolf.

Nie mówmy o mnie; ale mojém zdaniem
Ubogich sądzić trzeba z pobłażaniem;
I jeśli w walce siły ich odbiegą,
Ganiąc upadek, wspomódz upadłego.

Jerzy.

Choćby do nędzy nieszczęścia przywiodły,
To zawsze hańba czyn piętnuje podły.
Im bardziéj życiem los przeciwny miota,
Tém większa w stałém wytrwaniu jest cnota.

Rudolf.

Łatwo to mówić, zdanie godne chluby,
Ale podobnéj nie życzę ci próby.

Jerzy.

Zniósłbym z odwagą dopuszczenie Boże.

Rudolf.

Chcę temu wierzyć i być bardzo może.
Ale czy takich mógłbyś znaleźć wielu,
Co myśleć będą jak ty przyjacielu,
Lub coby czynem poparli tę mowę,
Gdy los potrzeby ujmie im zbytkowe?
Łacno wskazywać drogę dla nędzarza,
I być wytrwałym, gdy nic nie zagraża,

Gdy szczęście życia raz ująwszy wodze,
Ciągle po gładkiéj prowadzi nas drodze.
Choć podłych zysków kto wówczas nie szuka,
Tak być uczciwym to niewielka sztuka,
I tego w głupców stawię chyba rzędzie,
Który inaczéj postępować będzie.
Wierzaj mi, w walce światowych szermierzy
Wszystko od trafu ślepego zależy.
Ten, którym miejskie chlubią się salony,
Zgniłby w więzieniu w nędzy urodzony;
A iluż takich więzienie znów żywi,
Którzy w bogactwach byliby poczciwi!
Bo koło, które szczęście dla nas kréśli
Na nasze nawet oddziaływa myśli.

Jerzy.

Toż chyba nie ma już poczciwych wcale?

Rudolf.

I owszem, chociaż nikt nie jest bez ale,
Jednakże znajdziesz takich w świecie wielu
Co pewnym krokiem zdążają do celu;
Nic ich z prawego nie sprowadzi toru,
Zaszczytów kosztem nie kupcząc honoru,
Ufni w głos prawdy, co w ich sercu woła,
Pokusom nędzy śmiało stawią czoła;
Ale nim kogo w tym poczcie umieszczę,
Zapytam, czy się czém nie splamił jeszcze?
I czy poświęceń szereg licząc długi,
Cześć w świecie kosztem okupił zasługi?

Chcesz, to ci zdanie me usprawiedliwię,
Wszak jesteś człowiek prawy niewątpliwie?

Jerzy.

Ja?

Rudolf.

Każda podłość pewno ci obrzydła,
Święte honoru wyznajesz prawidła,
A czynem z mową postępując zgodnie,
Wynosisz cnotę, a potępiasz zbrodnię.
Słowem z najlepszéj strony znam twe życie,
A nie ufałbym tobie całkowicie.

Jerzy.

Co?

Rudolf.

Tak mój drogi, pochlebiać nie lubię;
Czyżem cię widział w jakiéj ciężkiéj próbie?
Czyż siły życia w pracy trawiąc marnie,
Znosiłeś głodu i zimna męczarnie?
Czyliż ci kiedy w noc ciemną i głuchą
Rozpaczy słowa szatan szeptał w ucho?
Czyż zwątpiałemu w miłosierdziu Bożém
Duch pokus, stając ponad twardém łożem,
Wskazał ci szczęście, co się w zbytek stroi,
I wydarł klątwę z głębi duszy twojéj?
O! w téj rozpaczy i żądzy godzinie
Szybko trucizna w sercu się rozpłynie,

A kto z prób takich wyjść potrafi z chwałą,
Tego ja prawym nazwać mogę śmiało.
Nigdy świat wierzyć nie powinien w męztwo,
Które bez walki odnosi zwycięztwo;
A tylko wówczas ono się uzacnia,
Gdy walka wznosi a nieszczęście wzmacnia.

Jerzy.

To też téj walki całą pragnę duszą,
Bo w niéj me siły pokrzepić się muszą.

Rudolf.

O! nie chciéj na się kary ściągać Boga,
Gdy ci usłana kwieciem życia droga.

Jerzy.

Otóż na przekór chciałbym jak najprędzéj
Być przywiedzionym do ostatniéj nędzy.

Rudolf.

Wychylaj lepiéj czarę szczęścia do dna,
Bo to pewniejsza dola i wygodna.

Jerzy.

Korzystam z bogactw, ale gardzę złotem.

Rudolf.

Kto je utracił, ten je ceni potém.

Jerzy.

Więc podług ciebie brak mi hartu duszy
I najdrobniejsza przeciwność mnie skruszy?...

Rudolf.

Może z początku zniósłbyś to wytrwale,
Lecz kiedyś przyjdą rozwaga i żale.

Jerzy.

To duma we mnie nowe siły wzbudzi.

Rudolf.

Ho ho!...

Jerzy.

A wzmocni szacunek u ludzi.

Rudolf.

O! ten szacunek zyskują bogaci:
Ma go zwycięzca, zwyciężony traci.
Niechaj ktoś złamie słowo swoje zdradnie,
Niech łatwowiernym ich dobytek skradnie,
Niech umiejętnie władając cyframi,
Frymarczy wiarą i świat głupi mami,
I wzbogacony spogląda bez żalu
Jak oszukani gniją gdzieś w szpitalu;
Niech inny z każdym wiatrem, co powieje,
Zmienia swe chęci, wyznanie, nadzieje,

I pod obłudy ukrywszy się togę,
Podłością sobie utoruje drogę:
Gdy jest bogatym, gdy obiady daje,
Będzie miał chwalców na usługi zgraję,
W koło go sami pochlebcy ogarną,
Prawdę obmową przezywając czarną.
„Tych, co ukryci pod mierności miedzą,
Razi blask jego,” tak wszyscy powiedzą.
Bo występując w honorowéj roli,
On może pomódz lub szkodzić do woli:
Gani występek, z honorem się brata,
I rzuca gromy na zepsucie świata...
— Nie wzruszaj na mnie ramion przyjacielu!
Znam wielu takich i ty znasz ich wielu,
A gdy się czasem spotkacie w salonie
Z zwykłą grzecznością uściśniesz im dłonie.
A człek niezdolny do tego rzemiosła,
Co chce, by z zasług wziętość jego wzrosła,
Co honor sobie przybrawszy za godło,
Nędzę przenosi nad chęć zysków podłą,—
Chwilę go cenią, a gdy chwila minie,
Już zapomnieli o szlachetnym czynie.
Co po nim? każdy uchyli się zgrabnie!...
O niechaj wówczas nędzarz nie osłabnie,
Bo głos publiczny wtedy nie umilka:
„Po coś baranku mącił wodę wilka?”
Dobra ogółu wziąwszy na się straże!
Każdy drzwi domu ubogiemu wskaże.

Jerzy.

Więc podług ciebie świat się nurza w błocie?

Rudolf.

Ja wszystko widzę, tak jak jest w istocie.
Ten, co obleka ludzkość barwą jasną,
Jakąż ma korzyść? ni cudzą, ni własną.
A frazy świata zbyt utartych przysłów
Nie mogą przystać dla silnych umysłów.
Gdy głupia książka świat zawodząc Boży,
Fikcyjne życie dla dzieci utworzy,
Ci, co z niéj prawdy chcą czerpać żywota,
Sądzą, iż w świecie nagrodzona cnota;
A gdy nadejdzie raz rozczarowanie,
Z oszukanymi cóż się wówczas stanie?
Wszystko obłudą sądzić będą zdradną,
I nie uwierzą już w poczciwość żadną.
Innéj nauki moralność wymaga:
W świadomych trudu niech rośnie odwaga,
Niech przystępując z wiedzą do wyboru,
Znają, że trudną jest droga honoru,
Że tych, co ku niéj prawe chęci wiodą,
Własne sumienie jest tylko nagrodą...
No, oto wszedłem w kazanie z narowu.
Dobranoc. Kiedyż zobaczym się znowu?

Jerzy.

Za sześć miesięcy.

Rudolf.

No, no!

Jerzy.

Podróżować
Kazał mi doktor.

Rudolf.

Czy tak? Bóg cię prowadź.
A gdzie?

Jerzy.

Do Baden, do Florencyi może...

Rudolf.

Ha! przewyborna rada, szczęść ci Boże!
Jedź zdrów, a wracaj prędko.

Jerzy (odprowadzając go).

Za powrotem
Może się jeszcze rozgadamy o tém.

Rudolf.

Z chęcią.

Jerzy.

Mógłbym ci odpowiedzieć wiele.

Rudolf.

No, no, zobaczym.

Jerzy.

I rzec mogę śmiele,
Że cię przekonam.

Rudolf.

Przyznałbym to zgodnie.

Jerzy.

Ja ci jak słońce jasno udowodnię,
Że ludzie tak być ślepymi nie mogą,
I że zasługę szanują ubogą.

Rudolf.

Chciałbym...

Jerzy.

Że wziąwszy pod rachubę ścisłą,
Od nas wyłącznie wszystko tu zawisło.

Rudolf.

Ha!

Jerzy.

I że wiek nasz nie jest zły tak bardzo...
(Zatrzymując go:)
Że cnotę wielbią a występkiem gardzą.
Bo Bóg każdemu stworzeniu swojemu
Wlał w serce jakiś pociąg ku dobremu:
Boć cóż jest miłość, chwała, albo sztuka?
Każdy ich chętniéj niźli złota szuka;
A piękność, owa pani nad wszystkiemi,
Sama przez siebie króluje na ziemi.

Rudolf.

Dobrze posażna brzydota zwycięża,
A trudno biednéj piękności o męża.

Jerzy.

Jednak...

Rudolf.

Żegnam cię.

Jerzy.

Ależ tylko byle...

Rudolf.

Bądź zdrów.

Jerzy.

Lecz zaraz! posłuchaj mnie chwilę.

Rudolf.

Mam pilną schadzkę, muszę iść czémprędzéj.

Jerzy.

No, to idź.

Rudolf.

Bądź zdrów.

(Zatrzymując się na progu drzwi:)

A pilnuj pieniędzy.

A K T II.

(Sala audyencyonalna u Notaryusza; w głębi drzwi otwarte, do przedpokoju prowadzące. Po prawéj stronie dwoje drzwi, z których jedne prowadzą do kancellaryi, drugie do gabinetu Notaryusza.)

SCENA I.

Notaryusz, Dependent.

(Notaryusz wszedł dopiero co i odpieczętowywa papiery leżące na stoliku. Wchodzi Dependent drzwiami z kancellaryi.)

Notaryusz.

Co to?

Dependent.

Tam dwóch już czeka wierzycieli.

Notaryusz.

Dwóch tylko? mogą poczekać najśmieléj;
Wkrótce zapewne nadejdzie ich sporo:
Dasz mi znać, jak się wszyscy już tam zbiorą.

(Dependent wychodzi. Słychać dzwonek. Notaryusz wychodzi przez drzwi wchodowe i powraca za chwilę, prowadząc pana Mercier'a i dwie jego córki.)

SCENA II.

Notaryusz, p. Mercier, Laura, Łucya (córki pana Mercier'a).

P. Mercier (wchodząc do sali posłuchalnéj).

Tak, tak, chcę wiedzieć jak rzecz cała stoi...
(Pokazując na córki:)
I gości córce przyprowadzam twojéj.
Niech dzieci sobie prowadzą gawędę,
Podczas gdy z panem naradzać się będę.

Notaryusz.

Jak na nieszczęście, wyszła gdzieś Amelka;
Będzie żałować, szkoda, szkoda wielka!
(Do p. Mercier'a:)
Chwileczkę.
(Do Laury i Łucyi, wskazując na drzwi salonu:)
Panie zechcą przejść łaskawie...

P. Mercier

(biorąc Notaryusza pod rękę i prowadząc go do gabinetu).

Niech tu czekają, niedługo zabawię.

SCENA III.

Laura, Łucya.

Łucya.

No, no, no! jestem uniżoną sługą:

Już ja wiem jakie to ojca „niedługo."
Po cośmy przyszły?

Laura (siadając przy stole).

Ojciec chciał koniecznie.

Łucya.

Ty się na wszystko musisz zgadzać wiecznie.
Co za wyborna będzie z ciebie żona!
(Słodziuchnym głosem, naśladując siostrę:)
Bądź wola Twoja, Panie, pochwalona.

Laura.

Cóż chcesz? nie lubię sprzeczać się daremnie,
Bo nie ma ducha sprzeciwieństwa we mnie.

Łucya.

Niewielka jednak téj dobroci władza,
Gdy ci złośliwie odciąć nie przeszkadza.
(Po namyśle:)
Bo też ci czasem przymówię zbyt ostro...
No, moja wina, nie gniewaj się siostro.
(Siada obok Łucyi.)

Laura

(przeglądając dzienniki rozrzucone na stole i pokazując je siostrze).

Ot, zabaw lepiéj się literaturą.
Masz tu kalendarz, kodeks z procedurą...

Łucya.

Dziękuję, znam ja dla niektórych osób
Na nudy jeszcze skuteczniejszy sposób.

Laura.

No i jakiż to?

Łucya.

Był sobie przed laty
Jeden pan możny, piękny i bogaty...

Laura.

To nie zabawne.

Łucya.

Umiem innych kilka;
Co chcesz? Kopciuszka? Żelaznego wilka?
Nie... zaraz... czekaj... W Baden pijał wody...

Laura.

Pan Jerzy.

Łucya.

A tak... to ten człowiek młody
Zwie się pan Jerzy?

(Zliżając krzesło do siostry:)

A więc ten pan Jerzy...
Pomówmy o nim...

Laura (zbliżając się także).

Nic mi nie zależy
Na tém.

Łucya.

Rzecz dziwna, sama przyznaj szczerze,
Że nas spotykał ciągle na spacerze.

Laura.

No i cóż z tego?

Łucya.

A za każdym razem
Kłaniał się nizko z tak grzecznym wyrazem!

Laura.

I cóż dziwnego?

Łucya.

A zawsze gotowy
Ojcu naszemu służyć do rozmowy,
I czy z umysłu, czy też z przekonania,
Jednego zawsze z nim być musiał zdania.

Laura.

A więc chcesz chyba, by grał inną rolę,
Żeby do sprzeczki znaleźć sobie pole?

Łucya.

Co? ja? nic nie chcę — nadto jesteś żywa;
A czemuż teraz codzień u nas bywa?

Laura.

Proszę też ciebie, co to szkodzi komu?

Łucya.

A naturalnie: są dwie panny w domu,
I codzień do nich kawaler przychodzi,
By o pogodzie mówić... co to szkodzi?

Laura.

Bo znowu bierzesz rzeczy zbyt głęboko.

Łucya (powstając).

No, nie rumień się... patrz mi oko w oko.

Laura.

Tak rumienię się, bo ty musisz wiecznie
Siostrze się twojéj sprzeciwiać koniecznie.
Czy moja wina, że on u nas bywa?

Łucya.

Gniewasz się widzę?

Laura.

Tak, bo to już gniéwa.

Łucya.

A widzisz, chcesz się wypierać daremno.

Laura.

On więcéj z tobą rozmawia niż ze mną.

Łucya.

Tak, zwykle milczy w obecności twojéj,
Bo rzecz widoczna, iż się ciebie boi.

Laura.

Bo ja go nudzę.

Łucya.

A gdy mu się zdarzy
Pomówić z tobą, to na jego twarzy
Tyle jest szczęścia...

Laura.

Przywidzenie! ja go
Wiecznie tym samym widzę.

Łucya.

A z uwagą
Kiedy się oczy w to wpatrują cudze,
To widzą...

Laura.

Co? co?

Łucya.

E, kiedy cię nudzę.

Laura.

No, mów.

Łucya.

To sensu nie ma za trzy grosze.

Laura.

Mówże.

Łucya.

Ktoś idzie!..

Laura.

Mów siostrzyczko, proszę.

Łucya.

Widzę to dobrze, kiedy ciebie nié ma,
Jakiś niepokój za serce go trzyma;
Nieraz uważam, gdy z nim sama jestem,
Że się ogląda za lada szelestem;
Kiedy w nadziei omylony swojéj
To dziwnie smutną zaraz twarz nastroi;
A gdy się spełnią już jego nadzieje,
Cała twarz jego szczęściem promienieje.

Laura.

Tobie się kłania.

Łucya.

Tak, ale nawiasem
Ciągle na ciebie spogląda tymczasem.

Laura.

I na spacerze zawsze przy twym boku.

Łucya.

Za tobą zwalnia lub przyśpiesza kroku.

Laura.

Przy tobie tylko siadać zawsze lubi.

Łucya.

Tak, on mnie kocha, a ciebie zaślubi.

Laura.

Tak sądzisz?

Łucya.

Pewna jestem.

Laura.

Być nie może!
Zwodzisz mnie.

Łucya.

Nie, nie, chcesz, to się założę.

Laura.

I jam myślała tak.

Łucya.

A co za zdrada!

Laura.

Ale nie śmiałam wierzyć.

Łucya.

Tak się gada.

Laura (bierze Łucyę za rękę).

Droga siostrzyczko!

Łucya (udając, że się chce oddalić).

A, wróciłaś do mnie!

Jestem zła.

Laura.

Nie, nie.

Łucya.

Jestem zła ogromnie.

Laura.

Nie: pocałuj mnie.

Łucya.

Widzisz, masz wet za wet.

(Całując ją:)

Mnie więcéj cieszy to, niż ciebie nawet.

Laura.

Wszakże to człowiek zupełnie do rzeczy?

Łucya.

Tak.

Laura.

Bardzo miły w obejściu.

Łucya.

Któż przeczy?

Zupełnie.

Laura.

Bardzo przyjemny w rozmowie,
I nigdy słówka za nadto nie powie.

Łucya.

Zapewne.

Laura.

Rozum w spojrzeniu mu świta,
I jakaś dobroć na twarzy wyryta.

Łucya.

Tak, tak.

Laura.

I widać, że czuć umie żywo,
I że z nim żona może być szczęśliwą.

Łucya.

Tak, tak, oboje będziecie szczęśliwi.

Laura.

Lecz czy się temu ojciec nie sprzeciwi?

Łucya.

I dla czegożby? Pan Jerzy bogaty,
Ma wielkie dobra i liczne intraty;
Widzisz, tém nigdy rodzice nie gardzą,
A ojciec dobrze przyjmuje go bardzo.

Laura.

Dla mnie jest prawem każde ojca słowo,
Posłuszną będę mu bezwarunkowo,
I choćby w ciężkiéj postawił mię probie,
Przytłumić miłość umiałabym w sobie.

Łucya.

Widzę, że jesteś posłuszeństwa wzorem,
Ale ja twoim nie poszłabym torem.

Laura.

Jakto?

Łucya.

Też same dzieliłabym losy,
Leczbym krzyczała za to w niebogłosy.
(Biorąc Laurę za rękę:)
No, wkrótce Jerzy twym mężem zostanie.
(Kłaniając jéj się ceremonialnie:)
Racz pani przyjąć me powinszowanie;
Tak, pani, muszę wyrażać się grzecznie,
Trzeba stan nowy szanować koniecznie.
(Żywo rzucając się jéj na szyję:)
A na weselu tańczymy do rana!

Laura.

Cicho bądź! ojciec...

(Laura i Łucya oddalają się na lewo sceny, i siadają na krzesłach.)

SCENA IV.

Ciż sami, P. Mercier, Notaryusz.

P. Mercier

(wychodząc z gabinetu z Notaryuszem, zatrzymuje się przez chwilę we drzwiach na prawo).

Więc rzecz obgadana,
Że choć stracona ojca scheda cała,
Przynajmniéj matki spuścizna została.

Notaryusz.

Dziesięć tysięcy talarów dochodu.

P. Mercier.

No... i z tém dobrze zacząć jest za młodu.
Zawsze to ładną stanowi rezerwę,
To też dla tego małżeństwa nie zerwę,
Bo zawsze więcéj, niźli wielkie mienie,
Honor i prawość charakteru cenię.

Notaryusz.

Słusznie.

P. Mercier.

Wychodząc z téj zasady wątku,
Wcale niezłego doszedłem majątku;
Toż honor u mnie nie mierzy się piędzią;
Dwa razy byłem już obrany sędzią.

Notaryusz.

Bardzo zaszczytnie.

P. Mercier.

Legia moja cała
Szefem mię zgodnie zanominowała,
I rząd nasz zaszczyt przysparzając nowy,
Nadał mi order Legii honorowéj.

Notaryusz.

Zasłudze pan to przypisywać może.

P. Mercier.

Jestem też w zięcia niełatwy wyborze,
I chociaż byłby pozór do zerwania,
Prawość mię jego do przyjęcia skłania.

Notaryusz.

Dobra w tym względzie przezorność ostrożna,
Lecz pan wybrałeś najlepiéj jak można.

P. Mercier.

No, tak.

(Pokazując córki:)

Nie mówmy przed pannami o tém.

(Do córek:)

Pójdźmy.

(Do Notaryusza:)

Niedługo będę tu z powrotem,
I o téj sprawie pomówimy daléj.
Więc za godzinę.

Notaryusz.

Będziemy czekali.

SCENA V.

Ciż sami, Jerzy.

Łucya.

Pan Jerzy!

Jerzy (kłania się zdziwiony).

Pani?

Łucya (kłaniając się z uśmiechem).

A my...

Jerzy.

Bo się dziwię...

Łucya.

Mamy procesa.

Jerzy.

Ale bo prawdziwie...

P. Mercier (do Jerzego).

No, jakeśmy się razem zeszli prawie!

Jerzy (pokazując na Notaryusza).

Miałem się radzić w ważnéj bardzo sprawie...

P. Mercier.

I owszem, zawsze radzić się należy.

(Podając mu rękę:)

No, do widzenia.

Łucya (wychodząc).

Bądź zdrów, panie Jerzy!

SCENA VI.

Jerzy, Notaryusz.

(Notaryusz przysuwa dwa fotele, daje znak Jerzemu, żeby usiadł, i sam siada.)

Jerzy (siadając).

Stawiam się tutaj na pańskie wezwanie.

Notaryusz.

Do ukończenia aktu, drogi panie,
Chciałem, byś sam tu stawił się łaskawie;
Wszak wszystko panu wiadome w téj sprawie?

Jerzy.

Nic a nic nie wiem.

Notaryusz.

A to wielka szkoda!
Wszakże to pański jest interes.

Jerzy.

Zgoda;
Lecz w tém zupełnie tobie ufam panie.

Notaryusz.

Lecz...

Jerzy.

Śmierć mię ojca zaszła niespodzianie,

Nie byłem w kraju, a więc za powrotem
Tu się dopiero dowiedziałem o tém.

Notaryusz.

Szkoda go wielka, był to człowiek prawy.

Jerzy.

A co się tycze téj spadkowéj sprawy,
Jest to zajęciem dla syna niemiłém,
Więc wszystko pańskiéj opiece zleciłem;
Gdy jednak mego wdania trzeba będzie,
Zechcesz mię pan tu objaśnić w tym względzie.

Notaryusz.

Smutny stan rzeczy przed panem wyłożę;
Przygotowany pan już na to może?
(Jerzy kiwa głową.)
Choć pański ojciec bardzo był bogaty,
W ostatnich czasach znaczne poniósł straty;
Ciężkie to były chwile dla bankierów:
Skutkiem zaburzeń, upadku papierów
Ujrzał się w każdéj zmylonym nadziei,
Stracił na akcyach żelaznéj kolei,
W graniu na rencie jeszcze nieszczęśliwszy,
Odumarł, panu w spadku zostawiwszy
Wierzytelności do upadłych banków,
I długu sześćkroć sto tysięcy franków.

Jerzy.

Czy ten dług słuszny?

Notaryusz.

Tak, co do litery...
Rozpoznawałem sam wszystkie papiery,
I mogę panu za to ręczyć śmiele;
Wkrótce tu pewno zejdą wierzyciele.

Jerzy.

A dobrze.

Notaryusz.

Według tego rzeczy stanu,
Dowolny jeszcze wybór służy panu,
Możesz odmówić lub przyjąć.

Jerzy.

Jeżeli
Odmówię?

Notaryusz.

Wówczas to ich, co już wzięli,
A prawa schedy pańskiéj matki strzegą.

Jerzy.

A któż zapłaci długi ojca mego?

Notaryusz.

Nikt.

Jerzy.

Więc, że w dobréj pożyczali wierze,
Żaden z nich za to solda nie odbierze?

Notaryusz.

Niech kto pożycza, dobrze najprzód zbada:
Wyraźna prawa w tym względzie zasada.

Jerzy.

Prawo pozwala, by przez chciwość nizką
Syn zhańbił ojca bezkarnie nazwisko?

Notaryusz.

Cóż na to czynić?

Jerzy.

A więc takie prawo
Podług mnie stronną i złą jest ustawą.

Notaryusz.

Możesz pan przyjąć, choć to rzecz nielada,
Bo na dziedzica cały ciężar spada;
Likwidacyjne te bowiem wydatki
Zatopią w sobie schedę pańskiéj matki.
Takie następstwo nigdy nie jest miłém,
Rozmyśl pan dobrze.

Jerzy.

Już się rozmyśliłem:
Przyjmuję.

Notaryusz.

Brawo, to bardzo wspaniale,
Ja sam szlachetny ten uczynek chwalę;

Lecz zważ pan, zanim tą się puścisz drogą,
Jak ważne skutki ztąd wyniknąć mogą?
Jakiéj stałości ten zamiar wymaga?
I cóż się panu zostanie?

Jerzy.

Odwaga.

Notaryusz.

Bardzo to pięknie; lecz za to z majątku
Nie uratujem najmniejszego szczątku.

Jerzy.

Praca w tym nowym pocieszy mię bycie,
I pendzlem będę zarabiał na życie.

Notaryusz.

Zaprzeczać panu talentu nie mogę,
Lecz trudno sobie utorować drogę.
Znajdziesz pan mnóztwo zawistnych rywali,
Co będą panu w przeszkodzie stawali;
Bo zbyt jest ciężko odznaczyć się teraz;
Najlepsze dzieło niepoznane nieraz:
Proudhon, Géricault żyli zapomnieni,
A świat dopiero po śmierci ich ceni.
Teraz się pana zapytać ośmielę,
Takich jak oni, czy pan znajdziesz wiele?
Więc gdy tych ludzi w pierwszym rzędzie mieszczę,
Jeżeli niżéj zechcemy zejść jeszcze,

Jakaż się przyszłość przed nami odkrywa?
Srogie ubóztwo i nędza straszliwa.
Z dziecka do zbytku kto przyzwyczajony,
Przeciw ubóztwu będzie bez obrony;
Srożéj mu będą te ciosy ciężyły,
Niż tym, co w walce wzmogli swoje siły.

Jerzy.

Wiem jaka słaba jest natura nasza,
Ale mnie praca wcale nie zastrasza;
Nieczułym ludziom skarg próżnych oszczędzę
I będę umiał odważnie znieść nędzę.

Notaryusz.

Ufam, że czynem pan poprzesz tę mowę,
Lecz wkrótce w związki masz pan wstąpić nowe,
A ta, do któréj uczucia cię wiodą,
Wiem, że jest piękną, bogatą i młodą;
Ale o ile ojca jéj zbadałem...

Jerzy.

Ja pannę Laurę sercem kocham całém,
Ona méj duszy samowładna pani,
I chciałbym życie me poświęcić dla niéj.
Niech mi los cięży ręką skamieniałą,
Byle mi się to marzenie zostało,
W niéj czerpiąc siły do walki z potrzebą,
Na klęczkach będę błogosławił Niebo.

Notaryusz.

Zapewne, wierzę wszystkiemu najszczerzéj;
Ale jéj ręka nie od niéj zależy.
Wszakże ma ojca, a ten znów jak sądzę,
Mniéj ceni miłość, a więcéj pieniądze.
I ten czyn, chociaż honor doń się skłania,
Bardzo być może powodem zerwania.

Jerzy.

Jakto! żem nie chciał zejść z prawego toru,
I żem poświęcił mienie dla honoru?

Notaryusz.

Ha!

Jerzy.

A więc córkę dałby mi za żonę,
Gdybym jéj imię przynosił skażone?

Notaryusz.

Taki postępek jest rzeczą powszednią.

Jerzy.

A jakiém czołem śmiałbym stanąć przed nią?
Jakże to serce oszukawszy młode,
Znieśćbym potrafił oczu jéj pogodę?
Skalawszy imię i złamawszy wiarę,
Jakążbym miłość poniósł jéj w ofiarę?
O! wolę losy wyzywając twarde,
Stracić ją raczéj, niż ponieść jéj wzgardę.

Notaryusz.

Lecz jakąż znieść pan będziesz musiał mękę,
Kiedy innemu odda swoją rękę!

Jerzy.

Innemu?...

Notaryusz.

Tak się stać musi koniecznie,
Wszakże nie może panną zostać wiecznie.

Jerzy.

Na głos miłości nie będzie tak głucha.

Notaryusz.

Ojciec rozkaże, a ona posłucha.

Jerzy.

O! co pan mówisz?

Notaryusz.

To, co jest w istocie.

Jerzy.

Nie, ja pamięci ojca mego w błocie
Nie skalam.

Notaryusz.

Więc to już ostatnie słowo?

Jerzy.

Tak.

Notaryusz (zbliżając się do niego i biorąc go za rękę).

Postąpiłeś, panie, honorowo.
Musiałem przepaść wskazać ci otwartą,
Lecz dla honoru poświęcić się warto.
Jakiebądź twoje przeznaczenie będzie,
Z wzniesioném czołem śmiało pójdziesz wszędzie:
Bo ten nikczemny, który nie poświęci
Majątku swego dla ojca pamięci.

(Wchodzi dependent.)

Dependent.

Tam są już wszyscy.

Notaryusz.

Niech tutaj łaskawie
Zechcą poczekać, za chwilę się stawię.

(Dependent wychodzi.)

(Do Jerzego:)

Pójdź pan, zanim się wypłata rozpocznie,
Musisz pan sprawdzić wszystko własnoocznie.

(Prowadzi Jerzego do swego gabinetu.)

SCENA VII.

Wierzyciele wprowadzeni przez dependenta. Pomiędzy nimi jakiś **Stary jegomość** ubrany podług dawnéj mody, i **Stara panna**, którą on prowadzi do fotelu, i siada przy niéj.

I-szy wierzyciel.

Te pięć tysięcy już w deficyt mieszczę.

2-gi wierzyciel.

A ja pięćdziesiąt.

I-szy wierzyciel.

I procenta jeszcze.

2-gi wierzyciel.

Tyle pieniędzy!

I-szy wierzyciel (zimno).

To sumka! (Żywiéj:) Mój Boże!
Jak to się łatwo człowiek zawieść może!

2-gi wierzyciel.

A tu pewności zdawały się wszelkie.

I-szy wierzyciel.

Ba, żył jak książę.

2-gi wierzyciel.

Co za dobra wielkie!!

3-ci wierzyciel.

To łapka na nas.

2-gi wierzyciel.

Tak, oszust wyraźnie:
Nie masz pieniędzy, nie pożyczaj błaźnie.

3-ci wierzyciel.

Czy syn nas spłaci?

2-gi wierzyciel.

Nie troszczę się o to:
Piękna rzecz honor, ale lepsze złoto.

4-ty wierzyciel.

To smutno, panie.

3-ci wierzyciel.

Oj źle, źle na świecie.

Stary jegomość (siedząc).

To postępowi zawdzięczamy przecię,
Każdy się tylko egoizmu trzyma,
Nie ma honoru i wiary już nié ma,
Dawny obyczaj zachowanie traci.
— Dlatego teraz nikt długów nie płaci.

Kilku razem.

Pójdziem do prawa.

Stara panna (siedząc przy starym jegomości).

Nudziarze nieznośni!

Stary jegomość.

Hę? głuchy jestem, proszę mówić głośniéj.

Stara panna (głośno).

Mówię, że oni nieznośni nudziarze:
Ja więcéj tracę, a nic się nie skarżę.

Stary jegomość.

Ileż? przepraszam za mój stary narów
Ciekawości.

Stara panna.

Sto tysięcy talarów.

Stary jegomość.

Ba!

Stara panna.

Cały posag mój.

Stary jegomość.

Co?

Stara panna.

Dziwi pana?

Stary jegomość.

E, nie.

Stara panna.

Sądzisz, że w stanie moim zmiana
Zajść już nie może.

Stary jegomość.

Nie, lecz tylko myślę...

Stara panna.

Mam lat czterdzieści, obliczywszy ściśle,
I dotąd jeszcze o małżeństwie marzę.
Powiesz pan, żem się spóźniła w zamiarze?
Ot nieszczęśliwe we wszystkiém kobiety,
To posag, nie ja, spóźnił się niestety!
Byłam dość ładną za młodości mojéj,
Lecz młodzież, która o pieniądze stoi,
Nie zwykła wdzięków na małżonkę cenić;
Każdy się kochał, a nikt nie chciał żenić
I kiedy posag wsparł mój wdzięk niewieści,
Miałam już latek niestety! czterdzieści.

Stary jegomość.

Piękny wiek!

Stara panna.

O, tak!

Stary jegomość.

Lecz talarki owe?

Stara panna.

A tak, ponęty przydały mi nowe;

Lecz teraz znowu fatalność zwycięża,
I chyba nigdy nie dostanę męża.

Stary jegomość.

Gdybym miał teraz lat pięćdziesiąt, pani,
Serce i rękę złożyłbym ci w dani.

SCENA VIII.

Ciż sami, Jerzy, Notaryusz.

Notaryusz (wskazując na Jerzego).

Oto jest dziedzic przed wami, panowie,
I on wam tutaj swój zamiar wypowie.

I-szy wierzyciel.

Cicho!

2-gi wierzyciel.

Słuchajmy!

Jerzy.

Przyjmuję.

Wszyscy wierzyciele (razem).

A, brawo!

Jerzy.

Kto tylko z panów udowodni prawo,

Zechce swój weksel okazać jedynie,
(pokazując na notaryusza:)
A tu mu wszystko wypłacą w terminie.

I-szy wierzyciel.

Ot, to jest serce!

2-gi wierzyciel.

To pogarda złota!

I-szy wierzyciel.

Prawdziwie, w panu Katońska jest cnota.

2-gi wierzyciel.

Czyn godzien Grecyi i Rzymu, panowie.

Stara panna.

Szlachetny młodzian!

4-ty wierzyciel.

Walny co się zowie.

I-szy wierzyciel (zbliżając się do Jerzego).

Racz mi pan podać dłoń swą.
(Bierze go za prawą rękę, drugi wierzyciel porywa go za lewą, i wszyscy razem cisną się do niego, żeby mu dłoń ścisnąć.)

Stary jegomość.

Wyznać muszę,
Że jeszcze w świecie szlachetne są dusze.

Stara panna (n. s.).

Ach! cała jestem wzruszona... mój Boże!
Takim się mężem żona szczycić może.

I-szy wierzyciel (do Jerzego).

Racz mię pan stawić w swych przyjaciół rzędzie.

2-gi wierzyciel.

Niech pan rachuje na mnie w każdym względzie.

I-szy wierzyciel.

Obym mógł poprzeć czynem moje słowo!

2-gi wierzyciel.

O! moja wdzięczność nie będzie jałową!

Jerzy.

Nazbyt łaskawy sąd o mnie; w tym czynie
Powinność moją spełniłem jedynie.

2-gi wierzyciel.

Pan przez chrześciańską mówisz to pokorę.

I-szy wierzyciel (pokazując na notaryusza).

Więc ja od pana tę sumkę odbiorę?

Jerzy.

Tak.

I-szy wierzyciel (nieśmiało).
Na sam termin?

Jerzy.
A tak, bez wątpienia.

I-szy wierzyciel.
Więc do widzenia.

Stara panna (kłaniając się układnie).
Adieu!

Jerzy.
Do widzenia.

SCENA IX.

Notaryusz, Jerzy.

Jerzy (patrząc za odchodzącymi).
Jakże szczęśliwi!

Notaryusz.
Tak to zwykle bywa:
Wdzięczność z początku gorąca i żywa,
Potém chłodnieje...

Jerzy.
Ja im jednak wierzę.

Notaryusz.

Niebardzo ufaj, radzę ci to szczerze;
Bo....

SCENA X.

Ciż sami, p. Mercier.

P. Mercier (wchodząc).

Jak się macie? No, i cóż się stało?
Czyliście sprawę ukończyli całą?

Jerzy.

Tak.

P. Mercier.

Więc gdy wszystko jest już odgadaném...

Jerzy (stając pomiędzy p. Mercier'em a Notaryuszem).

Panie, nic nie chcę ukrywać przed panem.
Gdym ci mych uczuć uczynił wyznanie,
Pytałeś, w jakim majątek mój stanie?
Czy byt twéj córki zapewnionym będzie?
Skłamałem wówczas, lecz sam byłem w błędzie,
Bom nie rachował, i teraz dopiero
(pokazując na Notaryusza)
Pan tutaj prawdę wyjawił mi szczerą.
Więc choć mię wszystko ku tym związkom skłania,
Nie chcę pańskiego zwodzić zaufania.
Mój ojciec, panie...

P. Mercier.

Wiem najdoskonaléj:
Spólnicy jego pobankrutowali;
Stracił na akcyach, ależ jeszcze czysta
Zostaje panu scheda macierzysta.

Jerzy.

Szanowny panie...

P. Mercier.

To dosyć co do mnie,
A córki moje przywykły żyć skromnie.

Jerzy.

Ależ...

P. Mercier.

Bo honor i czyste sumienie
Ja zawsze więcéj niż majątek cenię,
I choć to teraz zazwyczaj u ludzi
Poszanowanie wielkie pieniądz budzi,
Ja cenię tylko wartość osobistą;
Bo cóż jest pieniądz? traf losowy czysto,
Szacunku przeto ni zwiększa, ni zmniejsza,
Honor i wiara to rzecz najważniejsza.

Jerzy (z radością).

Więc pan...

P. Mercier.

I choćbyś liczył pan miliony,
To z mego domu nie wziąłbyś pan żony,
Gdyby na czyste honoru zwierciadło
Jakie niewczesne skażenie się wkradło.

(Mówiąc daléj, chociaż Jerzy chce mu przerwać.)

Bo jeśliby mnie dano do wyboru,
Ubogą partyę, lecz człeka honoru,
Lub łotra, który wzbogacił się zdradnie,
To łatwo każdy mój wybór odgadnie.

Jerzy (z zapałem).

Ta mowa pańska uczciwa i szczera,
Serce me drogiéj nadziei otwiera;
Jeszcze mnie silniéj te słowa podżegą
Do zapłacenia długów ojca mego.

P. Mercier.

Co?

Jerzy.

Bom się lękał, iż moje nadzieje
Strata majątku cokolwiek zachwieje;
Lecz pańska mowa dowodzi, że raczéj
Byłbym je zachwiał działając inaczéj.

P. Mercier.

Jakto! przejąłeś długi?

Jerzy.

Oczywista,

Że tak.

P. Mercier.

Nieszczęsny! a część macierzysta?

Jerzy.

Część macierzysta długi ojca spłaci.

P. Mercier.

Cała?

Jerzy.

A cała.

P. Mercier.

A niech porwą kaci!

Jerzy.

Miałemże działać twym zasadom sprzecznie?

P. Mercier.

Ha! ha!

Jerzy.

I splamić imię moje wiecznie?

P. Mercier.

Bo trzeba... cóż znów tak śpiesznie popycha?
Trzeba się było poradzić u licha!
(Do Notaryusza:)
Cały majątek.

Notaryusz.

Trudno, tak wypadło.
(Powtarzając słowa p. Mercier:)
Skaziłby czyste honoru zwierciadło.

P. Mercier.

Sześćset tysięcy.

Notaryusz.

Co tam sześćset, trzysta.
Tu wszystko znaczy wartość osobista.

P. Mercier.

Pieniądz nie wadzi.

Notaryusz.

Lecz w opinii twojéj
Na pierwszém miejscu honor zawsze stoi.

P. Mercier.

Tak, ale...

Notaryusz.

Honor naznaczył mu ślady.

P. Mercier (wybuchając).

E, taki honor prowadzi na dziady.

Notaryusz.

A więc inaczéj miał postąpić?

P. Mercier.

Ale...

Notaryusz.

Więc panbyś długów nie zapłacił wcale?

P. Mercier.

I któż to twierdzi?

Jerzy.

Widzę z mowy pana,
Że już w zamiarach jego zaszła zmiana.

P. Mercier.

Tego nie mówię.

Jerzy.

Więc choć inną postać
Przybrały rzeczy, w mém sercu pozostać
Może nadzieja?

P. Mercier.

Niechaj mi pan wierzy,

Żebym się zgodził z méj strony najszczerzéj,
Lecz to rzecz ważna, a więc pan wybaczy,
Trzeba namysłu...

Notaryusz.

Przed chwilą inaczéj
Cnotę i honor zdałeś się pan cenić,
Zdanie tak prędko miałożby się zmienić?

P. Mercier.

Możesz pan mówić co pan chcesz, ja sobie
Z obmowy świata nic a nic nie robię.
(Pokazując na Jerzego:)
Pański uczynek wielce honorowy,
To też on nie jest powodem odmowy,
I żadnéj dla mnie nie stawia zawady.
Gdybyś pan mojéj był zasięgnął rady,
Tego samego byłbym pewno zdania.
Owszem, to wszystko ku panu mnie skłania.

Notaryusz.

Więc pan przyjmujesz? Trzeba tedy będzie...

P. Mercier.

Już pozwól mi pan być sędzią w tym względzie.
W pierwszym nic działać nie można zapale.
Znam obowiązki moje doskonale,
Lecz nie chcę zmuszać córki do ołtarza,
Choć to niestety! zbyt często się zdarza;
Muszę zasięgnąć jéj zdania.

Jerzy.

W téj mierze
Zgadzam się z panem zupełnie i szczerze.

P. Mercier.

Ona tak młoda!

Jerzy.

Ale cóż mam wnosić?

P. Mercier (przyjaznym tonem kłaniając mu się).

No, jeszcze przecię czasu mamy dosyć.
(Do Notaryusza sucho:)
Żegnam.

(Wychodzi.)

SCENA XI.

Jerzy, Notaryusz.

Notaryusz.

Cóż?

Jerzy.

I cóż?

Notaryusz.

Coś jakoś na opak.

Jerzy.

Boże!

Notaryusz (n. s.).

Żal mi go, uczciwości chłopak.
(Idzie do niego i kładzie mu rękę na ramieniu.)
Nie trzeba tego brać do serca tyle;
Może być bardzo, że się jeszcze mylę,
Wszak nie odmówił biorąc rzeczy ściśléj...
(Jerzy zdaje się nabierać nadziei.)
Idźmy, może się plan jaki obmyśli.

AKT III.

(Salon w mieszkaniu pana Mercier'a.)

SCENA I.

Rudolf, p. Mercier.

(Wchodzą ciągnąc daléj zaczętą rozmowę.)

Rudolf.

Czy pan pamiętasz te noce na warcie,
Gdyśmy się od snu bronili uparcie?

P. Mercier.

Nie, nie pamiętam.

Rudolf.

Jakto! nocną dobą,
Zawsześmy razem wieczerzali z sobą.
Jadłeś pan dobrze, piłeś doskonale,
Śpiewałeś za trzech...

P. Mercier.

Nie pamiętam wcale.

Rudolf.

Co znów? pan byłeś pułkowym stentorem,
A gdy zostałeś sierżantem majorem,
Jakże w mundurze wyglądałeś dzielnie!...
A nie cierpiałeś Woltera śmiertelnie,
Kiedyśmy razem filozofowali...

P. Mercier.

Dawne to rzeczy, panie; im człek daléj
W życie zachodzi, tém widzi wyraźniéj
Że filozofia próżno umysł drażni,
Błazeństwo... w które wierzą tylko młodzi.

Rudolf.

No, nie wiedziałem... lecz nie o to chodzi.
Chciałem cię pytać panie ex-kollego,
Jaką odpowiedź dasz mi dla Jerzego?

P. Mercier.

Wielce szanuję piękną jego duszę,
I przykro mi jest, że odmówić muszę,
Lecz mam w tym względzie inne przedsięwzięcia.

Rudolf.

Jednakże dawniéj chciałeś go za zięcia.

P. Mercier.

Być bardzo może.

Rudolf.

Nie chcę dawać wiary,
By piękny jego czyn twoje zamiary
Miał zmienić?

P. Mercier.

Owszem; zdania nie zmieniałem,
Lecz takim mię to natchnęło zapałem,
Żem musiał aż go mitygować w sobie,
Bo starsi w inszym świat widzą sposobie,
Niźli zazwyczaj chcą go widzieć młodzi.
Uczucie, panie, zbyt prędko przechodzi,
Dobry byt zawsze rzeczą pożądaną,
A z dziećmi nowe potrzeby nastaną.
Za poniżenie to małżeństwa sądzę,
Gdy się w niém tylko upatruje żądzę;
Inne dążności obowiązek nieci,
Trzeba byt stały zapewnić dla dzieci,
A kto z tych uwag, panie, nie korzysta,
Podług mnie czysty tylko egoista.
— Tak nierozsądnym pan Jerzy nie będzie,
Żeby w podobnym miał zagrzęznąć błędzie.

Rudolf.

Lecz w takim razie, mówiąc między nami,
Zbyt wiele kobiet zmarłoby pannami.

P. Mercier.

Tém gorzéj.

Rudolf.

Nie ma obawy z téj strony,
Bo pańskich wnuków los jest zapewniony.

P. Mercier.

O! zazbyt na mnie pan jesteś łaskawy...
Lecz teraz bardzo źle płacą dzierżawy...
A kto ma serce wysoko wzniesione,
Nie zechce pewno rachować na żonę,
Smutno do płaskiéj naginać się roli.
Zawsze stan taki dolega i boli,
I nieraz przyjdzie opłakiwać nędzę...
Dla tego jemu téj przykrości szczędzę.

Rudolf.

Ręczę, że wdzięczny sercem będzie całém.

P. Mercier.

Zresztą dla Laury męża już wybrałem.

Rudolf.

A....

P. Mercier.

Który w każdym dogadza mi względzie:
Pan bankier Ryszard zięciem moim będzie.

Rudolf.

Pan bankier Ryszard?

P. Mercier.

Tak.

Rudolf.

Lecz bez obrazy,
Wszak jego ojciec podobno trzy razy
Już bankrutował?...

P. Mercier.

Ta... ludzkie gadania.

Rudolf.

Ztąd też majątek.

P. Mercier.

Według mego zdania,
Zwykła to, panie, plotkarska przesada;
Zresztą za ojca syn nie odpowiada.

Rudolf.

Jednak spokojnie korzysta z bezcześci.
A i o nim też niezbyt dobre wieści.

P. Mercier.

Świat się w tym względzie często z prawdą mija.

Rudolf.

A czy też jemu córka pańska sprzyja?

P. Mercier.

Córka, co wzięła dobre wychowanie,
Rozkazom ojca posłuszną zostanie.

Rudolf.

Czy go zna dobrze?

P. Mercier.

Był już u nas pono
Dwa lub trzy razy.

Rudolf.

Tyle już!! No... no... no...
Dwa lub trzy razy!! to dyabelnie wiele;
Zna go i może iść za niego śmiele.
Dwa lub trzy razy!... To już wcale dosyć,
Żeby o czyim charakterze wnosić,
Poznać czy zgodne są usposobienia,
Czuć jak współczucie serca rozpłomienia,
I zbadać skłonność, bez którój w wyborze
Nigdy szczęśliwą panną być nie może.
Bo do tak ważnéj przystępując chwili,
Któż tam się pyta, czy się rozmyślili?...
Dwa lub trzy razy odda się wizyta,
Potém daj rękę, żeńcie się i kwita.

P. Mercier.

Na co to się zda zrywać się z kazaniem?
Taki jest zwyczaj, a ja idę za nim.

Rudolf.

Może to zgodne z waszemi prawidły,
Lecz to zły zwyczaj, panie, i obrzydły.
Tak mię to wszystko już wreszcie zgniewało,
Że muszę prawdę wypowiedzieć całą.
Wy rozprawiacie wiecznie o rodzinie,
Za cel moralność bierzecie jedynie,
Jeden za drugim obstając uparcie,
Pod godłem wiary stajecie na warcie,
Najniewinniejsze obwiniacie chęci
A kochankowie są u was wyklęci.
Bo wszyscy sercem w jednozgodnéj nócie
Piorunujecie na świata zepsucie.
A jak cenicie ten Sakrament święty?
Czyliż wasz umysł czcią jego przejęty,
Zawiłą przyszłość przed wami rozświeci
I woli waszych poradzi się dzieci?
Toż na tém przyszłe dni szczęścia zawisły
Tych, których związek ma połączyć ścisły.
Trzeba się pierwéj w serc wytrawić próbie,
Bo już za późno doświadczać po ślubie,
I dokładnego to namysłu warte,
Gdy całe życie stawia się na kartę.
Wy... co tę niby przebyliście szkołę,
Jak gdyby was kto pociągał za połę,
Z wyborem zięcia śpieszycie czémprędzéj
Nie dla przymiotów, ale dla pieniędzy.

P. Mercier.

Ależ, mój panie...

Rudolf.

Czyż tak nie robicie?
Ot Jerzy, kocha twą córkę nad życie,
Ona mu sprzyja, przystojny i młody
I złożył jawne prawości dowody.
Lecz że majątku okupił to stratą,
Pan się od niego odstręczyłeś za to
I ku innemu myśli zwracasz chętne,
Choć źródło jego majątku tak mętne.
Wiem, że za ojca syn nie odpowiada,
Lecz niech twój umysł tę różnicę zbada...
Pierwszy w ofierze dla ojca pamięci
Z ochotą cały swój majątek święci,
Drugi spokojnie z pieniędzy korzysta,
Choć te pieniądze kradzież oczywista.
I to nie wszystko: zaraz sercem całém
Tak ku tamtemu przylgnąłeś z zapałem,
Że nie zbadawszy czy dawnéj miłości,
Ślad jaki w sercu twéj córki nie gości,
Rachując tylko dóbr światowych przybór,
Pan jéj koniecznie narzucasz swój wybór,
I zmuszasz dziecko do tego zamęźcia
Po dwóch wizytach, ot tak, na los szczęścia.
Dziwcież się potém kochani panowie,
Jeżeli przyszłość los smutny wypowie,
Prawa natury na drodze znajdziecie,—
I córki wasze mają serca przecię,
A serca owe do miłości skore
Czasem się może odezwą nie w porę.

P. Mercier.

Panie!

Rudolf.

Naówczas, gdy którą błąd splami,
Możecie tylko obwiniać się sami;
Bo jeśli myśl w nich zepsucia powstanie,
To wasza wina, mój kochany panie.
Skończyłem.

P. Mercier.

Przecięż.

Rudolf.

I odchodzę.

P. Mercier.

Z Bogiem!

Rudolf.

Jerzy marzeniem kołysał się błogiém.
Lecz teraz prawdę odkryję mu nagą,
I mam nadzieję, zniesie ją z odwagą.
Może przynajmniéj z téj próby skorzysta.

(Odchodzi.)

SCENA II.

P. Mercier, potém Laura, Łucya.

P. Mercier.

Dyabeł wie co chce?... Jakiś socyalista!
(Do córek:)
Przyszłyście w sam raz.
(Do Laury:)
Panna z łaski swojéj
W jaką się ładną sukienkę przystroi;
Pan Richard dzisiaj obiaduje z nami.

Laura (ze znudzeniem).

Boże!

P. Mercier.

Powiem ci, gdy jesteśmy sami,
Trzeba mu względy okazać łaskawsze;
Ty jesteś przy nim tak milcząca zawsze.

Laura.

I cóż mam mówić?

P. Mercier.

Mów co chcesz; bo powie,
Że milczysz, bo ci brak oleju w głowie.

Łucya

(siedząc za panem Mercier'em i za Laurą, którzy stoją).

Tak, co do niego okoliczność inna:
On właśnie milczeć, ona mówić winna.

P. Mercier (do Łucyi).

Cicho!

Laura.

Nie mogę przecież być fałszywą,
Chciałabym mówić, tak jest, jako żywo,
Lecz choć mózg suszę, choć się ciągle silę,
Brak mi konceptu całkiem, ot na tyle.

P. Mercier.

Z Jerzym był jednak dyskurs zawsze gotów.

Laura.

A, bo nam jakoś nie brakło przedmiotów.

Łucya.

Tak, bo z rozumnym myśli się nie tracą,
A z głupcem gadać straszliwą jest pracą.

P. Mercier (do Łucyi).

Nikt się nie pyta o wasanny zdanie.

(Do Laury:)

Lauro, wszakże masz we mnie zaufanie,

Wszakże się ojca doświadczeniu wierzy?
Słuchaj mię Lauro, mówię ci najszczerzéj,
Jeśli w tym względzie jakie kroki robię,
To tylko szczęście chcę zapewnić tobie.
Zawsze w rozsądku trzeba dążyć ślady
Raczéj, niż słuchać egzaltacyi rady,
Co gdzieś w bezdroże uwodzi zdradziecko;
Ojcu zaufać zawsze winno dziecko.
Wierz mi, nie możesz być z Jerzym szczęśliwa,
To lekkomyślnik i w złych miejscach bywa.

Laura.

Ależ...

P. Mercier.

Na fraszkach nieraz czas zmitręża,
I nie takiego życzyłbym ci męża.
Panna pozorem uwodzić się łatwa,
Nieraz się w głupią intrygę zagmatwa;
A chcąc zawiązać małżeństwo stosowne,
Trzeba przymioty uwzględniać gruntowne.

Laura (tonem błagalnym).

Jednak...

P. Mercier.

W tym względzie znam Richarda z blizka,
I choć pozorem niby nie połyska,
Ma inne, wielce gruntowne zalety,
To też on będzie twym mężem.

Laura (zmartwiona).

Niestety!

P. Mercier.

Ja nie chcę wcale cię zmuszać w wyborze,
I córkom moim klasztorem nie grożę.

(Tonem słodkawym:)

Lecz jeśli włosy me szanujesz białe,
Jeśli twe szczęście chcesz zapewnić stałe,
A ojcu twemu wielką sprawić radość:
Pewno uczynisz mym życzeniom zadość.
Żegnam cię.

(Całuje ją w czoło i wychodzi.)

SCENA III.

Laura, Łucya.

(Łucya powstaje z miejsca, patrzy za ojcem czy wyszedł, i mówi do siostry.)

Łucya.

Biedny Jerzy, widzę, że go
Przestałaś kochać.

Laura.

Owszem.

Łucya.

Więc dla czego

Tak zgodnie wszystko znosisz? Cóż u Boga!
Miejże krew w sercu!

Laura.

Ależ, moja droga,
Cóż ja mam czynić? staw się w miejscu mojém!

Łucya.

Co? wprost odmówić trzeba wstępnym bojem.
Gdybym kochała i była kochaną,
Choćby mię tysiąc razy ręczano,
Że mi się partya trafia doskonała,
Na miejscubym się dać zabić wolała.

Laura.

Jakże odmówić prośbom ojca?

Łucya.

Moja
Droga, kto bierze ślub, ty czy on?

Laura.

No, ja.

Łucya.

Kto z was przez dobre albo złe zamęzcie,
Zapewni sobie szczęście lub nieszczęście?

Laura.

A ja!

Łucya.

Więc kiedy sprawę masz w tém własną,
To ty wybieraj, wszakże mówię jasno?

Laura.

Mamże dla tego, że to ja ślub biorę,
Iść za Jerzego ojcu na przekorę?

Łucya.

O nie! to w sposób trzeba zrobić inny.
Wiem, żeśmy ojcu posłuszeństwo winny,
Że go się radzić potrzeba w wyborze...
Lecz on nam męża narzucać nie może,
I gdyby taką rzeczy wzięły postać,
Jabym wolała starą panną zostać.

Laura.

Nie można z nim się spierać tak dalece,
Bo Bóg nas jego polecił opiece.

Łucya.

Zapewne, zbawczą jest ojcowska rada,
Do niéj się zawsze udawać wypada;
Lecz ojciec nie ma władzy, któréj... nie ma,
I sądzić trzeba własnymi oczyma.
Mogłażbyś kogo kochać na rozkazy,
Choćby chwalono go po tysiąc razy?

(Laura daje znak przeczący głową.)

A męża kochać trzeba.

Laura.

Bez wątpienia

Łucya.

Więc gdy nie można kochać z polecenia,
Rada ni prośba na nic się nie nada,
Dopóki serce samo nie zagada.
Nikt cię nie może skłonić do kochania,
Jeśli cię serce ku temu nie skłania.
Rodzice nasi z wiekiem zapomnieli,
Jak radość dusze nam młodym weseli,
I nie pojmują rozsądkiem wytrawni,
Że my kochamy, tak jak oni dawniéj,
Nim wiek rozwagę wzbudził w nich ostrożną.
Pan Bóg w nas serca nie stworzył napróżno;
Czyliż w niém może być piękniejsza strona,
Niż miłość męża, miłość uprawniona?
Czyż może szczęście być większe i lepsze,
Niż gdy głos serca powinność podeprze?

Laura.

Ale nie zawsze miłość wytrwa w próbie,
Nieraz kochanek zmieni się po ślubie.

Łucya.

Cierpienie samo jest znośniejszém, byle
Szczęścia choć jedną zaznało się chwilę;
Lecz jakże stokroć męczarnia jest większa
Tych związków, których miłość nie upiększa!
Obojętności chłód, który je ziębi,

Nienawiść z serca wyprowadzi głębi.
Wkrótce po ślubie, słyszałam od ludzi,
Znów się natura utajona budzi;
Napróżna wówczas ukrywania praca,
Gdy każda wada tajona powraca.
Jeśli głos serca będzie wtedy niemy,
Im mniéj kochamy, tém mniéj przebaczemy.
Ależ ten ciężar stanie się znośniejszy,
Jeżeli miłość brzemię jego zmniejszy;
Choćby jéj była krótkotrwała władza,
Wspomnienie szczęścia łagodność sprowadza.

Laura.

Miłość, to tylko walka żądz szalona.

Łucya.

Jeśli zbrodnicza lub źle umieszczona.
Lecz Jerzy takich daleki nadużyć,
Na twój szacunek potrafił zasłużyć,
Ojciec do tego skłonił cię kochania,
I on sam zaczął, co teraz zabrania.
Kiedy rad swoich dawnych zapomina,
Że zmienił zdanie, czyż twoja w tém wina?
Przecięż nie można serca jak fajerkę
Zgasić, lub w nową rozżarzyć iskierkę.

Laura.

Ja ci przyznaję słuszność w głębi ducha,
Ale się zawsze uwag ojca słucha.

Łucya.

Więc gdyby złączyć chciał cię z niedołęgą,
Z nimbyś musiała związać się przysięgą?

Laura.

Z życia, co mi dał, ofiarę mu zrobię.

Łucya.

Więc dla nieszczęścia, on dał życie tobie?

Laura.

Dni mu starości chcę sprawić radosne.

Łucya.

A on chce zatruć życia twego wiosnę.

Laura.

A zresztą znam go, wiem, że jego duszy
Daremna rozpacz ani płacz nie wzruszy;
Nie przekonają go rady niczyje,
U niego rozkaz pod prośbą się kryje;
Marnując życie, musiałabym smutnie,
Codziennie nową rozpoczynać kłótnię,
Codziennie nową wytrzymywać zrzędę.
Będę cierpiała, lecz posłuszną będę,
Jak każda córka dobra i pobożna.
Woli się ojca sprzeciwiać nie można.

Łucya.

Tyś nie kochała Jerzego.

Laura.

Mój Boże,
Dziś więcéj jeszcze, niż kiedy-bądź może.
O! ileż łez już wylałam tajemnie!
Myśl rozłączenia rozpacz budzi we mnie.
Niech ja się w mojém nieszczęściu zagrzebię,
On może znajdzie serce godne siebie.

Łucya.

Dla mnie są obce cnoty tak surowe,
Bo krew się we mnie burzy na tę mowę.
(Wchodzi Jerzy.)
Otoż pan Jerzy.

SCENA IV.

Też same, Jerzy.

Jerzy.

Ach! cóż mi mówiono!
Ty pani zostać masz Richarda żoną
Z własnéj woli?... nie... na to moja dusza
Wzdryga się! Ojciec do tego cię zmusza!
Nie mogłaś w takim odrzucić sposobie
Serca, co szczerze zaufało tobie!
Nie, ty nie umiesz zdradzieckim obrotem
Rozniecać miłość, by ją zdeptać potém;

W serce się twoje myśl taka nie wszczepi;
Bo ja cię kocham, sama wiesz najlepiéj,
Ja cię dla ciebie pokochałem szczerze,
A Richard ciebie dla majątku bierze.
— Mów, powróć sercu memu zaufanie:
Wszak on twym mężem nigdy nie zostanie?...
— O! to milczenie serce moje rani!
Na miłość Bozką! zaklinam cię, pani,
Błagam o słowo, na klęczkach, w pokorze!

Laura.

Ja więcéj cierpię, niżeli pan może;
Gdyby mi wybrać było dozwolono,
Jutrobym jeszcze była pańską żoną.
Szczycę się pańską miłością, wzajemnie
Iskrę współczucia rozbudziłeś we mnie,
I to współczucie w stokroć się powiększa,
Bo czyn szlachetny twe serce upiększa.
(Podając mu rękę:)
Tak! nowym dla mnie jaśniejesz przymiotem,
Ale ja nigdy nie wątpiłam o tém.

Łucya.

A tak.

Jerzy.

No i cóż?

Łucya (do Laury).

A teraz bądź szczerą;
Powiedz, że Richard jest dla ciebie zero,

Że nigdy sercu nie przypadnie twemu
Ni on, ni żaden, co podobny jemu.

Jerzy (do Łucyi).

Tak, tak.

Łucya (do Laury).

No, mówże!
(Zbliżając się do Jerzego:)
Ja za panem trzymam.

Laura (wahając się).

Ojciec ma prawa...

Jerzy.

A ja czyż ich nie mam?
Wszakże najświętsze są prawa przyrody,
Które do duszy przemawiają młodéj?
Kocham, kochasz mnie, samaś to wyznała,
Wszak wszystko gaśnie, tam gdzie miłość pała;
Próżno się ludzie przytłumić ją siłą.
Byłbym się może poświęcił przed chwilą,
Lecz gdym od ciebie posłyszał to słowo,
Odwagę w sercu mém poczułem nową,
Siły się we mnie do walki podżegą,
Porwę cię raczéj z domu ojca twego...
(Biorąc ją za rękę:)
Tak, Lauro...

Laura (cofając rękę)

Pańska mowa mnie przestrasza,
Widzę, jak wielka nierozwaga nasza,
Jak jedna mowa zerwie nieostrożna
Granice, których przekroczyć nie można.

Łucya (odchodząc w głąb teatru).

Wszystko stracone, już rozumowania!

Jerzy.

Jakto?

Laura.

Dowiodłam panu zaufania,
Tak, powiedziałam, i powtórzyć muszę;
Kocham i wielbię wielką twoją duszę.

Jerzy.

Kochaj ją tylko.

Laura.

Sameś dowiódł przecię,
Że pierwszém prawem powinność na świecie.
Więc i ja w twoje chcę postąpić ślady:
Moja powinność słuchać ojca rady.

Łucya.

Oj biedny Jerzy!

Jerzy.

Toż wyznanie twoje?

Łucya.

Tak; nieszczęśliwi będziemy oboje,
Zwłaszcza ja...

Jerzy.

Któż ten wyrok wydał srogi?

Laura.

Lecz za to z prawéj nie zboczymy drogi.

Jerzy.

Jakto, ty cierpieć miałażbyś? ty, pani?
O! bardzo łatwo pocieszyć się dla niéj...
Lecz to nie może być przecię, na Boga!
Wszakże czas jeszcze, Lauro! Lauro droga,
Wstrzymaj się, cofnij to słowo złowieszcze.
Ja na majątek zapracuję jeszcze...
Milczysz... mam sądzić, że ojcowska władza
W twoim wyborze z twą wolą się zgadza?
Czyż tak?

Laura.

To córki powinność jest święta.

Jerzy.

Chcesz się uwolnić, widzę, od natręta.
Wierz tu kobiecie! Współczuciem cię mami,

A miłość twoją podepcze nogami.
Żegnam cię, pani.

Laura.

Kiedyś jeszcze przecię
Jak przyjaciele spotkamy się w świecie.

Jerzy.

Nigdy!

Laura.

Co? nigdy? to słowo zbyt ostre;
Chcę, byś mnie zawsze uważał za siostrę.

Jerzy.

Żegnam cię, pani!
(Chce wyjść, Łucya go zatrzymuje.)

Laura.

Do widzenia przecię.

Jerzy.

A więc mnie jeszcze u siebie przyjmiecie?...
(Powracając:)
Więc ujrzę, jak to dziewczę nieskażone,
Zmieni się wkrótce na matkę i żonę;
Jak bladość tęskna na licu obsiędzie,
Jak czule dziecko swoje pieścić będzie!
Jak rozkosz męża twego się podwoi,
Kiedy rozpaczy wściekłość ujrzy mojéj,

Gdy będę patrzał z sercem rozbolałém,
Na szczęście, co jest innego udziałem.
Wówczas ty, w chwile od zajęcia próżne,
Słówka przyjaźni rzucisz mi jałmużnę,
Będę je chwytał śród nieméj boleści.
Dla niego miłość! dla mnie wstyd niewieści!!
— Nie, pani, brak mi dosyć silnéj woli,
Żebym do takiéj mógł się nagiąć roli;
Nie, nie chcę widzieć na twéj twarzy bladéj
Świeżych małżeńskich pocałunków ślady.

Laura.

Niestety! zdradza twa postać surowa,
Żeś teraz do mnie zemsty wyrzekł słowa,
I nie pojmuję tych zamiarów wcale,
Które mi w gniewnym zarzucasz zapale.
Lecz choć nas pozór światowy rozdziela,
Pragnę mieć wiecznie w tobie przyjaciela,
I gdybym mogła zmienić ojca wolę...

Jerzy.

Zechciéj już pani porzucić tę rolę.
Po co się próżno płaszczyć do udania,
Które imieniem ojca się osłania?
Inną świat teraz postąpił już drogą,
Ojcowie córek przymuszać nie mogą;
Kobieta siły znaleźć może dosyć,
Żeby od przykrych związków się wyprosić,
A gdy ma męża głupca lub prostaka,
Poszła za niego, bo jéj wola taka.

Laura (z goryczą).

Taka jéj wola?...

Jerzy.

Wywód bardzo krótki,
Pojmuję dobrze przyczyny i skutki,
Łatwo odgadnąć cały rzeczy wątek,
Odrzucają mnie, bom stracił majątek.

Laura.

Och!

Jerzy.

W naszych czasach tak się dzieje zawsze,
Że dla bogatych serca są łaskawsze.

Laura.

To zbyt okrutne!

Jerzy.

Zwykła bogactw żądza,
Taki świat!

Łucya.

Pan ją niesłusznie posądza.

Laura (do Łucyi).

Siostro! wychodźmy, bo już tracę głowę.
(Do Jerzego z progu drzwi, płacząc:)
Nie zasłużyłam, panie, na tę mowę,

Chociaż ją panu me serce wybaczy;
Kiedyś mnie może osądzisz inaczéj.
(Wychodzi.)

Łucya
(wychodząc, zbliża się do Jerzego, który stoi nieruchomy).

Pojmuję pańską całą rozpacz; ona
Współczucie we mnie wzbudziła...
(Wychodzi.)

Jerzy (ciągle nieruchomy).

Stracona!
(Pozostaje przez chwilę nieruchomy i milczący.)

SCENA V.

Jerzy, Rudolf.

Rudolf.

A, jesteś tutaj, szukałem cię wszędzie,
Pójdź! tutaj miejsce już dla ciebie będzie
Niestosowném; chodź...

Jerzy.

O hańbo! o wstydzie!
Czy ty wiesz? ona za innego idzie!

Rudolf (biorąc go pod rękę).

Pójdźmy już.

Jerzy.

Tak jest; i to z własnéj woli!
O! nie uwierzysz, jak mnie serce boli.

Rudolf.

Nie myśl już o niéj.

Jerzy.

Tak szkaradna zdrada!

Rudolf.

Pójdźmy; wyrzekać nic tutaj nie nada,
Gdy za takiego Ryszarda iść może,
Nie warta nawet gniewu, żal się Boże!

Jerzy.

Wkrótce małeżeństwem już będą związani.

Rudolf.

Tak samo ty się możesz zemścić na niéj.

Jerzy.

On cały skarb mój dla siebie zabiera.
Umrę!

Rudolf.

Czyż to się z miłości umiera?
Zresztą, za bardzo to schlebia kobiecie,
Alboż to innych mało jest na świecie?

Cóż w niéj pięknego tak? ni to, ni owo;
Ciągle stroiła minę romansową,
Zresztą... za chuda... będziemy swobodni,
Ja ci trzydzieści znajdę lepszych od niéj.

Jerzy.

Niewierna!

Rudolf.

Co tam!... kochankowie ślepi...
Mnie się jéj siostra podobała lepiéj.

Jerzy.

Cóż pocznę?

Rudolf.

Sztuka tobie się otwiera:
Sztuka, ta ludzi przyjaciołka szczera;
Tak, sztuka, któréj dobroczynna władza,
Nigdy tych, co ją kochają, nie zdradza;
Sztuka, ten Bóztwa z nieba odblask czysty;
To niewolnictwo, żona dla artysty!
Ona część wielką zabiera natchnienia,
Wolnemu świat się cały rozprzestrzenia,
Sława cię czeka.

Jerzy.

Ja sławy żądałem,
By dla niéj sercem ją poświęcić całém;
Moje marzenie z wiatrem uleciało!
Tak, dla niéj tylko pyszniłbym się chwałą,

Kto siły skrzepi? kto wolę podtrzyma?
Wszystko to dla niéj, a jéj przy mnie nié ma!

Rudolf (ciągnąc go za rękę).

Nie bądźże dzieckiem.

Jerzy (idzie za nim kilka kroków i zatrzymuje się).

Marna siło złota!
Byłaby moją!... hańba i sromota!...
Moją...

Rudolf.

To pierwsza próba, przyjacielu,
Tobie podobnych będzie jeszcze wielu,
Niechaj w téj walce twe siły się zdwoją.

Jerzy.

Gdybym się zhańbił, byłaby dziś moją!...

A K T IV.

(Bal u Notaryusza.—Salon do gry urządzony na pokój do wypoczynku dla tańczących—w około sofy.— Przez drzwi otwarte w głębi i z boków widać salony balowe, gdzie tańczą.—Muzyka odzywa się chwilami).

SCENA I.

Wchodzi **Notaryusz,** a z nim trzech **przyjaciół.**

(Ciż sami co w pierwszym akcie u Jerzego. Z lewéj strony sceny przy stoliku od kart siedzą gracze, a pomiędzy nimi Statysta i 4-ty wierzyciel.)

I-szy przyjaciel.

Śliczny bal!

Notaryusz.

Czy tak?

I-szy przyjaciel.

Już lepiéj nie sposób;
Jakie ubrania! a co ładnych osób!...

2-gi przyjaciel.

Zauważyłem przy wejściu na salę
Dwie damy.

I-szy przyjaciel.

Jakie?

2-gi przyjaciel.

Ja ich nie znam wcale...
Ale o ile sądzić można z twarzy,
Zdają się siostry; jedna ciągle marzy
I jakoś smutna; a druga przeciwnie,
Wesoła bardzo i tańczy przedziwnie.

Notaryusz.

Już wiem.

2-gi przyjaciel.

A w tamtéj jakieś zadumanie,
Niby tęsknota.

Notaryusz.

Mój kochany panie,
Już ona zmartwień zniosła w życiu dosyć,
A pewno więcéj musi jeszcze znosić.

2-gi przyjaciel.

I jakiż powód téj wielkiéj niedoli?

Notaryusz.

Mąż, za którego pomimo jéj woli
Ojciec ją wydał; a to nie są żarty,
Bo zły, zazdrosny, głupi i uparty.

2-gi przyjaciel.

W istocie?

Notaryusz.

Tak to dzieje się na świecie!
No, muszę iść już, do widzenia.
(Odchodzi.)

SCENA II.

Ciż sami oprócz Notaryusza.

2-gi przyjaciel.

Wiecie
Kto jest tu? Jerzy.

I-szy przyjaciel.

No, cóż się z nim dzieje?

2-gi przyjaciel.

Nie wiem, bo ciągle gdzieś w kącie pleśnieje.

I-szy przyjaciel.

Mówią, że stracił wszystko.

2-gi przyjaciel.

Co do nitki.

I-szy przyjaciel.

Jak się to, stało? widać robił zbytki?

2-gi przyjaciel.

Gdzie tam!... on takim nie grzeszył narowem;
Coś... czyn szlachetny jakiś... jedném słowem
Solda już nie ma.

I-szy przyjaciel.

Z czegoż żyje, z łaski?

2-gi przyjaciel.

A... bazgrał dawniéj jakieś tam obrazki.

I-szy przyjaciel.

A tak, pamiętam, zawsze spraszał gości,
Żeby chwalili te osobliwości.

2-gi przyjaciel.

Chciał je sprzedawać, lecz kupcy nie głupi,
A bazgraniny żaden z nich nie kupi.

3-ci przyjaciel.

Jeżeli szczerze mam tu wyznać zdanie,
Jabym sam nawet franka nie dał za nie.

2-gi przyjaciel (spostrzegając Jerzego).

Otoż on idzie, zmykajmy czémprędzéj,
Bo tacy ludzie zawsze do pieniędzy
Przymawiają się.

(Wychodzą.)

I-szy przyjaciel

(zatrzymując się u drzwi, przypatruje się chwilę Jerzemu).

Tak, to nie są żarty...
Krawat niemodny... frak dyable wytarty.

(Grający w karty siedzą przy stoliku. Jerzy wchodzi we fraku zapiętym pod szyję. Podchodzi na prawo na przód sceny i wyjmuje z kieszeni list, który odczytuje:)

Jerzy (czyta).

„Kochany Jerzy! Chociaż żyjesz teraz zupełnie odosobniony, proszę cię, żebyś przybył na wieczór, który dla ciebie daję naumyślnie; mam przytém do ciebie bardzo ważny interes. Znalazłem sposób zebrania razem tych wszystkich, od których masz prawo spodziewania się jakiéjś pomocy, a których nie możesz nigdy zastać w domu; oprócz tego chciałbym się osobiście widzieć z tobą...

„Wiem, iż przykro ci będzie spotkać się z panią Richard, ale nie mogłem jéj nie zaprosić. Staraj się przeto przezwyciężyć o ile możności wstręt, jaki to spotkanie wzbudza w tobie."

Tak... pani Richard... tak... teraz już ona
Nie Laura... ale pana Richard żona...
Więc tu przybyłem serce poić ciągłém
Strapieniem... wszak jéj nienawiść przysiągłem;

Jakże jesteśmy nikczemni i słabi!
Jeden nas przedmiot odpycha i wabi.

(Siada przy niezajętym stoliku od kart.)

Ona tam... zawsze piękna... O! mój Boże,
Czemuż ta piękność nagle zgaść nie może?
Tam cała młodzież uśmiecha się do niéj,
Każdy za jedném jéj spojrzeniem goni,
Każdy przystrojon podług mody świeżéj...

(Spoglądając po sobie:)

A mój frak stary i niegładko leży.
Gdy mnie zobaczy rozśmieje się w duszy.
Kogoż kochanek źle ubrany wzruszy?
Och!

(Powstaje z miejsca i uderza nogą o posadzkę. Statysta, który podczas jego monologu wstał od kart i zabierał się do wyjścia, odwraca się na ten odgłos i spogląda na Jerzego.)

Jerzy (zbliżając się do Statysty).

Witam.

Statysta.

A, to pan! jakaż niespodziana
Przyjemność! dawno nie widziałem pana.

Jerzy.

Żyję samotnie.

Statysta.

Tak, doszło to do mnie,
Żeś pan odznaczył się jakoś ogromnie
Szlachetnym czynem, jak wieść wszędzie niesie.

Jerzy.

Po kilka razy w własnym interesie
Byłem u pana, lecz mnie nie przyjęto.

Statysta.

To utrapienie z tą służbą przeklęta...
Co pan rozkaże?

Jerzy.

Teraz w panu leży
Cała nadzieja już moja.

Statysta (z roztargnieniem biorąc rękawiczki).

Najszczerzéj
Chciałbym... lecz w czémże?

Jerzy.

Rok już tému będzie
Radziłeś mi pan karyerę w urzędzie,
Ja odmówiłem; lecz sposób widzenia
Zbyt często stan nasz majątkowy zmienia,
Teraz przyjąłbym.

Statysta.

Służyłbym mu z całéj
Duszy, ale się czasy pozmieniały;
O lada urząd wielu się dobija
I nie pomoże protekcya niczyja.

Jerzy.

Jak widzę, tedy prośba moja próżna.

Statysta (zimno).

No, jeszczeby tam poprobować można,
Lecz to wyjątek będzie oczywisty...
Może się znajdzie miejsce... kancelisty...

Jerzy.

Co?

Statysta.

Zacząć tylko, pójdzie się i daléj,
Będziem się pana posunąć starali.
Znasz pan Rajmunda? on dziś znaczy wiele!

Jerzy.

Rajmunda?

Statysta.

Tak jest, i mogę rzec śmiele,
Że żyjem sobie obaj jak brat z bratem;
On pojął wiek nasz i nie stracił na tém,
Wie on, że zazbyt surowe zasady
Prosto prowadzą człowieka na dziady;
Prawa do ludu poprawy nie rości,
Umie się nagiąć do okoliczności,
Pilnie ogółu zawsze śledząc zdania,
W samą się porę do większości skłania.

Przyjmuje dobrze, wyborny kollega,
A chociaż zasad moralnych przestrzega,
Nie pragnie rzymską osłaniać się cnotą,
To też daleko zajdzie, pokój o to.

Jerzy (n. s.).

Jakże to wszystko zmienia się! mój Boże!
Dziśby on znowu nie przyjął mnie może.

Statysta (gotując się do wyjścia).

Chcesz, to cię jemu przedstawię?

Jerzy.

Zbyt wiele
Łaski.

Statysta.

Chciéj liczyć zawsze na mnie śmiele.

(Wychodzi.)

Jerzy (sam).

Świat mi się coraz odsłania już jawniéj,
A jednak jestem tenże sam co dawniéj;
Kiedyś ofiarom ich nie było granic,
Teraz się przydać już nie mogę na nic.
Odgadnąć jednak powód tego snadnie:
W skrzyni z pieniędzmi rozum został na dnie.

(Opiera się o kominek z lewéj strony sceny.)

A Rajmundowi jak służy obłuda!...

SCENA III.

(Kontredans się kończy, mężczyzni i damy przechodzą w głębi teatru. Wchodzą Wierzyciele rozmawiając, pomiędzy sobą. Niektórzy z nich siadają na sofach obstawionych dokoła ścian, inni na fotelach; reszta stoi na środku pokoju, rozmawiając pomiędzy sobą.)

Jerzy, Wierzyciele.

Jerzy (spostrzegając wierzycieli).

Spróbujmy jak téż z wdzięcznością się uda?

I-szy wierzyciel.

Przepyszny lokal.

2-gi wierzyciel.

Cudowne salony.

3-ci wierzyciel.

Tak, wszystko ładne, ale koszt szalony.

(4-ty wierzyciel wstaje od stolika od gry z lewéj strony sceny, 3-ci wierzyciel zbliża się do niego i wita się z nim. Obadwaj pozostają na lewo, kiedy inni przechadzają się na prawo.)

2-gi wierzyciel.

Za te pieniądze dobraby mieć można!...

Stary jegomość (siedząc przy drugim wierzycielu).

U notaryusza ta wystawność zdrożna.
Za moich czasów nie tak było wcale.
Tylko panowie wydawali bale;

Każdy pilnował, stanu swemu gwoli,
Notaryusz aktów, a kupiec kontroli,
A tylko swojém rzemiosłem zajęty
Nie pragnął walczyć w przepychu z książęty.
Teraz roztropność w niwecz poszła stara,
Dla tego teraz bankructw co nie miara.

Jerzy (zbliżając się).

A... witam panów.

(Wszyscy wstają i kłaniają się mu.)

No, jakże się stało?
Wszak wam należność wypłacono całą?

I-szy wierzyciel.

Tak, co do joty.

2-gi wierzyciel.

Ot jeszcze w téj chwili,
Piękny czyn pański wszyscyśmy chwalili.

Jerzy.

Widzę, żem panom został się w pamięci.

I-szy wierzyciel.

O! myśmy ciągle wdzięcznością przejęci.

Jerzy.

No, kiedy tak jest, to może łaskawie
Zechcecie w ważnéj dopomódz mi sprawie.

(Wszyscy wierzyciele otaczają go w półkole.)

W dobrach po ojcu mym, tanio niezmiernie
Można budynek nabyć na papiernię,
Co teraz stoi bezczynnie, a ziści
W ruch wprowadzony obfite korzyści;
Na to zaś będzie potrzeba najwięcéj
Franków około dwudziestu tysięcy.
Każdy z was może złożyć się częściowo,
A ja w dwa lata oddam, daję słowo.

(Milczenie. Jeden z wierzycieli wymyka się ostrożnie, innych wstrzymuje obecność Jerzego, który stoi pomiędzy nimi a drzwiami. Stary Jegomość siada napowrót na fotelu).

Jerzy (do pierwszego wierzyciela).

Wszakżeś pan mówił, że w każdéj potrzebie
Mogę się zawsze udawać do ciebie.

I-szy wierzyciel.

Tak jest, i wdzięczen mu jestem niezmiernie,
Żeś o mnie pamięć dochował tak wiernie,
Bo to kiedy się sposobnosć nadarza...
Lecz wszak pan chciał się kształcić na malarza?

Jerzy.

Poznałem, iż to czasu tylko stratą:
Brak mi talentu potrzebnego na to.

I-szy wierzyciel.

W tym względzie skromność najczęściéj zaślepi.

Jerzy.

Kupcy obrazów sądzą to najlepiéj.

I-szy wierzyciel.

E... to są osły.

Jerzy.

Ha!... lecz mają narów,
Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów.
A w każdym razie jednak... pan pozwalasz...
Dobry papiernik lepszy niż zły malarz.

I-szy wierzyciel (z zapałem).

Człowiek z talentem, niech pan mi wybaczy,
Winien te rzeczy uważać inaczéj.
Sztuka dla ludzi powołaniem świętém,
To iskra Bóztwa, a człowiek z talentem
Nie powinien się ukrywać przed światem;
A pan masz talent... o! ja znam się na tém.
— Jakiż to zaszczyt, gdy w wieków pamięci
Sztuka, nazwisko artysty uświęci!
Wytrwania, panie, a starłszy zawady,
Kiedyś za moje wdzięczen będziesz rady.
(Ściska go za rękę i odchodzi.)

Jerzy.

Wybornie.
(Do 3-go wierzyciela:)
A pan?

3-ci wierzyciel.

Znam ja tę papiernię:
To panie ślizki interes niezmiernie;
Pan tylko na niéj mógłbyś wyjść ze stratą,
A my pozwalać nie powinni na to.
Ja w każdym razie pożyczką mu służę...
Lecz tu ryzyko pańskie jest za duże.
(Kłania się Jerzemu i wychodzi.)

Jerzy.

Dziękuję.

4-ty wierzyciel.

Skąpiec... on się własnéj straty
Lęka... to hańba!...
(Do Jerzego:)
Gdybym był bogaty
Jak on... ale sam nie mam...
(Wychodzi.)

Jerzy.

Czyż nie dosyć
Wstydu i hańby musiałem już znosić?
(Zbliżając się do wierzycieli, którzy jeszcze pozostali:)
Żebraku!... dokończ tę próbę mozolną,
Wszak ubogiemu skarżyć się nie wolno.
(Do 2-go wierzyciela:)
Wszakżeś przyrzekał łaskawemi słowy,
Iż zawsze będziesz pomódz mi gotowy?

2-gi wierzyciel (z udaną rozpaczą).

Ot... bo widzi pan... utrapienie nowe:
Wystaw pan sobie, zacząłem budowę,
I mnie samemu pożyczka się przyda...
Czasy bo ciężkie.

(Wszyscy wierzyciele potakują:)

Oj biéda, bo biéda!
Każda robota teraz licha warta.

(Uderzając ciągle lekko Jerzego po ramieniu wywróconą dłonią:)

A ci murarze kosztują do czarta.
Robotnik ciągle droży się, bo rzadki,
Pan nie uwierzysz jakie to wydatki;
Teraz z majstrami ciągłą wojnę prowadź...

(Głosem uroczystym:)

Ot, chcesz pan rady? nie każ pan budować.

(Wychodzi i wszyscy wychodzą za nim, z wyjątkiem Starego Jegomości, który pozostaje na fotelu.)

Stary jegomość

(powstaje z miejsca i zbliżywszy się do Jerzego ściska go za rękę).

Wiesz co, młodzieńcze, ty masz serce złote.

Jerzy.

Co?... może pan mi pożyczysz tę kwotę?

Stary jegomość.

Hę... głuchy jestem, widzisz pan wiek... praca...

Jerzy.

To żarty.

Stary jegomość.

Owszem, słuch mi czasem wraca.
Pozostań takim zawsze, bo zaiste
Najpierwszym skarbem jest sumienie czyste.
(Wychodzi.)

Jerzy.

I kieszeń także... ha! śmieją się ze mnie
Łotry, bom głupi był, teraz daremnie
Żałować nawet, a tu nieodbicie
Potrzeba jednak zarabiać na życie.
Sądziłem dawniéj, że jedynie tacy
Są w biednym stanie, ktorym brak do pracy
Chęci, bo syty głodnemu nie wierzy;
A teraz oto...
(Wchodzi kapitalista, który widział wychodzących wierzycieli.)

SCENA IV.

Jerzy, Kapitalista.

Kapitalista.

Jakże się masz, Jerzy?
Powiedz mi, co cię znowu opętało,
Żem cię tu widział z tą czeredą całą
Lichwiarzy?...

Jerzy.

Chciałem wziąć od nich na słowo.
Sumkę...

Kapitalista.

Trzeba mieć głowę romansową,
By sądzić, że tu na słowo bądź kogo,
Zaraz pieniądze tak sypnąć się mogą.
Świat nie jest teraz głupi tak dalece,
I wierzy tylko dobréj hypotece.
A czemuś rady nie posłuchał zdrowéj?
Byłbyś miał teraz posag milionowy.
Chciéjże mi ufać, ja cię jeszcze mogę
Na jaką dobrą naprowadzić drogę.
Czyś już z tą całą rozprawił się zgrają?

Jerzy.

E... to są ludzie, co serca nie mają.

Kapitalista.

A widzisz, bo ich liczba bardzo wielka.
Jest tam ktoś jeszcze...

Jerzy.

I któż?

Kapitalista.

Wierzycielka.

Jerzy.

O! nie... z kobietą to inny stosunek.
Nie...

Kapitalista.

Nie pożyczka, ale podarunek.

Jerzy.

Jeszcze mniéj.

Kapitalista.

Określ innemi to słowy,
Naprzykład... w kształcie summy posagowéj?

Jerzy.

Żarty.

Kapitalista.

Nie żarty, bo w dziwnym sposobie
Umiałeś skłonić jéj serce ku sobie,
I zaraz rękę oddać ci gotowa.
Wierzaj mi, braknie tylko twego słowa.

Jerzy.

Ma lat pięćdziesiąt.

Kapitalista.

Zaledwie czterdzieści;
Wiek się tak znowu nie liczy niewieści.

Jerzy.

Ba...

Kapitalista.

Co tam dziesięć lub piętnaście latek!
Pieniądz — to szczęścia prawdziwy zadatek.
Miłość i piękność zbyt szybko ulata,
Posag zostaje... a ona bogata.

Jerzy.

E... cóż ci znowu za myśli się roją!

Kapitalista.

No cóż?...

Jerzy.

Wszak matką mogłaby być moją.

Kapitalista.

Wcale przystojna jeszcze... przytém zdrowa...

Jerzy (oddalając się).

Sprzedać się... hańba!...

Kapitalista (idąc za nim).

Znowu wielkie słowa...
Zawsze tkwi w tobie ta wiara dziecinna,
A jużby bieda wykształcić cię winna.
Odkąd ubogi tułasz się wśród ludzi,
Powiedz mi, czy cię życie to nie nudzi?

Jerzy.

Ha..

Kapitalista.

Czy to miło mieszkać gdzieś pod strychem,
Wkoło ubóztwem otoczony lichém?
Gdy wicher wyje i deszcz z rynien płynie,
Nie mieć ciepłego miejsca przy kominie,
Powrócić z miasta nie mając już komu
Rozkazać posłać albo zamieść w domu.

Jerzy.

Tak... ze służącym naturalnie lepiéj.

Kapitalista.

Gdy pościel twarda, to i sen nie krzepi;
A te garkuchnie... bifsztyk przydymiony
I trochę wody za napój czerwonéj...

Jerzy (z obojętnością).

Ba...

Kapitalista.

Ty, co byłeś zawsze mody wzorem,
Patrz co się z twoim zrobiło ubiorem.

Jerzy (tknięty do żywego).

No cóż?

Kapitalista.

Wyglądasz jak szewc na spacerze...

(Ukazując mu przezedrzwi młodych ludzi przechadzających się po sali balowéj.)

Czyż nie zazdrościsz tamtym? przyznaj szczerze,
Wszak te ubiory rażą cię balowe?

Jerzy.

A ja, by kupić rękawiczki nowe,
Nie jadłem dzisiaj obiadu...
(Upada na fotel z lewéj strony sceny.)

Kapitalista.

Nie żarty,
Bo konkiet ubiór nie robi wytarty.
(Podchodząc do Jerzego:)
Kiedyś przechodził, kobiety się śmiały.

Jerzy.

Co? co?

Kapitalista.

Mówiono... jaki wynędzniały!
Widać wydatków zmniejszyła się lista.

Jerzy.

O! gdybym wierzył!

Kapitalista.

Prawda, prawda czysta
Wszakże to bije w oczy, to krzyczące.
Wszak dawniéj wizyt miewałeś tysiące;
Gdzież się podzieli przyjaciele twoi?
Wszak już cię teraz nikt nie niepokoi?

Jerzy.

Nie... muszę przyznać.

Kapitalista.

Ci pochlebcy wprawni
Czy jeszcze ciebie nachodzą jak dawniéj?

Jerzy.

Oprócz Rudolfa nikt nie bywa u mnie.

Kapitalista.

A zaproszenia czyż przychodzą tłumnie?

Jerzy.

Tak... tak... ich wszystkich odstrasza ubóztwo.

Kapitalista.

Wszak tu twych dawnych znajomych jest mnóztwo,
Tam się w salonie tłumną bawią zgrają;
Powiedz mi, czy cię teraz choć poznają?

Jerzy.

Tak, po co mam to ukrywać daremno?
Żaden się nawet nie przywitał ze mną.

Kapitalista (biorąc go za rękę).

Widzisz, bo człowiek choćby był bez zmazy,
(odpychając go ręką:)
Kiedy jest w nędzy, gorszy od zarazy.

Boją się zaraz, że ich nędza schwyci.
Ja sam widziałem: zmykali jak zmyci.

Jerzy.

Co? uciekali?

Kapitalista.

W obronie kieszeni.

Jerzy.

O! to honoru ludzie pozbawieni!
A pasorzytów tych niedawno roje
Jadły obiady, piły wino moje...
Choć raz się jeszcze w lepszym znaleźć bycie,
Żeby im za to odpłacić sowicie!

Kapitalista.

Ot to mi mowa! żeń się, bierz majątek.
Wszak sto tysięcy talarów, początek
Wcale jest niezły, przy pomocy mojéj
Ten twój kapitał szybko się podwoi,
I od téj całéj bogatszy czeredy
Wet za wet będziesz mógł im oddać wtedy.
Będziesz miał służbę, stół, lokal wspaniały,
Konie, powozy, słowem komfort cały.
Zobaczysz wówczas, jak się wszystko zmieni:
Będą cię witać we troje schyleni;
Bo pieniądz teraz w największéj jest cenie;
Popłaca jeszcze trochę urodzenie,

Talent już mało, a uczciwość wcale.
Kto umiał gonić za zyskiem wytrwale,
Ten zawsze w pierwszym pomieszczony rzędzie,
Szacunek, honor i miłość mieć będzie.
(Widząc, że Jerzy przysłuchuje mu się uważnie:)
Ńo, widzę, żeś już przekonany prawie;
Chcesz? to cię zaraz twéj przyszłéj przedstawię.

Jerzy (z wahaniem).

Chwilę.

Kapitalista.

Czas drogi z każdą leci chwilką.

Jerzy.

Ach! pięćdziesiąt lat.

Kapitalista.

Czterdzieści pięć tylko.

Jerzy.

Gdyby czterdzieści chociaż!

Kapitalista.

A twarzyczka
Nie brzydka, jakby moja rówienniczka.

Jerzy (wzdychając).

Ach! stara panna.

Kapitalista.

Ale jest bogatą.

Jerzy.

To śmiesznym czyni.

Kapitalista.

Lecz majętnym za to.
Każdy tak zrobi kto ma w głowie oléj.
Potém na ciebie przyjdzie śmiechu koléj.
Czekaj tu na mnie.

Jerzy.

Ale...

Kapitalista.

Nie ma „ale!”
Już ja urządzę wszystko doskonale.

SCENA V.

Jerzy, Rudolf (który ostatnich wyrazów dosłyszał).

Rudolf.

Jerzy!

Jerzy.

A... to ty.

Rudolf.

O! bratku, z ostrożna;
Widzę, że z rąk cię popuścić nie można.
Co się to znaczy coście tu gadali?
Ta stara panna, posag i tam daléj?

Jerzy.

Odkąd-to u drzwi nastawiasz już ucha?

Rudolf.

Odkąd się lękasz, że cię kto podsłucha.
O każdéj mogłem godzinie wejść dawniéj
I twoje słowa pochwalić najjawniéj.
Przypomnij sobie, choć to czasu kawał,
Gdy ci podobne rady ten sam dawał,
Rzekłeś: „W mych piersiach serce a nie drewno,
A dla miliona nie sprzedam się pewno.”
Wówczas to wszystko brzmiało bardzo pięknie:
A dla pieniędzy teraz serce mięknie.
Nie w takim wówczas patrzałeś sposobie
Na świat,— i gdyby kto powiedział tobie,
Że cię podobna myśl kiedy zaskoczy,
Ty byłbyś mu się pewno rozśmiał w oczy.

Jerzy.

Jeśli mnie dawne marzenie nie łudzi,
To wina wieku naszego i ludzi.

Rudolf.

Wieku i ludzi wina?

Jerzy.

Nieinaczéj!
Teraz na świecie pieniądz wszystko znaczy.
Bogaty oszust w szczęściu żyjąc błogo,
Łokciem poczciwość potrąca ubogą.

Rudolf.

Tak...

Jerzy.

Jam uczynił honorowi zadość,
Cóż mi ztąd przyszło?

Rudolf.

Co? wewnętrzna radość.
Tór uczciwości nie byłby tak ślizki,
Gdyby nim idąc liczył kto na zyski,
I każdy łatwo przetrwałby te próby,
Lecz nie dla cnoty, ale dla rachuby.

Jerzy.

Wszystko to bardzo zaszczytném i miłém,
Lecz któż mi wróci tę, co utraciłem?

Rudolf.

Zapewne... ale to ci się zostało,
Że możesz wszystkim w oczy spojrzeć śmiało;

Że ja cię ścisnę za rękę najszczerzéj
I rzeknę: „Dobrześ uczynił, mój Jerzy.”

Jerzy.

I żeby silniéj ciosy wywrzeć swoje,
Los nas tu razem zgromadza oboje:
Mnie w biednych szatach, z myślą rozstrojoną,
I ją bogatą, piękną i wielbioną.

Rudolf.

Ależ i o niéj coś się wieść odzywa,
Że w swém pożyciu nie bardzo szczęśliwa.

Jerzy.

Jakto?

Rudolf.

Tak biedna, złapała się w matni:
Ten mąż jéj Richard, to nędznik ostatni.

Jerzy.

A... dobrze jéj tak.

Rudolf.

Rozpustny, rozrzutny,
Brutal i prostak: słowem łotr wierutny.
A takich jak sam żywi całą zgraję.
Teść łatwowierny pieniędzy mu daje,
Ale się wszystko topi w téj otchłani;
Wkrótce téż obaj będą zrujnowani.

Jerzy.

Dobrze; niech pozna co życie żebracze,
Niechaj łzy wszystkie swych oczu wypłacze.

Rudolf.

Ty w innym mścić się powinneś sposobie:
Że nie umiała poznać się na tobie,
Dowiedź jéj, pracuj, wszak masz talent przecię?

Jerzy.

O tak! wy wszyscy tak rozumujecie;
I mnie się nawet tak niegdyś zdawało,
Gdym darmo żywił tę czeredę całą.
Ciągły grad pochwał mych łaskawych gości
Wzbudził myśl we mnie zarozumiałości;
Ale już teraz zdrowiéj rzeczy sądzę.
Kamień próbierczy, to kupca pieniądze;
On próżnych pochwał szczędząc przed artystą,
Każdego wartość ceni rzeczywistą,
I on najlepiéj różnicę oznaczy
Ludzi z talentem od nędznych bazgraczy.

Rudolf.

Wszak wiesz, że ja ci nie pochlebiam wcale.
Już postąpiłeś, a tylko wytrwale
Pracuj...

Jerzy.

Tak, pracuj i pracuj bez granic,
A zkąd żyć?...

Rudolf.

Jakto? czyż mnie liczysz za nic?

Jerzy.

Ty na pożyczki sam nie masz za wiele.

Rudolf.

Ja nie pożyczam, lecz się z tobą dzielę.

Jerzy.

Dość dla jednego, a dla dwóch za mało.

Rudolf.

A przytém lekcye możesz dawać śmiało.

Jerzy.

Lekcye?

Rudolf.

Rysunków.

Jerzy.

Jakto?

Rudolf.

Mnie się zdaje,
Że ty wiesz jak to... jak się zwykle daje;
Sam ci nastręczę kilka.

Jerzy.

Za pieniądze?

Rudolf.

A wszakżeż hańby w têm nie ma, jak sądzę?

Jerzy.

Co? mam na takie godząc się rzemiosło,
Kształcić w rysunku młodzież niedorosłą,
I do szermierstwa pendzlowego skory
Poprawiać skromne panieńskie utwory?

Rudolf.

Oj ludzie! zająć gotowi się pracą,
Za którą zaraz oklaskami płacą;
Ale zarobek, który cel upiększa,
Gdzie chwała mniejsza, a zasługa większa,
To ich niegodne, to za nadto liche.
Wiesz co? wierzaj mi, ty zginiesz przez pychę.

Jerzy.

Tak, tak, karyerę zrobię oczywistą:
Metrem rysunków albo kancelistą.

Rudolf.

Nie widzę jeszcze. rozpaczy powodu.
A zresztą, może wolisz umrzeć z głodu?

Jerzy.

Tak, głupstwo do téj wtrąciło mnie biedy.

Rudolf.

Żal ci już widzę, żeś kosztem twéj schedy
Honor okupił? to bardzo złym znakiem.

Jerzy.

Gdybym raz jeszcze w położeniu takiém
Znalazł się tylko...

Rudolf.

I cóżby się stało?

Jerzy.

Co? hańbę moją rozpostarłbym śmiało;
Na złota wszystko odmierzając szali,
Im niżéj spadłbym, tém sięgnąłbym daléj;
Ludziombym mojéj nie użyczył dłoni,
Byłbym bogaczem bez serca jak oni;
Prawości imię bezczeszcząc bezkarnie,
Życie w próżniactwie przepędzałbym marnie.
I hojną ręką sypnąłbym deszcz złoty
Za honor, serce, poczciwość i cnoty.

Rudolf.

Przebrałeś miarę do gniewu zbyt skory;
Lecz to dowodzi, że masz umysł chory,
A takim myślom kto popuści wodze,
Szybko postąpi na podłości drodze.
Pomnisz, jak dawniéj za dążność takową
Ty sam Rajmunda sądziłeś surowo?

A jemu jeszcze nie można się dziwić,
Bo musiał żonę i dzieci wyżywić;
Ale cóż ciebie do tych kroków skłania?
Mógłbym powtarzać teraz twoje zdania,
Lecz tém się tylko próżno serce drażni.
Ot, lepiéj słuchaj szczerych rad przyjaźni.
Spłaciłeś długi ojca, lecz w tym czynie
Powinność swoją spełniłeś jedynie;
Tu popęd pierwszy zawsze wszystko znaczy.
Byłbyś się zhańbił, działając inaczéj.
I poświęcenie wdzięk ma dla człowieka,
Radość w niém blizka, a boleść daleka.
Szlachetność twoją chwalę, przyjacielu,
Ale tak jak ty zrobiłoby wielu,
Bo serce łatwo do cnoty się skłania,
Ale trudniejsza jest siła wytrwania.
Gdy pierwszy ogień zagaśnie powoli,
Potrzeba silnéj i wiary i woli,
By w ciężkiéj, jaką świat naznacza próbie
Wytrwały, same siłę czerpiąc w sobie,
Aby śród potrzeb dręczących nas srodze
Ciągle po prawéj postępować drodze.
To mi bohater i takich jest mało;
On się za próżną nie ubiega chwałą,
A z silną duszą i z sercem wyniosłém
Nie będzie gardził uczciwém rzemiosłem:
Woli nieść pracę ludzkości w usłudze,
Niż się oglądać na posagi cudze.

Jerzy.

Rudolfie!

Rudolf.

Cóż chcesz? to rzeczy już stare:
Kto sprzedał serce, sprzeda wkrótce wiarę.
I gdybyś chciał tak kupczyć twą osobą,
Jabym na wieki wolał zerwać z tobą.

Jerzy.

Jak chcesz; to zwykła koléj rzeczy w świecie.

Rudolf.

Jakto?

Jerzy.

Owidyusz powiedział już przecię:
„Pókiś szczęśliwy, będą cię kochali,
„Ale w nieszczęściu każdy się oddali.”

Rudolf.

Więc sądzisz?...

Jerzy.

Zdanie to Owidyuszowe
Słuszne. Ale czas przerwać już rozmowę,
Więc do widzenia! Za starym już może,
Bym cudzych łajań słuchać miał w pokorze.

SCENA VI.

Rudolf (sam).

Niewdzięcznik!... lecz to zwykły los człowieczy,
To słabość tylko, z któréj się wyleczy.
Wielu z nas także odwagą się chwali,
A czyżby stale tę próbę przetrwali?
To dziecko jeszcze, pod nędzą się schyla,
Opamiętania blizka jednak chwila.
Jam był powinien, szanując pozory,
Mówić do niego jak do duszy choréj,
Bez uniesienia, spokojnie, łagodnie,
Byłby usłuchał rad mych niezawodnie.
Lecz ja mentora przybierając rolę,
Perorowałem jak do żaka w szkole,
I raniąc serce niewczesnym zapałem,
Błędy mu jego ostro wyrzucałem.
Tak, sam winienem, bo po cóż u licha
Tak mnie niebacznie zaślepiła pycha...
Jerzy ma słuszność... serca mam za mało?...
Gdyby to jakoś naprawić się dało!...

(Łucya i Laura trzymając się pod rękę, przechodzą w głębi sceny przez pokój jadalny. Rudolf, który je spostrzega, jak gdyby uderzony nagłą myślą, zbliża się szybko do nich.)

SCENA VII.

Łucya, Laura, Rudolf.

Rudolf (do Łucyi).

Ach pani, sam Bóg zsyła tutaj panią!
Wiem to, że zawsze można liczyć na nią,

I że twa dusza anielska gotowa
Zawsze, nieszczęsnym nieść pociechy słowa.

Łucya (wychodząc na przód sceny z siostrą).

Słucham.

Rudolf.

Ta dobroć pani mnie ośmiela
Przywieść na pamięć niegdyś przyjaciela
Jerzego... chociaż to dawne już chwile...

Laura.

Spostrzegłam go tu, jeśli się nie mylę.

Łucya.

Jam go widziała dobrze przed godziną,
Chował się w kącie z jakąś smutną miną.

Rudolf.

O! niechaj pani wcale to nie dziwi:
Zwyczajnie, tracą śmiałość nieszczęśliwi.

Laura.

Niestety!

Rudolf.

Na kim losu cięży ręka,
Ten się przybliżać do znajomych lęka,
Żeby się z niego nie śmieli.

Laura.

O, panie!
Za zbyt surowe rzekłeś teraz zdanie.
Bo kto tak piękną duszę w sobie mieści,
Ten uwielbienia godzien jest i cześci.

Łucya.

Co? on? W mych oczach, on przewyższa głową
Całą tę strojną czeredę światową,
I wszyscy wielcy ci ludzie dzisiejsi,
Przy nim są niżsi i niedorzeczniejsi.
On od tych istot blasku i pozoru
Wyższy jest stokroć — to człowiek honoru!
Choć jego ubiór plamą się zaciemi,
Pomiędzy tymi świetnie przybranymi,
On jeden śmiało poszczycić się może,
Że w sercu ma to, co inni w ubiorze.

Rudolf.

W taki mu sposób słowa powiedziane,
Byłyby pewno balsamem na ranę.

Łucya.

W najlepszéj wszystko powtórzę mu wierze.

Laura.

O! gdyby można wyznać jemu szczerze,
Jak go cenimy!

Rudolf (łagodnie).

To wyznanie pani,
Od ciebie, gorzéj serce jego zrani.
(Laura smutnie spuszcza głowę.)
(Do Łucyi:)
Mam myśl wyborną! Gdybyś pani oto
Chciała do tańca go prosić.

Laura (podając rękę Rudolfowi).

Z ochotą.

Rudolf (spostrzegając Jerzego).

Otoż on właśnie, bądź pani gotową.

SCENA VIII.

Ciż sami, Jerzy.

Jerzy (do Rudolfa, nie widząc Łucyi i Laury).

Przed chwilą przykre rzekłem tobie słowo.
(Podając mu rękę:)
Wszak mi przebaczasz?

Rudolf (ściskając go za rękę).

To się zapomina.
Zresztą w tém była moja także wina.
Ja ci przebaczam wszystko sercem całém;
Ty zrób tak samo. Wiesz kogo spotkałem?
Laurę i Łucyę; są tutaj.

Jerzy (z przestrachem).

Odchodzę.

Rudolf.

Umiejże trzymać sam nad sobą wodze:
Już cię widziały, byłoby szalonêm
Uciekać, przejdźmy koło nich z ukłonem.

(Jerzy i Rudolf podchodzą do Laury i Łucyi, Jerzy zatrzymuje się i kłania się tym paniom, które mu oddają ukłon, pierwsza z widocznêm pomieszaniem, druga z uśmiechem przyjaznym.)

Jerzy (do Rudolfa po cichu).

Pójdźmy.

(Chce się oddalić.)

Łucya (odchodzi od siostry i zastępuje drogę Jerzemu).

Co panu tak pilno okrutnie?
Ja właśnie z panem chcę tu zacząć kłótnię.

Rudolf (po cichu do Łucyi).

Wybornie.

(Rudolf zbliża się do Laury, i oboje przysłuchują się rozmowie, która się wszczyna pomiędzy Łucyą a Jerzym.)

Jerzy (do Łucyi, kłaniając się).

Pani...

Łucya.

To nie idzie za têm,
Choć pan chcesz ciągle uciekać przed światem,

Byś myślał, że się tutaj pana boją.
No, panie jeńcze, oddaj mi broń twoją,
Proszę o rękę.

(Jerzy podaje jéj rękę, i wracają na przód sceny.)

To jeszcze nie dosyć.

(Wyjmuje rękę z pod ręki Jerzego.)

Teraz mnie trzeba do tańca zaprosić.

(Rzuca ukradkiem spojrzenie na Rudolfa, który przytakuje jéj skinieniem głowy.)

Jerzy.

Bronić zwycięzcy nie myślę się wcale,
Lecz...

Łucya.

Ja tak każę.

Jerzy.

Ale...

Łucya.

Nie ma ale...
Bom już naprawdę rozgniewać się zdolną.

Jerzy.

Gdyby mi żądać tego szczęścia wolno?...

Łucya.

Bądź pan szczęśliwym, pani się przychyla...
Tańczymy z sobą pierwszego kadryla.

Jerzy.

O! wiem to dobrze i umiem czuć żywo,
Żeś pani dobrą jest i litościwą.
Dziękuję...

Łucya (żywo).

Owszem, mówię panu szczerze,
Ja jestem dumną, że mnie pan wybierze.
(Jerzy robi znak niedowierzania.)
Tak, dumną — kto tak postępować umie,
Ten się odznacza dla mnie w ludzi tłumie.
Nie wiem, jak się nań los przeciwny wzmaga,
Lecz wiem jak silną jest jego odwaga,
Że choć się wszystko przeciw niemu zbroi,
Nie pożałuje on prawości swojéj,
I mimo ciągłych przeciwności grotów,
Tak samo jeszcze raz postąpić gotów.

Jerzy (zakłopotany).

Jam nie wart...

Łucya.

Tak.

Jerzy.

Nie.

Łucya.

Rzecz już obgadana:
Chcę bohatera, i wybrałam pana,

A pan prawdziwie byłbyś bez sumienia,
Gdybyś rozburzać chciał moje marzenia.

(Słychać muzykę.)

Już grają, trzeba nam się prędko sprawiać.
Pójdź pan.

(Bierze go pod rękę, i wychodząc z nim, daje znak siostrze, by poszła za nimi.)

Laura (n. s.).

Szczęśliwa, może z nim rozmawiać.

(Przyjmuje rękę Rudolfa i idą oboje ku drzwiom. Łucya, która odwróciła się w progu drzwi, żeby zobaczyć, czy siostra idzie za nią, wchodzi do sali balowéj; Rudolf i Laura czynią toż samo.)

SCENA IX.

(Przy końcu zeszłéj sceny, kilka osób przechodzi w głębi teatru, udając się do sali balowéj. Pomiędzy niemi widać Kapitalistę, który podaje rękę Staréj pannie i wychodzi z nią na przód sceny.)

Stara panna, Kapitalista.

Kapitalista.

Wejdźmy tu.

Stara panna.

Po co?

Kapitalista.

Tam za wiele osób,
Ciągle się kręcą, rozmawiać nie sposób.
Tutaj spokojniéj...

(Prowadzi Starą pannę do fotelu, w którym ona siada.)

(N. s. szukając Jerzego:)

Gdzież znowu pan młody?

(Do Staréj panny:)

I pogawędzić możem bez przeszkody.
Czemuż mi pani nie wierzysz na słowo?

Stara panna.

Po cóż myśl taką przypuszczać jałową?

Kapitalista.

Ja nie przypuszczam, ale ręczę pani,
Że biedny chłopak głowę traci dla niéj.

(N. s.)

A to łotr!... zemknął!...

Stara panna.

Pan tu szukasz kogo?

Kapitalista.

Nie, patrzę czy nas podsłuchać tu mogą.

(N. s.)

Zdrajca!

(Do Staréj panny:)

Miłością tak przejęty szczerą...

Stara panna (powstając z miejsca przerywa mu).

Pan wiesz, na świecie żyję nie dopiero,
I już nie jestem tak prosta i płocha,
By wierzyć, że się kto we mnie zakocha.

— Jeżeli w Jerzym co mi się podoba,
To czyn szlachetny, ale nie osoba.
Lecz jeśli panu mam się przyznać szczerze,
Lepiéj gdy młodszą za żonę wybierze.
Chciałabym, żeby w tym wyborze żony
Czyn jego piękny został nagrodzony
A nie skarany. Lecz jeżeli progi
Świata, zasłudze zamknięte ubogiéj,
Jeśli los przyszły życie jego znaczy
Nędzą, niech ze mną ożeni się raczéj.—
Będę mu miejsce zastępować matki...

Kapitalista.

Matki!?

Stara panna.

Tak... gdyby... co traf w świecie rzadki,
U kobiet serca nie wdzięków szukano,
Jabym mu była tak sercem wylaną,
Dla jego szczęścia poświęcona cała,
Tak wszystkie jego chęci uprzedzała
I powściągała zazdrość utajoną,
Że przyjaciółką byłabym nie żoną.
I jam gorzała kiedyś sercem młodém,
Ale wiek swoim oziębił mię chłodem.
Smutno to więdnieć w samotności wiecznie,
Bezuczuciowo i bezpożytecznie;
Więc gdy do kogo serce moje nagnę,
Byle go kochać, więcéj już nie pragnę.

— Ale to wszystko próżną tylko marą,
Nikt się nie żeni teraz z panną starą.

Kapitalista.

Ja jednak pani zaręczam najświęciéj,
Że Jerzy wielkie ma ku temu chęci.
Trza było słyszeć, gdy mu myśl podałem,
Z jakim ją zaraz pochwycił zapałem!

Stara panna.

Pan mnie chcesz zwodzić?

Kapitalista.

Łatwe przekonanie.
(Podaje jéj rękę.)
Niech ośmielonym raz tylko zostanie...

(Wychodzą przez drzwi przeciwległe tym, przez które weszli. Temi samemi drzwiami wchodzi Rudolf, który usuwa się na stronę, żeby im dozwolić przejścia.)

SCENA X.

Rudolf, póżniéj Jerzy.

Rudolf (patrząc za odchodzącymi).

No, niech w kąt teraz staruszka się schowa
(Zbliża się na przód sceny.)
Dwoje ócz pięknych... ot to mi wymowa;
Mógłbym przez sto lat prawić mu morały,
I nie wskórałbym, co one wskórały.

Tylko kobieta zdolna w jednéj chwili
Wznieść czoło, które nieszczęście pochyli.
(Wchodzi Jerzy uradowany.)

Jerzy (do Rudolfa z zapałem).

O jakież serce, rozum i ponęty!
Piękność i młodość! wdzięku niepojęty!
Królowe świata! Gdy wy zaświecicie,
Nową nam wiosną promieni się życie,
W blasku się waszym cnoty w górę wiodą,
Serce się waszą odżywia pogodą,
A złe instynkta i podłe zamiary
Przy was w pomroce nocy giną szaréj.
Wyście mi błysły, za pomocą waszą
Te pięćdziesiąt zim brzydzą mię i straszą.
— Wiesz co? teraz ją poznałem dopiero:
Jakże jest dobrą, łagodną i szczerą,
Dotąd me oczy skrywała zasłona,
Ale zerwała mi ją teraz ona.
— Znów odżywiony wracam w świat z ochotą.
Witaj miłości, honorze i cnoto!
Już mnie nikczemna pokusa nie mami,
Teraz na wieki zostanę się z wami,
W walce ze światem odwaga ma wzrośnie,
Troski i nędzę wyzywam radośnie.
(Rudolf ściska go za rękę.)

SCENA XI.

Ciż sami, Notaryusz.

Notaryusz (do Jerzego).

No... choć raz ciebie wynalazłem przecię.

Jerzy.

Ach! jam jest człowiek najszczęśliwszy w świecie.

Notaryusz.

Co? czy ci jaki wierzyciel wypłaci
Tę summę?

Jerzy.

Niech ich wszystkich porwą kaci!

Notaryusz.

A ja mam oto dla ciebie w kieszeni
Pieniądze... zaraz wszystko się odmieni,
Zobaczysz... najprzód odkupim papiernię...

Jerzy.

Tak?

Notaryusz.

Potém będziem pracować niezmiernie,
Będziem oszczędni...

Jerzy.

Będziem pracowali,
I wszystko pójdzie jak najdoskonaléj!
Już ja ci na to daję słowo moje,
Że ten majątek w krótki czas podwoję.

AKT V.

(Salon u p. Mercier'a.)

SCENA I.

P. Mercier, Laura, Łucya.

(P. Mercier na fotelu; Łucya siedzi w nogach u ojca; Laura stoi z drugiéj strony.)

Laura.

No, niechaj ojciec uwag naszych słucha;
Po cóż tak zaraz prędko tracić ducha?

P. Mercier.

A łotr!

Łucya.

Nie unoś się gniewem tak srogo,
Bo ci zaszkodzić te wzruszenia mogą.

P. Mercier.

Śmierć stokroć lepsza niż życie w ohydzie!

Laura.

Lecz ojcu przecię o nas także idzie.

P. Mercier.

Nikczemny oszust!

Laura.

Niechże ojciec zważa,
Żem z nim jest u stóp złączona ołtarza,
I że chcąc córce oszczędzić zmartwienia
Nie trzeba kalać jéj męża imienia.

P. Mercier (powstając).

Bankrut, tak, bankrut, i w rodzinie mojéj,
Gdy wzrost mój cały na prawości stoi!
(Do Laury, która zbliża się do niego:)
A ty biedaczko, co cię los z nim sprzęża,
Wybacz mi, żem ci takiego dał męża.

Laura.

Mój dobry ojcze, ty chciałeś najlepiéj;
To trudno, pozór każdego zaślepi.
Zły los mnie popchnął na tę smutną drogę;
Lecz jeśli tobie podporą być mogę,
Niosąc ci w dani miłość córki tkliwą,
To jeszcze śmiem się nazywać szczęśliwą.

P. Mercier.

Kochane dziecię!

Laura.

Życie to nauka,
I doświadczeńszy kto się raz oszuka.

P. Mercier.

A jak to zręcznie swoją duszę płaską
Pokrywać umiał hipokryzyi maską!
Jak umiał zgrabnie przekonywać mową,
Że obeznany z czynnością fachową,
Śmiać się z poezyi i szydzić z niéj wszędzie
Tak, iż sądziłem, że najlepszym będzie
Mężem! I ciebie nawet, moje dziecko,
Potrafił w sidła uwikłać zdradziecko
I zaufaniem twém owładnąć całém;
Bo ja cię przecię wcale nie zmuszałem.
Nie prawdaż? powiedz.

Laura.

To też ja się wcale
Na ciebie, ojcze, w tym względzie nie żalę.

P. Mercier.

Nie dość, że w dobréj ukrzywdził mnie sławie,
On ukradł cały mój majątek prawie
I uciekł. Nędznik, ja przez niego tracę
Moją uczciwą długoletnią pracę!
(Z wściekłością:)
Łotr! złodziéj! zbójca! bogdaj zginął marnie!

Laura.

Ojcze! przez litość!

P. Mercier.

I uciekł bezkarnie.

Łucya (pokazując na Laurę).

Przez litość!

P. Mercier (spokojniéj).

Jeślim uniósł się w zapale,
To mnie o siebie nie idzie już wcale;
Nie długo mi już biedę w świecie znosić,
A dla starego zawsze będzie dosyć.
Lecz to wy, moje dzieciska, skrzywdzone!
Któż teraz Łucyę zechce wziąć za żonę,
Kiedy jéj posag zginął w téj otchłani?
Jak bez posagu znaleźć męża dla niéj?

Łucya.

Niech głowa o to, ojcze, cię nie boli;
Ja się do Nieba skłaniać umiem woli.
Jeśli kto teraz z biedną się ożeni,
To będzie właśnie dowód, że mnie ceni;
A taki dla mnie zawsze obojętny,
Co we mnie partyi chciał szukać majętnéj.
Nie jest tak straszne znowuż i ubóztwo.
Mamy wydatków niepotrzebnych mnóztwo,
Łatwo wynaleźć oszczędności drogę:
Ja sama w domu wszystko zrobić mogę,

Będziemy wzajem pomagali sobie,
I haftowaniem na życie zarobię.

SCENA II.

Ciż sami, Jerzy, Rudolf, Notaryusz, Służący.

Służący.

Pan Jerzy.

Laura.

Boże!

Łucya (z radością).

To on!

P. Mercier.

Cóż się stało?

Notaryusz

(do Jerzego, który stoi zakłopotany przy drzwiach).

Pójdź, ja tu zaraz wykażę rzecz całą.
(Do p. Mercier'a:)
Dawny przyjaciel, panie Mercier drogi,
Znów się ośmiela nawiedzić twe progi.
Wszakże ci żadnéj nie robi przykrości
Przyjmować dawno niewidzianych gości.

P. Mercier (zimno).

Miło mi bardzo, i niech mi pan wierzy...

Łucya (przyjaźnie do Jerzego).

A ja śmiem panu zaręczyć najszczerzéj,
Że tutaj żadna dlań nie zaszła zmiana:
Zawsze nam miłe odwiedziny pana.

(Jerzy kłania się.)

P. Mercier (do Jerzego).

Czy mogę wiedzieć?

Notaryusz (po cichu do Jerzego).

Mów, teraz czas właśnie.

(Rudolf daje znak Jerzemu, żeby mówił.)

Jerzy (po cichu do Rudolfa, pokazując na Laurę).

Jakto? tu? przed nią?

Rudolf.

Ja tę rzecz wyjaśnię.

(Do p. Mercier'a:)

Widział pan, jako dla szlachetnéj sprawy
Umie utracić mienie człowiek prawy.
Teraz pan możesz powziąć przekonanie,
Jakto odważnie zarabia się na nie.
Oto przed sobą masz pan przykład świeży:
Stracił majątek niedawno pan Jerzy,
Teraz już umiał powetować straty,
Lepiéj, bo z własnéj pracy jest bogaty.

Notaryusz (do p. Mercier'a).

To prawda, przeszedł wszystkie me nadzieje.
Umiał najtwardsze przełamać koleje,
I teraz jako właściciel papierni
Ma tego roku, licząc jak najmierniéj,
Dochodu franków piętnaście tysięcy,
A na rok przyszły niewątpliwie więcéj.

P. Mercier.

Bardzo się cieszę... lecz moi panowie,
Radbym chciał wiedzieć?

Rudolf.

Zaraz pan się dowie.
W téj nowéj losu dla niego kolei...
(Pokazując mu Łucyę:)
Myśl go radosnéj wspierała nadziei.

Notaryusz (do p. Mercier'a, pokazując mu Łucyę).

Kocha twą młodszą córkę jedném słowem.

P. Mercier (n. s.).

No, anim myślał nawet o tém nowém
Uczuciu...

Laura

(n. s., patrząc na siostrę, na któréj twarzy radość się maluje).

Ona go kocha.

Łucya.

Mój Boże!

Jerzy.

Los nie poszczęścił mi w pierwszym wyborze!
Chwila to była dla mnie opłakana
I długo tkwiła w sercu mojém rana.

P. Mercier.

Gdybym był tylko serca mego głosu
Słuchał...

Jerzy.

Jedynie w tém jest wina losu.
Tak, długo bardzo serce me krwawiło,
I byłbym uległ pod rozpaczy siłą,
Lecz anioł z nieba wskazał mi otchłanie,
A tym aniołem twoja córka panie.

Łucya.

A więc to prawda!

Jerzy.

I z jednego źródła
Rozpacz się moja i pociecha wiodła.
Bez niéj...

(wskazując na Rudolfa:)

bez niego upadłbym zgnębiony!
Oni méj duszy cierpieniem zwątlonéj
Ponieśli wiary i pociechy słowo,
I przez nich serce odżyło na nowo.

Laura (n. s.).

Mamże zazdrościć siostrze? on stworzony
Dla niéj.

(Do Jerzego:)

Życzyłam panu dobréj żony;
Dzisiaj spełnione będą me życzenia.

(Do p. Mercier'a błagalnym głosem:)

Ojcze! korzystaj teraz z doświadczenia...
Własnym my kosztem poznali, niestety,
Że szczęście, serca stanowią zalety.
Pan Jerzy dowiódł wyższości w tym względzie,
Więc Łucya pewno szczęśliwą z nim będzie.

Jerzy (do Łucyi).

Ileż dobroci!

Łucya (do Jerzego).

To pana zdziwiło?...

P. Mercier (do Jerzego).

Ofiara pańska wielce mi jest miłą,
Lecz muszę panu uczynić zwierzenie,
Bo i ja szczerość nadewszystko cenię.
Mój zięć, pan Richard, z mieniem swojém całém
Popadł w bankructwo.

Jerzy.

Już o tém wiedziałem.

P. Mercier.

I uciekł z kraju z ukradzioném złotem,
Mnie zrujnowawszy do szczętu.

Jerzy.

Wiem o tém.

P. Mercier.

Więc posag...

Jerzy.

Niech się pan o to nie lęka:
Dla mnie posagiem twojéj córki ręka.

P. Mercier.

Ot zakochani! dla nich wszystko w świecie
Jest miłość... Słusznie... i ja takim przecię
Byłem przed laty... Co to uczuć siła!?
Trzeba, by teraz Łucya zezwoliła,
Bo ja się zasad moich trzymam ściśle
I nigdy córek przymuszać nie myślę.
(Do Łucyi podając jéj rękę:)
Łucyo, mnie jego szlachetność zwycięża,
Ale ty, chceszże przyjąć go za męża?

Jerzy (do Łucyi).

Los mój od twojéj zawisł, pani, woli.

Łucya.

Niech pan mi chwilę namysłu dozwoli.

(Idzie do siostry i odprowadza ja na stronę, kiedy inni śledzą ją wzrokiem.)

Lauro?

Laura.

Bądź o mnie siostro bez bojaźni,
Miłość w mém sercu już miejsca przyjaźni
Dlań ustąpiła, a tyś mu wzajemną?
Nie prawdaż?

Łucya.

Prawda, lecz bądź szczerą ze mną.
Jeżeli w duszy twojéj rozbolałéj
Dawne wspomnienia jeszcze pozostały,
Jeśli ten związek, co mnie uszczęśliwi,
Choć iskrę żalu w twém sercu odżywi,
To, siostro, szczerze, rzeknij tylko słowo,
A jam go jeszcze wyrzec się gotową.

Laura.

Nie, owszem, bądźcie szczęśliwi oboje;
W szczęściu tém serce odżywi się moje.

Łucya.

Pewno?

Laura (całując ją w czoło).

Tak.

(Łucya idzie do ojca.)

Tak jest, boleść mą przytłumię,
Warta miłości, bo i kochać umie.

Łucya (do p. Mercier'a, podając rękę siostrze).

Gdyście oboje przychylnego zdania,
Me serce chętnie ku temu się skłania,
Bo ono dawno do niego należy.
(Do Jerzego:)
Przyjmuję rękę twoją, panie Jerzy.
(P. Mercier z lekka popycha ją ku Jerzemu.)

Jerzy.

Łucyo!

P. Mercier.

Tom, panie, poprowadził rzeczy!

Notaryusz (zacierając ręce.)

No... do kontraktu.

Laura (do Jerzego).

Niechże pan zaprzeczy,
Że najsilniejszą rozpacz czas przygasza.
(Z uśmiechem:)
Wszak już mój widok pana nie odstrasza?

Jerzy (przyjaznym tonem).

W tém szczęściu, które nadzieje me iści,
Przyjaźń zajęła miejsce nienawiści.
Będziesz nam pani siostrą...
(Do Rudolfa, pokazując mu Łucyę:)
Wyznaj szczerze,
Że prawość zawsze nagrodę odbierze.

Rudolf (kłaniając się Łucyi).

Ha, nie zaprzeczam, są na świecie cuda,
Lecz nie każdemu tak się gładko uda.

Jerzy.

Ależ w nieszczęściu kształcimy się sami.

(Wchodzi służący.)

P. Mercier.

Pójdźmy na obiad.

(Do Rudolfa:)

Pan zostaje z nami.

Rudolf (kłaniając się po wojskowemu).

Panie sierżancie, służę mu z ochotą.

(Jerzy podaje rękę Łucyi, Notaryusz Laurze, Rudolf i p. Mercier wychodzą na ostatku.)

Rudolf (do p. Mercier'a).

Więc o Wolterze mówiliśmy oto...

(Zasłona spada.)

BIAŁY KRAWAT.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

Edmunda Gondinet'a.

OSOBY:

OKTAWIUSZ.
FLORENTYN.
AGATA.

Rzecz dzieje się w prowincyonalném miasteczku w r. 1867.

SCENA I.

(Salon w zupełnym nieładzie. Stół z lewéj strony. Kanapa z prawéj. W głębi przy kulisie szyfonierka. Na poręczy kanapy wisi kamizelka. Na ekranie przed kominkiem frak czarny. Rękawiczki na butach przy kominku. W głębi drzwi od przedpokoju. Drzwi od korytarza z lewéj strony. Pokój z prawéj strony).

Florentyn.

(odmyka nawpół drzwi w głębi i wysadza rękę, w któréj trzyma biały krawat.)

Panie, panie!
Jest biały krawat.

(Wychyla głowę przezedrzwi.)

A to co?

(Wchodzi).

Pustkowie!
Mógłbym do jutra wołać, nikt mi nie odpowie.
Gdzież nowożeniec?

(Ogląda się naokoło.)

Frak na ekranie,
Na kanapie kamizelka
I rękawiczka z buta się wychyla;
Wszystko dowodzi, że to chwila wielka,

Że to jest ślubna, uroczysta chwila,
Gdy tłusty szwajcar z pozłacaną lagą
Czeka już gapiów otoczony wieńcem,
Kiedy się pan mer stroi już powagą,
A panna młoda rumieńcem —
A jego nie ma... gdzież znowu lata?...
Czyżby się gniewał?... Na kogo u kata?...
Wszakże, mówiąc szczerze,
Sam sobie wybrał posag, który bierze —
A o pannę młodą mniejsza —
Czy trochę brzydsza, czy trochę piękniejsza,
Gdy cała sprawa szła w sposób tak chyży,
Że się widzieli trzy razy najwyżéj.
Widocznie wyszedł... wziął kapelusz z sobą....
Czyżby był chory... cóż znowu z chorobą·
W dzień ślubu?... To on!

(Oktawiusz wchodzi drzwiami w głębi, w spodniach czarnych i cieniutkiéj koszuli śnieżnéj białości. Fantazyjna krawatka zawiązana z niechcenia, palto. Strój ślubny bez fraka, białego krawatu i rękawiczek.)

I cóż mu się stało?

SCENA II.

Oktawiusz, Florentyn.

(Oktawiusz z kapeluszem nasuniętym na oczy idzie poważnie na przód sceny)

Oktawiusz (jakby mówił do siebie).

Już co prawda, to słońce kobiet nie wyładnia.
Pierwszy raz przyszłą mą widziałem za dnia:
Płeć żółta, choć przy świetle zdawała się białą,
Myślałem, że szatynka, a ona jest rudą,
Wcale nie piękności cudo
I nie do twarzy jéj o téj godzinie...

(Po chwili:)

No... już widzę gotowe wszystko.

(Woła:)

Florentynie!

Florentyn.

Panie?

Oktawiusz.

Gdzie biała krawatka?

Florentyn (podając białą krawatkę).

Oto jest. Co za białość! Przy niéj śnieg to śmiecie.

Oktawiusz (biorąc ją do ręki).

Mówili, że przystojna. — Wszystko szło jak z płatka,
Więc też...

Florentyn.

Ostrożnie, bo pan ją pogniecie.

Oktawiusz.

Przystojna—tak—przy lampie kanfinowéj—wierzę —
A rozum! dobroć—ile cnót! Święta osoba!..
Chwalili.

(Do Florentyna:)

Słuchaj.

Florentyn.

Słucham.

Oktawiusz.

Jak ci się podoba
Moja przyszła?

Florentyn.

Mnie, panie?

Oktawiusz.

Tak, tobie, mów szczerze.

Florentyn.

Wolałbym nie.

Oktawiusz.

Dla czego?

Florentyn.

No, rzecz oczywista,

Że... ale ja bo wolę inny kontur głowy,
Coś klassycznego, bom trochę artysta —
Służyłem u malarza, więc ze mnie surowy
Sędzia...

Oktawiusz (spoglądając mu w oczy).

Widzę, że mojéj nie chwalisz miłości?

Florentyn.

Ba... zaraz miłość!

Oktawiusz.

A więc co? Mów głośniéj.

Florentyn.

Bo to widzi pan, znam się na przenośni —
Służyłem u autora, co ludzi naucza,
A że u niego dużo bywa gości,
Więc widziałem świat wielki przez dziurkę od klucza.
Panowie nie kochają tych żon, które biorą.

Oktawiusz.

Tylko?..

Florentyn.

Posag — to cyfra, a kobieta zero.

Oktawiusz.

Więc myślisz sobie, żem nie jest szczęśliwy?

Florentyn.

A to znowu co? To byłyby dziwy!
Pan nieszczęśliwy! i... co też pan gada!...
A toż się wszystko jakby z płatka darzy:
Piękny posag, wujowie bezdzietni i starzy,
Przytém teść, u którego zapasik nielada,
Który bawiąc się w chemię, w chwilach roztargnienia,
Trucizny sobie zajada...
To wygrana w loteryę — ziszczone marzenia!

(Wychodzi, zabierając z sobą palto Oktawiusza.)

Oktawiusz (sam).

To samo kubek w kubek mi mówiono.

Florentyn (z zewnątrz).

No... pani nie wygląda na wdzięków boginię....

(Wchodzi, szczotkując kapelusz.)

Ludzie nie stoją przed nią z twarzą zadumioną,
Spojrzą i przejdą — lecz mąż w balowéj godzinie
Zazdrością głowy sobie już nie suszy,
Wygodnie w ciepły szlafrok się owinie,
I kontent z życia, co cichutko płynie,
Śpi sobie na oba uszy.

Oktawiusz

(przed zwierciadłem, w głębi, zdzierając krawatkę z szyi).

Masz słuszność!

Florentyn (zdziwiony).

Co to panu?

Oktawiusz.

Nieszczęsna godzina!
Ten przeklęty kołnierzyk uszy mi podcina,
A znów krawatka nie krochmalna dosyć —
Trzeba mi było kuzynki poprosić.

Florentyn.

Panny Agaty... Ot ta panie...

Oktawiusz.

Co to?
Czy ją znajdujesz piękną?

Florentyn.

Kobieta jak złoto!
Twarzyczka świeża, pulchna jak puszek brzoskwini,
A oczy!.... co tam... wszystkie gasną przy niéj.

Oktawiusz.

Tak sądzisz?

Florentyn.

A płeć jaka! jaka cera
Klassyczna! Ale pan drze rękawiczki. — Pewno
Za ciasne. — Prosić pannę?

Oktawiusz (zatrzymując go).

Nie, niech się ubiera,
Ona mi tutaj jedyną jest krewną,
Tak, z swoim ojcem, panem sędzią...

(wracając na przód sceny:)

który
Jak na nieszczęście wyjechał dziś do dnia,
Żeby wyśledzić jakiegoś tam zbrodnia,
Co, by skraść dziesięć franków, przełamał trzy mury.
No, powiedz, to mi się wiedzie!
Wuj, za którego ślub ten odbywa się sprawą,
Co mnie ugościł w swym domu,
I nie dając się wyprzedzić nikomu,
Trudnił się intercyzą, kościołem, wyprawą,
Na moim ślubnym nawet nie będzie obiedzie!

(Przechodząc do zwierciadła:)

Prawdziwie wyjazd ten wypadł nie w porę.

(Z rozpaczą:)

Ja się dziś w tę krawatkę chyba nie ubiorę.

Florentyn.

Bo pan trochę nerwowy.

Oktawiusz (rozzłoszczony, przechodząc do bocznego pokoju).

E, z taką robotą!

SCENA III.

Oktawiusz, Agata, Florentyn.

Agata.

Jak się masz Florentynie?

(Mówi do Oktawiusza przezedrzwi:)

Nie trać znowu głowy,
Kuzynie, zawsze jeszcze w czas będziesz gotowy
I u Kamilci coś się wszystko supła,
Welon skrajany nie w modę,
Wieniec z róż białych gdzieś jakby wpadł w wodę
I ślubna suknia za szczupła.

(Do Florentyna, pokazując mu skrzyneczkę, którą trzyma w ręku:)

Patrzaj, to od niéj ta skrzyneczka mała.
Nawet nie zajrzawszy do niéj,
Na pamiątkę mi ją dała,
Mówiąc: „Ten sprzęcik z dawna sobie cenię,
Więc ile razy weźmiesz go do dłoni,
Niechaj ci chwil tych odnowi wspomnienie."

(Stawia skrzynkę na stole.)

Florentyn (przypatrując się skrzynce).

Trochę zużyta.

Agata.

W tém jest jéj zasługa cała.
Ciekawam, co tam wewnątrz być może?
(Otwiera ją.)
Koronki, kwiaty, kanwa jak śnieg biała,
Widocznie chciała ją naszyć niebożę,
Ale nie mogła dla chwilowych zawad...
Zawsze jéj jestem wdzięczna sercem całém.

SCENA IV.

Agata, Oktawiusz, Florentyn.

Oktawiusz (wchodząc w tużurku, do Agaty).

Czy umiesz biały zawiązywać krawat?

Agata.

Przecięż mój ojciec sędzią.

Oktawiusz.

Prawda, zapomniałem. —
Czekaj, schylę się, a ty rób zagięcia piękne,
Tylko pamiętaj, niech się nie odczepi;
Albo może na krześle ty usiądziesz lepiéj,
A ja przed tobą uklęknę.

Agata.

Zabawny jesteś!

Oktawiusz.

Z dowcipu, czy z miny?

Agata.

Niech lepiéj o tém sądzi twoja żona.

(Oktawiusz podaje jéj krawat).

Co to?

Oktawiusz.

Moja krawatka.

Agata.

Ta szmatka zgnieciona?

Florentyn (podchodząc do szyfonierki).

Mam ich dwie jeszcze.

Oktawiusz.

Idź, kup dwa tuziny.

(Florentyn wychodzi drzwiami w głębi, Agata idzie do szyfonierki.)

SCENA V.

Oktawiusz, Agata.

Agata

(wybierając pomiędzy dwiema krawatkami, o których mówił Florentyn):

Ztąd do domu Kamilci droga nie daleka,

Dadzą ci znać jak wszystko będzie już gotowe.
Zresztą niech pan mer chwileczkę poczeka,
Będzie mógł lepszą wysztyftować mowę.

Oktawiusz (zdziwiony).

Mowę?

Agata.

Tak, mowę.

Oktawiusz.

Sprawiedliwe Nieba!
Czy długą?

Agata.

Nie wiem.

Oktawiusz.

Przeznaczenie zgubne!
I cóż powie?

Agata.

Nic pewno, lecz słuchać go trzeba,
To są powinności ślubne.

(Siada.)

A teraz proszę trzymać się spokojnie.

Oktawiusz.

Jak mur.

Agata.

I prosto.

Oktąwiusz.

Drgnę, to mnie ofuknij.

Agata.

Śmieszna jest ta kokarda, lecz z modą być w wojnie
Trudno.

Oktawiusz (na kolanach przyglądając się jéj sukni).

Wiesz, że śliczne to obszycie sukni.

Agata.

To moje dzieło.

Oktawiusz.

Tak?

Agata.

Haftować lubię.

Oktawiusz (spoglądając ciągle na nią).

A któż ci robił to ubranie głowy?

Agata.

Sama.

(Usiłując zawiązać mu krawatkę:)

No, ale wszystkie uwagi po ślubie,
Bo możemy się spóźnić.

Oktawiusz.

Mniejsza o to.

(Przygląda się jéj baczniéj.)

Tak przystrojona z wdziękiem i prostotą...
Jeszczem cię w toalecie nie widział balowéj.

Agata.

Bo po raz pierwszy tak świetnie się stroję,
By godnie uczcić zaślubiny twoje.

Oktawiusz.

Ile masz lat?

Agata.

Sto dziesięć! Cierpliwości święta!
Znowu już na nic krawatka pomięta.

(Idzie po drugą do szyfonierki.)

Nie bądźże roztrzepany, miną i urzędem,
Przecięż już z ciebie poważna osoba.

Oktawiusz.

Powiedz mi, jak ci przyszła moja się podoba?

Agata.

Bardzo, jak się należy...

Oktawiusz.

A... tak... tak... pod względem
Moralnym.

Agata.

Dobra, miła.

Oktawiusz.

Tak, ma piękną duszę...
(Z niepokojem:)
Lecz pod względem fizycznym?

Agata.

No, to wyznać muszę,
Że jest...

Oktawiusz.

Że jest strasznie brzydka.

Agata.

Cóż znów?

Oktawiusz.

Widzisz, jak z kłębka wysnuła się nitka.

Agata.

Ależ kuzynku...

Oktawiusz.

Lepiéj tak, przynajmniéj szczerze.
(Zbliżając się do niéj z coraz większym niepokojem:)
Brzydka, nie prawdaż?

Agata.

Ładna.

Oktawiusz.

Już ja w to nie wierzę;
Wszak się z nią żenię, bądźże ze mną szczerą.
Prawdziwe szczęście nie w urodzie leży:
Co tam jakiś buziak świeży!
Piękność w pożyciu małżeńskiém, to zero.
Tak, jabym pięknéj żony nie chciał za nic,
Za nic, wierzaj mi... dla matki rodziny
Zacność, uczciwość i dobroć bez granic
To źródło szczęścia, to jest skarb jedyny.
No, teraz zdanie twoje powiedz śmiele.

Agata.

Kamilcia ma rączki śliczne.

Oktawiusz.

Rączki śliczne?.. no proszę... to nawet za wiele!
Widzisz, wyobrażenia moje są praktyczne:
Powtarzam, że twarz brzydka nie jest dla mnie zbrodnią,
Nie chciałbym żony szukać z pochodnią
Jak Grecy, ubiegając się za ideałem.
Jestem przecięż adwokatem
I potrzebuję majątku; zatém
Skoro się o posagu pięknym dowiedziałem,
Kazałem się przedstawić, i wraz pięknie, zgodnie
Wszystko skończyło się we dwa tygodnie.
A teraz ślubną przysięgę jéj złożę,
Odbędą się zaślubiny
I inaczéj być nie może.

Agata (uśmiechając się).

Trochę prędko małżeńskie złożyło się stadło.

Oktawiusz (siadając na kanapie).

No ci, co ułożyli rzecz, przecięż nie ślepi.
Cnota, zdrowie, majątek, wszystko jak najlepiéj,
Wszystko cudownie wypadło,
A przypatrzyć się bliżéj można po weselu.

Agata (stojąc przed nim, zawiązuje krawatkę).

Przecięż stanąłeś u celu,
Ale Kamilcia powinnaby może
Mniéj tu pokazać dobrodusznéj chęci.

Oktawiusz.

Nie miałem czasu, na mnie czekali klienci,
Zresztą to taki zwyczaj, nawet się założę,
Że ty robisz tak samo.

Agata (uśmiechając się).

E... nie ma obawy
O to.

Oktawiusz (spoglądając na nią).

Dla czego?

Agata.

Nie mam bo fortuny żadnéj.

Mój posag to ja. — Powiedz, czy będziesz łaskawy
Siedzieć prosto?

Oktawiusz (powstając żywo).

Ależ to posag wcale ładny!

Agata (wesoło).

Być może.

Oktawiusz.

Jesteś piękną, zważywszy rzecz ściśle.

Agata (śmiejąc się).

Ja temu wcale zaprzeczać nie myślę.

Oktawiusz.

I znajdziesz męża, znajdziesz, jak Bóg w niebie!

Agata.

Nigdy.

Oktawiusz.

Co, nigdy? nigdy! I zkądże to
Taka pewność?

Agata (poważnie).

Bom trochę podobna do ciebie.
I jestem także praktyczną kobietą.

Oktawiusz.

Ty starą panną?

(Wskazując jéj zwierciadło:)
Spojrz tylko w zwierciadło,
Jaka twarz, usta, wdzięk, spojrzenie, kibić!

Agata (wesoło.)

I powiedz proszę, ileby wypadło,
Gdyby to wszystko na monetę wybić
I chcieć na dobréj zmieścić hypotece?

Oktawiusz (patrząc na nią).

Przecięż ludzie nie ślepi znowu tak dalece!
I kiedyż bije serce, jeśli nie za młodu?
A tak łatwo uczucie w piersiach nie zamilka.

Agata (śmiejąc się).

Ba, to nie czyni żadnego dochodu,
I lepszy milion, który ma Kamilka.

Oktawiusz.

To co innego.

Agata.

Nie skarżę się przecię
I los mój smutny wcale mnie nie straszy.
Wam w miłości własnéj waszéj
Zawsze się zdaje, że nam przodkujecie
I że kobieta bez was nic nie znaczy.
Lecz z przeproszeniem, ja sądzę inaczéj.

Choć nie bardzom uczona, przecięż jestem w stanie
Zarobić coś, bo zbytek wszelki puszczam płazem:
Umiem krój, szycie, gram na fortepianie,
I mam więcéj rozsądku, niż trzech mężów razem.

Oktawiusz.

To wszystko właśnie przymioty wzorowe,
I przy piękności...

Agata (zawiązując mu krawat).

E, piękność na potém.

Oktawiusz.

Niejednemu zawrócić jeszcze możesz głowę.

Agata.

Tak, księciu z baśni, nie wątpiłam o tém;
Lecz książę z baśni mnie nie uszczęśliwi,
Wręcz mu odmówię. — To cię może dziwi?

(Z lekkiém wzruszeniem:)

Nie chciałabym, ażeby dla miłości mojéj
Mąż mój popełnił głupstwo.

(Wesoło:)

No, już ani chwilki
Czasu; kokarda najcudowniéj stoi,
Tylko potrzebaby szpilki.

Oktawiusz (szukając naokoło).

Szpilki? miałem tu szpilkę.

Agata (szukając także).

I gdzieś ci zginęła.
To jest do kobiecego rzecz niezbędna dzieła.
Siedźże tu najspokojniéj pod wagą i miarą,
A ja biegnę i wracam.

(Wybiega drzwiami z lewéj.)

SCENA VI.

Oktawiusz (sam).

Zostać panną starą!
Może ma nawet słuszność, drogie dziecię,
Bo dziwne rzeczy plączą się na świecie.

(Siada przy stole.)

Piękność, wdzięk, oczy płonące rozkoszą,
To wszystko kapitały, co nic nie przynoszą,
I przy nich jeść nie ma za co,
Jednak ludzie na tém tracą.
Zostać starą panną!.. zgrozo!
Ale czyjaż w tém jest wina?
Naszego wieku, co oddycha prozą,
Żądzy zbytku, co wszystko ku sobie nagina,
I oschłości, co giełdy nam z sobą przyniosły.
By panna wyszła zamąż dziś, przyznajmy sami,
Musi mieć milion, albo magazyn z modami.
Dla moralisty jakiż temat wzniosły!
Ale ja walczyć o to nie myślę ze światem...
Dla mnie wszystko to jedno, jestem adwokatem...

(Spostrzegając skrzyneczkę.)

Pudełko jakieś!

(Otwierając je:)

Robota Agaty,
To są, jak mówi, wszystkie jéj intraty,
Tém się właśnie biedna szczyci.

(Wyjmuje po kolei każdy przedmiot ze skrzyneczki.)

Igliczka, naparstek, nici,
Kanwa, i włóczka, i perełek krocie.

(List wypada ze skrzyneczki.)

Co to?... list... tak, list... to trochę za wiele.

(Podnosi go i przygląda się mu.)

Nietknięty... bez adresu... dziwna rzecz w istocie...
Może od przyjaciołki...

(Otwiera go na wpół.)

„Drogi mój aniele...“
Aniele? to za czułe.

(Spoglądając na podpis:)

„Hektor...“ Cóż u Boga!
Czyżbym prześlepił?... nie ma mowy o kochanku...

(Chce czytać.)

Pierwszy wyraz!

(Wahając się:)

To głupio!... nie. Nie tędy droga...

(Po chwili namysłu:)

Dwa wiersze...

(Czyta:)

„Odczytuję sobie bez ustanku
„Ten list, w którym się serce twoje całe chroni...“

(Przerywając sobie:)

List od niéj.

(Czyta daléj pomimo woli:)

„I miotany rozpaczą, nadzieją,
„Przechodzę ciągle cienistą aleją,
„W któréj się usta moje dotknęły twéj dłoni.“—
Jego usta jéj dłoni! to już nieźle wcale;
Trzeba powstrzymać ich trochę w zapale,
To jakaś widzę strasznie zakochana postać.
Lecz Agata należy do mojéj rodziny,
I choć dziś wypadają moje zaślubiny,
Muszę... Obłudna!.. chciała starą panną zostać;
Któryżby mógł w niéj niby kochać się mężczyzna?...
Hektor... no, proszę, jakie imię romansowe.
To jakiś błazen; stawię w zakład głowę!
Ale ona przedemną nigdy się nie przyzna,
Bo znać to po niéj, że jest kaducznie upartą. —

(Wdziewając palto:)

Dalibóg, że przez okno wyrzucić go warto,
Kiedy tu w takim śmie przychodzić celu.

(Zatrzymując się:)

Może to jeden z gości na mojém weselu?...

(Z gniewem:)

I ja go muszę przyjąć jak przystoi...
Nie, nie pozwolę na to, dla siebie i dla niéj.

(Wybiega za drzwi.)

SCENA VII.

Agata, Florentyn.

(Po wyjściu Oktawiusza, Florentyn, który w przedpokoju z lewéj strony czyhał na to wyjście, wchodzi na palcach, zbliża się do skrzyneczki, otwiera ją i zaczyna w niéj pospiesznie przeszukiwać.)

Agata

(wbiegając szybko przezedrzwi z lewéj strony).

Jestem już, a cóż?...

(Zatrzymuje się zdziwiona, widząc Florentyna.)

Co to?

Florentyn (zakłopotany.)

To ja, proszę pani.

Agata (uśmiechając się.)

Czego szukasz w skrzynce mojéj?

Florentyn.

Ja tego przez prostą ciekawość nie czynię.

(Poważnie:)

To bardzo ważne i pilne zlecenie,
Które mnie powierzone zostało jedynie.

Agata (żartobliwie.)

Do mojéj skrzynki?... proszę uniżenie!

Florentyn.

To sprawa ważna i zawikłana.

Agata.

A no, kiedy tak, to przepraszam pana,
Jeślim pytała, to tylko tak sobie.

(Woła:)

Kuzynie!

Florentyn (żywo.)

Niechże pani nie woła!

Agata.

Masz tobie!
Oktawiuszu!

Florentyn.

Nie ma go i dobrze się stało,
Boby źle było inaczéj.

Agata.

No, chciéj wyjaśnić co to wszystko znaczy?

Florentyn.

Mam tu odebrać przesyłkę małą,
List.

Agata.

List?

Florentyn.

A tak, list.

Agata.

Cóż to za sekrety?

Czy do Kamilli?

Florentyn.

Do niéj, niestety!

Agata.

List mojego kuzyna?

Florentyn (żałośliwie.)

Gdzie tam!

Agata.

A to zgroza!

Więc czyjże?

Florentyn.

Porucznika. Jego nieszczęśliwa,
Chociaż poetyczna proza,
Już od tygodnia w téj skrzynce spoczywa.
Proste dziecińswo, on nawet nie wiedział,
Że listy z przyszłą zamienia mężatką.
Dziś gdy między nim a nią stanął przedział,
Chciałby się zręcznie wywinąć a gładko.
Czy pani w ręce nie wpadł przypadkiem
Ten list?

Agata.

Cóż w nim jest?

Florentyn.

Nie wiem, Bóg mi świadkiem.
Oficer martwy jak skała,
A panna młoda zemdlała;
I we mnie nadzieja cała.

Agata.

W tobie?

Florentyn (z powagą).

Młodsza panny młodéj,
Co przywiązana jest do niéj szalenie,
Lękając się, by z tego nie wynikło szkody,
Uczyniła mi sekretne zwierzenie....
Ale gdzie oni ten list przeklęty wścibili?

Agata.

Więc ten pan swoje listy chce pisać w sekrecie?

Florentyn.

No, nie, ale w ślubu chwili
Jakoś nie wypada przecię,
Bo pan, co zwykle gniewny jest ogniście
Dowiedziawszy się o liście,
Mógłby małżeństwo zerwać oczywiście,
A dalibóg nie byłoby o co...
Niechajże mnie panienka wesprze swą pomocą.

Agata.

I owszem, ale sam powiedz, co zrobię?

Florentyn.

Trzeba list wyjąć...

Agata (żywo).

Niech tam leży sobie:
Lepiéj tę skrzynkę odnieść pannie młodéj.

Florentyn.

Słusznie, tak wszystko wpadnie jak kamień do wody.
(Chce zabrać skrzynkę, wtém spostrzega wchodzącego Oktawiusza i staje pomieszany).
Pan!

SCENA VIII.

Oktawiusz, Agata, Florentyn.

(Oktawiusz wchodzi zachmurzony i roztargniony.)

Agata (chcąc ukryć zakłopotanie):

Już od godziny czekam, daję słowo,
A ty sobie po Bożym spacerujesz świecie
I wracasz teraz ze spuszczoną głową,
Kokarda się na nic zgniecie.

Oktawiusz (szorstko).

Nie! — Florentynie!

Florentyn (podając mu pakiet krawatek).

Oto całe dwa tuziny.

Oktawiusz (gniewnie).

Idź kupić rękawiczek białych cztery pary.

Florentyn (otwierając szufladę od komódki).

Jeszcze ich przecię jest tutaj bez miary.

Oktawiusz.

No, idź kiedy ci mówię.

Florentyn (n. s.).

Źle mu patrzy z miny.

Agata (oddając mu skrzyneczkę).

A po drodze tę skrzynkę oddaj Teofili.

(Daje mu znak porozumienia. Florentyn wychodzi, zabierając z sobą skrzynkę).

SCENA IX.

Oktawiusz (jak tylko Florentyn wyszedł).

Czy znasz pana de Galars?

Agata.

Pana...?

Oktawiusz.

Porucznika

Huzarów

Agata.

Ja!

Oktąwiusz.

Huzarów, — i z tego wynika...

Agata.

Że co?

Oktawiusz.

Że mnie twa skromna minka nie omyli,
Bo kto ma sumienie czyste,
Nie miesza się. A śliczny to chłopak zaiste;
Wzrost sążnisty, wąs morderczy,
Co jak szydło w górę sterczy,
Przytém oczy wyłupiste.

Agata.

Ależ...

Oktawiusz.

I tak przejęty miłosnym zapałem...

Agata.

Kuzynku!...

Oktawiusz.

Już wiem wszystko, cały list czytałem.

Agata (z niepokojem).

Cały?

Oktawiusz.

Tak, cały — niech to cię
Nie dziwi: chciałem twojéj przyjrzeć się robocie,
Wtém patrzę, że list jakiś po ziemi się słania,
A że był bez adresu... Lecz dość tych półsłówek.
Ja ci najmniejszych nie czynię wymówek,
Kochaj sobie kogo chcesz, nikt ci nie zabrania,

Możesz odbierać listów co niemiara.
Gdybym był twoim mężem, słowo wsparłszy czynem,
Możebym tego przepędził huzara,
Lecz jestem tylko twoim kuzynem.

(Spoglądając na nią bacznie,)

Więc on ten list do ciebie pisał rzeczywiście?

Agata (zakłopotana, nie podnosząc oczu:)

Tak. Oddaj mi go.

Oktawiusz.

Szczerość twoją cenię...
I po uczuciu, co się maluje w tym liście,
Pojmuję twoje wzruszenie.

Agata.

Przecięż list nie jest zbrodnią.

Oktawiusz.

I nikt cię nie wini,
Chociaż to zawsze sprawa nieco płocha....

Agata.

I choćby mnie kochano....

Oktawiusz.

A więc on cię kocha?

Agata.

No, jeżeli sam to wyznanie czyni...

Oktawiusz.

O! znam ja tę ich miłość: przysiąg co niemiara,
Uczuć jego już żadna nie powstrzyma tama,
Chce umrzeć u nóg twoich... piosnka jak świat stara...
I ty jéj wierzysz?

Agata (żywo).

Ja?

Oktawiusz.

Wyznajesz sama.

Agata.

Jemu?

Oktawiusz.

A jemu!

Agata.

Może to pomyłka.

Oktawiusz.

Gdzież tam!— on się zna na tém, wszak serce w nim pała
Rycerskie; dzielny wojak, sprężysty jak piłka,
Biały, modry, czerwony... słowem flaga cała;
Pyszny mundur, widziałem akselbanty duże...
W samym się nawet można pokochać mundurze.

Agata.

Czyliż kochać się to już grzech tak wielki?

Oktawiusz.

Nie; lecz kto miłości wyrzeka się wszelkiéj...

Bo tak na pozór prawdziwie a szczerze
Różne teorye snułaś tu przed chwilką,
A ja słuchałem ciebie w dobréj wierze,
Nie wiedząc, że to prosta sztuczka tylko
I że pod tym popiołem miłość tli żarzewiem...
A więc go kochasz?

Agata.

Ja? doprawdy nie wiem.

Oktawiusz.

Tak, lecz twój wzrok za ciebie mówi oczywiście.

Agata.

Mój wzrok?

Oktawiusz (pokazując jéj list).

I on to stwierdza ręką własną.

Agata.

On?

Oktawiusz.

Naturalnie, wszystko jest w tym liście.

Agata.

W liście?

Oktawiusz.

Podpis: „Twój Hektor,” wszak to dosyć jasno?

Agata.

On tak podpisał?

Oktawiusz.

I podkreślił kołem
Kaligraficzném, zwąc cię swym aniołem.

Agata.

Aniołem!

Oktawiusz.

Tak! O! bo w nim natchnienie jest wieszcze.

Agata.

Żarty?

Oktawiusz.

Nie żarty.

Agata.

Ależ...

Oktawiusz.

To nic jeszcze;
O to wszystko już mniejsza,
List niewielki frasunek,
Tak,— ale sprawa daleko ważniejsza,
Ten pocałunek.

Agata (przestraszona).

Jaki pocałunek?
Czy myślisz, że tak panny dozwolą młodzieży
Całować się?

Oktawiusz.

Proszę cię, to od nich zależy.

Agata.

Jakto?

Oktawiusz.

Tak.
(Pokazując jéj list, wypowiada z pamięci:)
„I miotany rozpaczą, nadzieją,
„Przechodzę ciągle cienistą aleją,
„W któréj się usta moje dotknęły twéj dłoni!"

Agata (osłupiała).

Chyba trafem.

Oktawiusz (mówiąc daléj).

„Bo czułem, że kochany jestem.
„Powietrze pełne było balsamicznéj woni,
„Słowik za krzakiem rozwodził swe trele,
„Wietrzyk leciutkim listki poruszał szelestem,
„A ja drżałem z miłości ku tobie aniele!"
(Gniotąc list z gniewem:)
Widzisz, co tu napisano:
On kochany, tyś kochaną,

Jaki dumny! niech wszyscy przed szczęśliwcem klękną!
Bo dla niego szumią drzewa
I dla niego słowik śpiewa,
(z żalem w głosie:)
I dla niego jesteś piękną.

SCENA X.

Agata, Florentyn, Oktawiusz.

Florentyn (wchodząc).

Już kareta zajechała!

Oktawiusz (szorstko).

Dobrze... Gdzie moja krawatka biała?

Florentyn

(ze zdziwieniem pokazując mu krawatkę na szyi).

Oktawiusz.

To daj frak!
(Florentyn zdejmuje frak z ekranu i wchodzi do przedpokoju na prawo.—Oktawiusz do Agaty:)
Wszak on na weselu?

Agata.

Ależ...

Oktawiusz.

To rzecz komiczna, i w tym właśnie celu
Takeś się świetnie dzisiaj wystroiła.

Florentyn.

Proszę pana, już pan mer woźnego przysyła.

Oktawiusz.

On się nie żeni, ten huzar wspaniały,
A co mu po posagu? W cienistéj alei
Tyś go słuchała, drzewa go słuchały,
W powietrzu brzmiały słowa wiary i nadziei,
Dłoń w dłoni... Jakżeś piękną ty była w téj chwili!

Agata (z wyrzutem).

I czy możesz tak o mnie źle sądzić, kuzynie?

Oktawiusz.

Sam nie wiem, czemu to czynię!
Ot takeśmy gawędzili,
Wszakże mnie pan ten ni ziębi ni grzeje.
(Florentyn ukazuje się we drzwiach z frakiem i kapeluszem.)
Przyszła czeka, mer także, a więc daléj w drogę.
(Przywdziewa frak.)

Agata (z wysiłkiem).

A gdybyś jéj nie kochał?

Oktawiusz.

Ja? ależ szaleję
Za nią, żyć bez niéj nie mogę,
Zresztą żenię się i dosyć mi na tém.

(Wdziewając rękawiczki:)

Jeśli są ludzie tak błogosławieni,
Dla których miłość rajem ziemskim się promieni,
To nie ja... wszakże jestem tylko adwokatem!
Obce mi wszelkie uczuć do życia przymieszki,
Nie lubię chwil trawić marnie,
Nie szukam cienistéj ścieżki,
I do szczęścia przez kodeks idę regularnie.

SCENA XI.

Agata, Florentyn.

Florentyn (odprowadzając Oktawiusza do drzwi).

Tak, właśnie każą Przykazania Boże:
Najtrwalsze szczęście z poręką rządową.

Agata.

Ten ślub spełnić się nie może.

Florentyn.

Dla czego?

Agata.

Na moje słowo
Trzeba zerwać, i śpiesz się, chwile szybko biegą;
Nie mogę się obarczać tak strasznym wyrzutem;
Niech celu swego zdrada nie dopnie:
Oszukują go!

Florentyn (czyniąc skok).

Jakto! czy teść jest bankrutem?

Agata.

Stokroć gorzéj, ona...

Florentyn.

Cóż?

Agata.

Co?... kocha innego!

Florentyn (ocierając czoło z potu).

Jakże mnie przestraszyła panienka okropnie!

Agata.

Innego! Czy ty słyszysz? Jakiż los złowrogi
Gotują sobie! Słyszysz? Odpowiedzże przecię.

Florentyn (spokojnie).

Pozwólże, panieneczko, niech ochłonę z trwogi.

Agata.

Wiem, że Oktawiusz grał przedemną rolę,
Zwykle tak się dzieje w świecie.
Ta proza, ten chłód, ta susza,
To maska, którą się tylko przysłania!
U niego szlachetna dusza,
On wart kochania.

Tak, już na wszystko narazić się wolę...
Lecz mów, cóż czynić, żeby zerwać to zamęźcie?

Florentyn.

Iść do kościoła, za nich pomodlić się szczerze.

Agata.

Nie, nie mogę pozwolić, żeby w dobréj wierze
On tak sprowadzał na siebie nieszczęście;
Bo taki związek jest czystém szaleństwem.
(Do Florentyna:)
Ona innego kocha!... Słyszysz?... panna młoda
Innego kocha!

Florentyn.

Cóż to za przeszkoda?

Agata.

Jakto! co za przeszkoda?

Florentyn.

Czyż niebezpieczeństwem
Mu to zagraża? Ma to, czego szuka.
Najdoskonaléj udała się sztuka,
Bo bierze posag nielada;
A zaś z teściem niewielkie mieć będzie kłopoty:
Ten poczciwiec ma ciągle z chemią do roboty,
I na zdrowiu wciąż zapada.

Agata.

Gdybym też wszystko wyznała przed nim?

Florentyn.

Będzie to środkiem bardzo odpowiednim:
Najprzód wyzwanie, pojedynek potém.

Agata (żywo).

Co? pojedynek?

Florentyn.

Ani wątpić o tém.

Agata (żywo).

Tak, on odważny, nię wątpię; lecz ona
Jak iść za niego może niezmuszona?

Florentyn (tonem doktoralnym).

To znowu kwestya innéj jest natury.

Agata.

Bo można, serca przygłuszywszy tętno,
Wziąć za żonę osobę wcale obojętną,
Jeżeli sobie obmyślimy z góry,
Że nie serce ma nami rządzić, lecz rozsądek;
Lecz innego kochając, w obłudzie się nizkiéj
Lubować...

Florentyn (tym samym tonem).

Taki to już społeczny porządek;

Trzeba znać układ świata towarzyski,
Bo miłość to wyjątek, rzecz znana od dawna—
Ale małżeństwo to ustawa prawna.

Agata.

Nie, nie! na mnie inaczéj głos wewnętrzny woła.
Ale cóż czynić?

Florentyn.

Iść się modlić do kościoła.

Agata.

Nie, nigdy!

(Siada przy stoliku, opuszczając głowę na dłoni.)

Florentyn.

Niech się pani uspokoi,
Choćby miłość owładła nawet sercem całém,
Przejdzie jak nic — nie takie ja rzeczy widziałem,—
I wszystko wróci do miary swojéj.
Znam ja świat wielki, bogaty, uczony,
Tam każde — mąż i żona żyje z swojéj strony,
Jakkolwiek to się dzieje: skrycie czy otwarcie,
Z czasem stan rzeczy się zmieni,
Bo kodeks stoi na warcie,
Wiążąc tych, co nie złączeni.

Agata.

Nie mówiłbyś tego pewno,
Gdybyś mógł widzieć minę jego gniewną,
Gdy się dowiedział o tym oficerze.

Florentyn.

Więc wie?

Agata.

Znalazł list.

Florentyn.

Gdzie?

Agata.

W skrzynce na stole.

Florentyn.

I cóż?

Agata.

On mnie za nią bierze;
Musiałam taką na się przybrać rolę.

Florentyn.

Pani?

Agata (powstając).

Tak, na mnie spada wina cała,
Musiałam przed nim skłamać uroczyście;
Lecz gdybym była wiedziała,
Co jest w tym liście,
Bo mi go czytał dopiero potém...

SCENA XII.

Agata, Florentyn, Oktawiusz.

(Oktawiusz wchodzi szybko mocno zmieniony.)

Agata.

Oktawiusz!

Florentyn.

Pan? już z powrotem?

Agata.

Ach, jaki blady!

Oktawiusz (upadając na kanapę).

Daj mi szklankę wody!

Florentyn.

Czy panu słabo?

Oktawiusz (podając mu rękawiczki i kapelusz).

Zabierz-te rupiecie.

Agata (zbliżając się nieśmiało).

Co ci jest? powiedz!

Oktawiusz.

A... jesteś tu przecię?

Agata.

Kuzynie!

Oktawiusz.

Bądź spokojna, już żadnéj przeszkody
Nie ma; wszystko poszło zgodnie.

Agata.

Co?

Oktawiusz.

Hektor będzie mężem twym za dwa tygodnie.

Agata.

Mężem?

Oktawiusz (pijąc wodę).

Twojego szczęścia nic już nie zamąca,
A jednak mnie to kosztuje niemało.
(Do Florentyna oddając mu pustą szklankę:)
Otwórz okno.

Agata.

Dla Boga! Ale cóż się stało?

Oktawiusz.

O! to historya przerażająca!

Agata.

Chciéj nam wyjaśnić?

Oktawiusz.

Po naszém rozstaniu
Wchodzę w merowstwa progi
I widzę przed sobą mundur i ostrogi.

Agata.

Mundur?

Oktawiusz.

To był twój Hektor w galowém ubraniu.
Na jego widok gniew mi w sercu płonie,
Zapominam o teściu, o merze, o żonie,
Jego miłosnym w oczy cisnąwszy mu świstkiem,
Mówię gniewnie: „Wiem o wszystkiém!”
On blednie, rzuca się do mnie,
A moja przyszła pada bezprzytomnie.

Agata.

Nieba!

Oktawiusz.

I teść ze swéj strony
Pada zemdlony.

(Wstaje.)

Podczas kiedy oficer mojéj przyszłéj żonie
Naciera skronie,
Wiedząc, że łatwiéj słabość przechodzi niewieścia,
Biegnę do teścia,
Mówiąc: „Uspokój się pan, będzie zgoda szczera,
Niech tylko pan de Galars żeni się z Agatą!”

Porucznik spogląda na mnie głupowato,
A przyszła moja oczy otwiera,
Ale teść ani się ruszy,
Leży jak bez duszy,
Wszyscy stoją osłupieni,
Ja czuję w jego kieszeni
Jakiś flakonik podłużnego kształtu,
Więc go chwytam, odtykam mu pod samym nosem,
Aż Kamilla wykrzyka przerażonym głosem
To kwas pruski! gwałtu!"

Agata (przestraszona).

Boże!

Oktawiusz (upadając na krzesło przy stole).

Stało się!

Florentyn (poważnie, z drugiéj strony stołu).

Trudno, trzeba być mężczyzną.

Agata.

Bóg łaskaw, może cios ten straszliwy odmieni.

Florentyn.

Bo ten człowiek miał zawsze truciznę w kieszeni,
On jadł z trucizną i spał z trucizną;
To jego wina, trudno, niechaj w Bogu spocznie,
Lecz trzeba podejrzenia uchylić złowieszcze,
I pan tam musi powrócić niezwłocznie.

Agata (zbliżając się zakłopotana do Oktawiusza).

Kamilla...

Oktawiusz (żałośliwie).

Kiedy płacze, stokroć brzydsza jeszcze.

Agata (uradowana).

Co? czy w istocie?

Oktawiusz (zmieniając ton mowy).

Wprawdzie to nie wada,
Najlepsze serce: mdlała jak wypada,
To żona jak raz dla mnie, mogę mówić śmiele—
(Z ironią do Agaty:)
Choć nikt nie powie do niéj: „Mój aniele!"
Chociaż słodkiego drżenia nie ma w głosie,
Słuchając śpiewu słowika po rosie.
(Żałośliwym tonem:)
Welon upadł na ziemię, a z nim wieniec biały,
A włosy się jéj jakoś dziwnie rozczochrały
I...
(Żywo:)
Na szczęście jest chuda, a wiadomo przecię,
Że to zawsze dodaje powagi kobiecie.
(Z zapałem:)
A przytém obdarzona takiém sercem czułém,
I byłbym z nią z pewnością szczęśliwy bez granic,
Gdyby nie to...

Agata.

No, mów, mów!...

Oktawiusz.

Że jéj ojca strułem.

Florentyn.

To nie przeszkadza nic a nic.

Oktawiusz.

Czuję żal straszny!:..

Florentyn.

Ale...

Oktawiusz.

Tak jest, jestem zbrodzień!

Florentyn.

Lecz jeszcze można...

Oktawiusz.

Przepaść nas rozdziela.

Florentyn.

Prosty wypadek, to zdarza się codzień.

Oktawiusz.

Powiedzą, że umyślnie.

Florentyn.

Lecz to do wesela
Nie ma nic a nic!

Oktawiusz (pokazując mu flaszkę).

Ani odrobiny!
Patrzaj, nic się nie zostało!
(Trzęsąc nim:)
Pod nos flaszeczkę wylałem mu całą.

Florentyn.

Nie ma w tém przecię żadnéj pańskiéj winy;
Kto może wiedzieć?

Oktawiusz.

Tak więc w swoją porę,
Ja po tym starcu sukcessyę zabiorę,
Licząc, że tylko tak chwila szczęśliwa
Zabłysła dla mnie... O, nie! Bóg mi świadkiem!
(Z miną tragiczną:)
Kiedy się teścia swojego pozbywa,
To się nie może dziać niby przypadkiem.

Florentyn.

Ależ to w niczém nie dotyka pana,
Trzeba dokończyć przedsięwzięte dzieło,
Małżeństwo już się jakby rozpoczęło,
A panna młoda skompromitowana;
Wszyscyby hurmem pana zakrakali,

Mówiąc, żeś pan podrwił głową.
Namyśl się pan.

Oktawiusz (stale).

Nie i nie!

Florentyn.

To ostatnie słowo?

Oktawiusz.

Ostatnie!

Florentyn (opuszczając ręce).

Trudno.

Agata.

I cóż poczniesz daléj?

Oktawiusz.

Co? sam pójdę do więzienia!

Agata.

Więźniem! ty?

Florentyn.

Pan?

Oktawiusz.

Nie inaczéj.

Agata.

Ależ to pomysł szalony!

Florentyn (z przestrachem).

Czy sąd już uwiadomiony?

Agata.

I cóż cię zmusza do takiéj rozpaczy?

Florentyn (z rozpaczą)

Ale niech pan ma wzgląd na to,
Że jak sąd już kogo złapie,
To go dobrze trzyma w łapie.

Oktawiusz.

Za sądową się tylko mogę bronić kratą;
Tam odrzuciwszy wszelką miłość własną,
Trzeba się wytłómaczyć dokładnie i jasno,
Bo zarzuty się na mnie hojną sypną dłonią.

(Słychać gwałtowne poruszenie dzwonka. Przerażenie ogólne.)

Florentyn!

Florentyn.

Panie...

Oktawiusz.

Słyszysz, dzwonią!

Florentyn.

Dzwonią.

Oktawiusz.

To pewno po mnie.

Agata (n. s.).

Czuję zimne dreszcze!

Oktawiusz (ze spokojem).

Powiedz, że jestem na ich rozkazy.

Agata.

Więc pójdziesz?

Oktawiusz.

Chcę być bez zmazy.

Florentyn (wychodząc).

Może się ta rzecz da zagodzić jeszcze.

SCENA XIII.

Oktawiusz.

Oto chwila rozłączenia,
Tak i przed sądem stanę z sercem szczerém.
(Wesoło:)
Mają swą dobrą stronę i więzienia,
Można w nich bowiem przetrwać kawalerem.
(Idzie w głąb' i opiera się o szyfonierkę w romantycznéj postawie.)
Przynajmniéj pośród takiéj więziennéj swobody
Będę czytał romanse i pisywał ody.

(Z energią:)

Już nie będę adwokatem—

(przechadzając się przed Agatą, która spogląda na niego w osłupieniu:)

Ani mężem,— i los mój przyjmuję z zapałem,
Godzę się z ludźmi, ze światem,
Czuję, że żyję, że odmłodniałem.

(Podchodzi do Agaty.)

Lecz ty płaczesz... cóż to znaczy?

Agata (ocierając oczy).

Nic.

Oktawiusz.

A ja odgaduję powód twéj rozpaczy,
Będę wspaniałym.

(Siada przy stoliku i zabiera się do pisania.)

Agata.

Piszesz?

Oktawiusz.

Tak.

Agata.

Do kogo?

Oktawiusz.

Do twego ojca, czynię za ciebie zwierzenie.

Agata (siadając naprzeciwko niego).

Za mnie?

Oktawiusz.

Tak, piszę, że on kocha cię szalenie.

Agata.

Piszesz to?

Oktawiusz.

Dla mnie pociechą błogą
Będzie twe szczęście. Los wasz w ręce ojca złożę;
On się oświadczy, ojciec odmówić nie może.
(Biorąc drugi arkusz papieru:)
A ten list znów do niego.

Agata (w największém pomieszaniu).

Ależ...

Oktawiusz.

Dziś dwunasty...
Słuchając słowika pieni,
Chodziliście w téj ciemnéj alei liściastéj,
Sercem złączeni i dłońmi złączeni...
No, nie ma nic w tém złego, gdy się z tobą żeni.

Agata (wyrywając mu list).

Ale ja go nie chcę wcale!...

Oktawiusz (spoglądając na nią ze zdziwieniem).
A to nowa rzeczy postać.
Przecież środek to jedyny?

Agata.
Nie! nie! nie chcę!

Oktawiusz (z ironią).
Doskonale,
A więc cóż chcesz?

Agata.
Panną zostać.

Oktawiusz (powstając).
Ależ cześć twojéj rodziny?

Agata (powstając także).
Pozostaw już.

Oktawiusz.
To dopiero!
Bądźże choć raz ze mną szczerą,
Kiedy ja, choć na niego słusznym gniewem pałam,
Truję teścia i zrywam moje zaślubiny,
Żeby cię...

Agata.
Ja go nigdy w życiu nie widziałam!

Oktawiusz.

Jakto? więc...

Agata.

Wyraźnemi mówię ci to słowy:
Nie chcę go! nie chcę! nie! powtarzam, że nie!

Oktawiusz.

A więc ten list?

Agata.

To kłamstwo!

Oktawiusz.

Ta miłość?

Agata.

Zmyślenie!

(Żywo:)

Nie domyślisz się nigdy, nie łam sobie głowy.

Oktawiusz.

Ależ...

Agata.

Kiedy ci mówię jasno i przytomnie,
I powtarzam ci najszczerzéj,
Że ta skrzynka do mojéj znajoméj należy.

Oktawiusz.

Więc nie do ciebie był ten list?

Agata.

Nie do mnie.

Oktawiusz.

No... piękny chciałem sprawie téj nadać kierunek...
Czasem się głupstwo w mierze jak najlepiéj sklei.
Więc nie chodziłaś z nim razem w alei?

Agata.

Nigdy!

Oktawiusz.

A ten pocałunek?

Agata (z wyrzutem).

Mógłżeś więc wierzyć?

Oktawiusz.

O nie! nie! nie wierzę!
Ty mówisz szczerze, ja ci ufam szczerze!

Agata (j. w.).

Człowiek, co sercem sądzi i ocenia,
Jakże mógł mi tak nizką przypisywać rolę,
Że się mężczyznie całować dozwolę?
(Oktawiusz uradowany całuje ją.)
O! to okropne! to nie do zniesienia!

Oktawiusz (całując ją powtórnie).

Okropnie!

(Z uniesieniem radości:)

Ciebie w tyle przymiotów bogatą,
Któréj twarz opromienia czysty wstyd dziewiczy...

(Całuje ją jeszcze.)

Agata.

Bo...

Oktawiusz.

Z któréj oczu płynie zdrój rajskich słodyczy...

Agata.

Ależ...

Oktawiusz.

Tobie nikt nie rzekł: „Kocham cię Agato!”

Agata (cofając się zapłoniona i ze spuszczonemi oczyma).

Boże!

Oktawiusz.

Oto przed tobą padam na kolana!

(Ugina kolana, w tém słychać głos Florentyna.)

SCENA XIV.

Agata, Florentyn, Oktawiusz.

Florentyn (wołając za sceną).

Panie!

Oktawiusz (jakby budząc się ze snu).

Co?

Agata.

Już.

Florentyn (wchodząc).

Przychodzę przygotować pana.

Agata (żywo).

Mój kuzyn jest niewinny.

Florentyn (idąc po kapelusz i rękawiczki).

I któż temu przeczy?

(Do Oktawiusza:)

Niech pan napowrót ślubne wdzieje rzeczy.

Oktawiusz (starając się go zrozumieć).

I po co?

Florentyn.

Do ołtarza.

Oktawiusz.

Zwaryował chyba?

Florentyn.

Wcale nie, wszystko poszło gładko jak po moście,
Jest milionik!

Oktawiusz.

Co?

Florentyn.

Czeka mer, panna i goście.

Oktawiusz.

Jakto! kiedy ten starzec?

Florentyn.

Starzec zdrów jak ryba.
Wychodzą wszyscy i zdrowo i cało,
Daremne były te nasze kłopoty.

Oktawiusz.

A ten kwas pruski, i cóż się z nim stało?

Florentyn.

E... ten kwas pruski jego własnéj był roboty.

Oktawiusz.

A... rozumiem!...

Agata.

Rozumiem!

Florentyn.

Chemia na coś zda się.

Oktawiusz.

Więc mam się znowu żenić?

Florentyn (zdziwiony).

No, żenić się znowu.
Już teraz zrywać będzie po niewczasie,
Cóż za powód, by kłamstwo zadać swemu słowu?

Oktawiusz (spoglądając na Agatę).

Jest powód.

Florentyn (z miną zamyśloną).

A, wiem już, wiem, ten list utrapiony,
List do panny Kamilli... to drobnostka mała.

Oktawiusz.

Co?

Agata.

Niezręczny!

Florentyn.

To panna mu nie powiedziała?

Oktawiusz (po chwili milczenia).

Nie jestem zazdrosny, lecz mocno zdziwiony...
Ten wojskowy jest bardzo odważny...
(Oddając list Florentynowi:)
Tém lepiéj,
Niech się żeni i raz już odemnie odczepi,

Chętnie mu ją oddaję.

(Pokazując na Agatę:)

Oto moja żona.

Agata (uradowana i zakłopotana).

Lecz ja nie mam posagu, a wasz świat jak sądzę...

Oktawiusz.

Niech sobie co chce mówi, już mnie nie przekona:
Lepsza dobra kobieta, niż dobre pieniądze.

Koniec tomu czwartego.



TREŚĆ TOMU IV-go.